



WYDAŁ KONSTANTY TREPTE. w WARSZAWIE

1850
440

2150
1715

TATARZY W SANDOMIERSKIEM.

A. GRUSZECKI



TATARZY
W SANDOMIERSKIM

z rysunkami St. Masłowskiego.



WARSZAWA

NAKŁADEM KSIĘGARNI KONSTANTEGO TREPTĘGO

Marszałkowska 149.





I

Pierwsze wieści.

Na zamku w Żubrzycach, w obszernej komnacie rozlegał się wesóły gwar myśliwych przy biesiadnym stole.

Na wielkim kominku trzaskały smolne kłody, a czerwony płomień rzucał jasne światło na stół suto zastawiony i na siedzących gości, którzy po całodziennych łowach w puszczy Sandomierskiej krzepili swe siły.

Ugaszczał ich pan na Żubrzycach Mikołaj Grabina, z rodu zacnego i możnego, człek w latach, jak świadczył włos przypruszony siwizną, ale jeszcze krzepki a siły niezwykłej, bo telegę zaprzężoną w parę koni, gdy się wsparł, przytrzymywał w biegu.

— Sąsiedzi najmilsi, bliżsi i dalsi, nie gardźcie poczęstunkiem, pokornie was proszę— i skinął na pacholków, aby podsuwali szynki z dzika, pieczone barany, smakowite combry sarnie i jelenie, i inne mięsiwa wędzone i warzone.

Goście ulegali zaproszeniu i odkroiwszy podanym nożem płat mięsiwa, brali go w jedną rękę i trzymając nad chlebem, drugą rozdzielali na mniejsze kawały.

— Syty jestem i nie przełknę więcej, jakem Wojciech z Turska, — zawołał rosty blondyn i spojrzał za siebie czy pacholik z miską wody i ręcznikiem jest blisko, aby ręce po jedzeniu mógł umyć.

— Nie gadajcie tak, Wojciechu, — prosił gospodarz, gładząc długą, szpakowatą brodę, — jeszcze jeden kąsek nie zaszkodzi.

— Rozeprze mnie, Mikołaju, — zaśmiał się zaproszony, i umywszy ręce gładził długi włos na głowie, spadający w kędziorach, — jestem tak pełny, jak beczka soli.

— Zalejcie wodą, zaraz wam ulży, — zaśmiał się Pakosław z Dąbia.

Głośnym śmiechem wybuchnęli Białota ze Sławnicy, Skarbimir Dobek z Niedźwiedzia i inni, gdyż wiadomo było, że Wojciech Warpaż z Turska używał wody tylko do mycia, a chętnie pijał miód i piwo. Innym razem Wojciech, będąc po-

rywczym z natury i chętnym do bitki, nie puściłby żartu płazem, ale przy biesiadzie nie wszczynął zwady i rzekł z uśmiechem:

— Nie krzywdź gospodarza, Pakosławie, wody daje on takim wymoczkom jak ty, a rycerzom miodu.

— Hej, radbym być takim wymoczkiem, — śmiał się Skarbimir, niski i krępy, gdy Pakosław był rośły a silny jak dąbek młody.

Gospodarz słysząc tę rozmowę, skinął na syna Rosława, siedzącego w szarym końcu stołu, i wręczając mu klucze, rzekł półgłosem:

— Każ utoczyć dzban miodu kasztelańskiego.

Wkrótce wniósł pacholik wielki dzban pachnącego płynu, a inni podręczni rozstawiali kubki cynowe przed gośćmi.

— Nalewaj, — szepnął ojciec, a Rosław łał w podstawione kubki miód, który w blaskach płonącego ogniska barwił się czerwawo.

Wojciech pierwszy kubek wychylił do dna i podając do napełnienia, zawołał:

— Ot ugościłeś nas, Mikołaju, bo taki miód choremu zdrowie, umarłemu życie wraca.

— Pijcie sąsiedzie, niech wam idzie na zdrowie... oddaj dzban pacholikowi, Rosławku... niech pilnuje pełnych kubków.

Przy miodzie wszczął się gwar rozmów o przygodach myśliwskich dzisiejszego polowania.

— Niema ci to, jak moje psiska Doskocz i Obal, — mówił Skarbimir z Niedźwiedzia, — we dwóch dzika przytrzymają.

Psy, które ogryzały rzucone im kości, gdy posłyszały swe imiona, przybiegły łaszcząc się i ocierając włochate łby o kolana swego pana. On je pogłaskał i krzyknął:

— Do kąta zbóje!

Psy ze spuszczonei ogonami odeszły, a Skarbimir chwając, dodał:

— Dziw, jakie te nieme stworzenia rozumne i posłuszne.

— Co tam wasze psy, — wzruszył szerokiemi barami Białota ze Sławnicy i podkręcając płowego, sumiastego węża: — miałem ci ja psa, ścigły jak jeleni, a pojedynką brał wilka.

— A gdzież to dziwo teraz? — zaśmiał się Wojciech.

— Zdusiła go niedźwiedzica, — westchnął żałośnie Białota.

— Pewnie broniła niedźwiadków, — dorzucił Pakosław.

— Tak ci i było, — skinął głową Białota.

— Brakło tam Rosława Grabiny, — zaśmiał się Pakosław, — były jej łeb rozbił toporem, jako dzisiaj pokazał swą sztukę.

— Prawda!... Prawda! — mówili inni, patrząc z uznaniem na Rosława, smukłego, szesnastoletniego blondyna.

— Taki ci wyrostek, a nas zawstydził, — dodał Wojciech.

Wtem powstał gospodarz, a stuknąwszy w stół, dał znak, że chce przemówić. Spojrzeli goście nie bez zdziwienia, bo Mikołaj Grabina był małomówny i tylko w sprawach ważnych głos zabierał. A on stał wyprostowany, poważny, głową sięgał niemal warstwy dymu, który wychodząc z płonącego kominka, przysłaniał ruchomą, niebieskawą niby tkaniną, powałą belkowaną, modrzewiową. Milczał krótką chwilę, a namarszczone brwi wskazywały że myśl pracuje. Szrama od lewej brwi aż po niżej ucha znaczyła się czerwono, a on kręcąc szpakowatą brodę, zaczął stłumionym głosem:

— Wielce mi miłościwi a przezacni sąsiedzi, ze szczerego serca wam dziękuję, że nawiedziliście dom mój i przy waszej pomocy zaopatrzyłem też chatę w żywność aż do suchego postu, tyle padło żubrów, łosi, jeleni, dzików i sarn z waszej szczodrej a mężnej ręki. Nie mogę też was ugościć, jakoby serce pragnęło, bo brak mi gospodyni rządnej i pracowitej, jako była moja małżonka ślubna... daj jej Boże niebo wiekuiste...

— Amen,— mruknęli goście chórem.

— Ale Bóg wszechmogący wie co czyni, wziął niebogę, aby nie dożyła srogiej boleści, gdy w jednym roku ubito mi dwóch synów, zdrowych

a mocnych jak dęby i jako źbiki cheiwych krwi wrogów świętego krzyża i nieprzyjaciół naszego księcia pana. Z wojewodą Krempą pomściłem krwawo zgon synów na Jaćwieży i Litwie, ale to im życia nie wróci,—mówił zboliałym głosem—niechże odpoczywają w Panu.

— Amen,—dokończyli biesiadnicy.

— Zostały mi dwie dziewczki po nieboszczce, ale kądzielą ród nie stoi... no i ten mój synaczek Rosław... wyrósł mi na schwał, a jak poczyna dzidą i oszczepem, widziały dzisiaj wasze miłościwe oczy, gdy niedźwiedź zaszedł mu drogę. Do koncerza sam układałem mu rękę... dajże mu Panie Boże, spotkać się w polu, a tuszę iż ujmy rodowi nie przyniesie. Proszę tedy waszych miłości, abyście mu pozwolili siaść podle was mimo jego lat młodych...

— Prosimy... prosimy...

— A przez pamięć sąsiedztwa nie skąpili mu rad i serca waszego, — kończył i skinął na syna.

Rosław zaczerwieniony z radości, szybko podszedł do ojca, schylił mu się do kolan i ucałował rękę, a ojciec zmagając rozczulenie przycisnął jego jasną głowę do piersi i rzekł głosem surowym:

— Męstwem, szlachetnością i słownością zjednasz sobie księcia pana i najmiłościwszych sąsiadów.

Rosław kolejno podchodził do każdego z gości szlacheckich, schylał się do kolan, całował w ramię i nawzajem odbierał pocałunek w czoło na znak równości i braterstwa. Obszedłszy wszystkich, usiadł podle Pakosława z Dąbia, który uśmiechając się przyjaźnie, rzekł:

— Przyjedź, młody władko, do mnie na łowy, znajdziesz robotę, bo niedźwiedź u mnie częsty, a dzik zwykła zwierzyna.

— Wezwanie waszej miłości jest dla mnie zaszczytem,—odpowiedział zarumieniony.

— Grzeczny z wasci młodzieniec,—uśmiechnął się łaskawie Pakosław.

— Mikołaju, —odezwał się Skarbimir Dobek z Niedźwiedzia do gospodarza, —ażali prawdziwe są wieści, że miłościwy nasz pan, książę Bolek zamierza ruszyć na jakąś wojenną wyprawę?

— Słyszałem, ale wici nie rozestano — odpowiedział z ociąganiem.

— Coś w tem jest, — dorzucił Wojciech Warpaż z Turska,—bo słyszę, zaciężniki ściągają się do Sandomierza... a trzy niedziele temu były łowy książęce, aby zaopatrzyć spiżarnie grodu.

— A z Rusi nie było wieści? — dopytywał się Białota ze Sławnicy,—bo macie tam po waszej nieboszczce powinowatych i krewnych.

— Przysyłali na wielkanoc minioną bracia mej nieboszczki Izasławicze, wieści przez posłańca, że

jakiś lud srogi, a niepodobny do znanych narodów, zwojował Moskwę, zagarnął Kijów.

— Słyszałem i ja o tem nasieniu dyabelskim,—odezwał się Wojciech z Turska,—mówią, że chodzą na nogach, jako my ludzie i chrześcijanie, ale mają nogi i ogon koński.

— Co mówicie!—zawołał ździwiony Białota—azali mogą być takie potwory? Jakoż jedzą i piją?

— Dlaczegoż by nie,—rzekł zasepiony Skarbimir,—bywają dziwy na świecie... Opowiadano mi, że oni czarują.

Wszyscy niespokojnie obejrzelili się, ci i owi splunęli, aby odczynić uroki, tylko Mikołaj mruknął niezadowolony:

— Babskie bajdy, i nie warto nam rycerzom posłuchu im dawać... I ten posłaniec Izasławiczów plół o tym ludzie niestworzone rzeczy i tak zastraszył pospólstwo i niewiasty, że zagroziłem mu ucięciem języka.

— I co mówił? — dopytywał się Pakosław z Dąbia, — bo opowiadano mi, że oni nigdy nie śpią, ścigają się z wichrem, a ogniem zioną w bitwie, i taki smrodliwy dym puszczają na przeciwników, że ci padają uduszeni.

— Strach ma wielkie oczy, — rzekł wzgardliwie Grabina, — nie stawiał im czoła książę Moskiewski, ani książę Kijowski, to i dziwolągi wynajdują na swe usprawiedliwienie.

Wśród chwilowego milczenia odezwał się Wojciech Warpąż, popijając miód:

— Mikołaj ma słuszość, zna on Rusinów, bo pokumał się z nimi.

— Kumali się nasi książęta, — powiedział chmurnie gospodarz — wolno i mnie... a Izasławiczów kniaziówna rodzi.

— Słyszałem o tem po kilkakroć od siostry nieboszczki jejmości, Olgi, która waszym sierotom matkę zastępuje, — uśmiechnął się Wojciech, — ale zawsze wolę naszego komesa od ich bojara, a ty, Rosławku, jak?

— W Sandomierskiej ziemi się rodziłem, to mi wybór nietrudny.

— Udałeś mi się, — klasnął w ręce Wojciech, — będzie miał ojciec pociechę z ciebie.

Wtem do uszu biesiadników doleciał, mimo poświstu wiatru, trzykrotny odzew obcego rogu, na co mu odpowiedział krótki, urwany odgłos rogu wartownika.

Wszystcy w oczekiwaniu patrzyli na ciężkie drzwi komnaty, czekając nowiny o gościu.

Po chwili wszedł służebny owinięty w kochy, i pokłoniwszy się nisko w stronę gospodarza, rzekł:

— Rycerz, Wojśław Dobiesławicz, z dworu książęcego, żąda wpuszczenia.

— Otwórz... niech pamiętają o koniach i pacholkach.

— Jeśli nie prosi, ino żąda wpuszczenia, — mówił Skarbimir, — to z rozkazem przybywa.

— I ja tak myślę — powiedział gospodarz. Wstał z ławy i szedł ku obszernej sieni, aby przywitać przybyłego.

Za nim ruszyli wszyscy, a pacholiki ze smolnem łuczywem stanęli rzędem za szlachetnymi gośćmi.

Chwiejny płomień łuczywa rozświetlił obszerną sien, a ze ścian poczerniałych wystąpiły łby: niedźwiedzie z białemi zębami, żubrze z krótkimi a silnemi rogami, łosie z palczastemi a rozgałęzionemi, jelenie z zaopatrzonemi w ostre, liczne odrości. Świeciły się białe wielkie kły odyńców i szczyrzyły się ostre zęby rysie.

Po przez silną, kowaną bramę sieni, słyhać było parskanie koni, krótkie rozkazy, aż wreszcie otwarły się drzwi w bramie i wszedł okazały mąż, a oddając służbowemu oponczę, zdjął bobrową czapkę i rękawice, a wyprostowawszy się, obciągnął obcisłą kurte, zdobną sobolim kołnierzem i rzekł dźwięcznym głosem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków.

— Pokój temu domowi.

— I z tobą, miły gościu — powiedział gospodarz.

— Czołem waszej miłości i przezaacnym towarzyszom.

— Czołem — odpowiedzieli chórem.

— Przyjeżdżam z rozkazem najmiłościwszego pana i księcia Sandomierskiego.

— On i naszym panem i księciem — rzekł Grabina poważnie,—bądź mi pozdrowiony, rycerzu Wojsławie, i pokornie was proszę przestąpić progi mego domu.

— Wasza miłość tu gospodarzem, rozkazujeś, jestem posłuszny.

— Witaj mi, witaj, miły gościu,—wyciągnął Grabina rękę.

Szybko podał mu swą prawicę Wojsław, a potem kolejno innym, aż utknął na Rosławie i spojrział pytająco po obecnych, których znał osobiście.

— Syn mój Rosław, — odezwał się gospodarz, — przyszły dziedzic Żubrzyc i głowa rodu.

— Witaj mi młodzieńcze, — uśmiechnął się Wojsław podając rękę, — z rodu zacnego jesteś, to będziesz zacny i w radzie, i w boju.

— Czego mi Panie Boże daj doczekać szczęśliwie,—skłonił się młody.

— Może Pan Bóg wysłucha cię prędzej aniżeli przypuszczasz, — westchnął Wojsław.

Mikołaj Grabina otwierając drzwi do komnaty, zapraszał:

— Raczcie wejść rycerzu i pokrzepić wasze znużone siły.

— Nie tak zgłodniałem, — mówił gość wchodząc, — ile ziańb mnie ogarnął, bo chociaż ma się ku wiośnie, ale wziął pod noc przymróz.

— Siadajcie rycerzu podle komina — przysunął gospodarz stołek drewniany z oparciem.

— Jeśli macie ziańb we wnętrzu, to najpierw piwo grzane, a potem miodu ze trzy kubki, — doradzał Wojciech z Turska.

— Dobre leki, — zaśmiał się Wojstław, gładząc kędziory spadające mu z boku; — bo i podniebieniu i zdrowiu służą.

I gdy tak gwarzyli koło komina, wniósł pacholik misę gorącego piwa z twarogiem pokrajanym w kostki, a gospodarz prosił z ukłonem o nieodrzczenie posiłku.

Wojstław jedząc polewkę rozejrzał się po komnacie i zwracając się do gospodarza:

— Wasza miłość posiadacie zaćną zbrojownię, — wskazał na błyszczące w blaskach kamiennego ognia topory, dzidy, trójzęby.

— Mam ci tego trochę, — odrzekł zadowolony gospodarz, — te sajdaki i łuki to zdobył nieboszczyk ojciec na Rusinach, a tę zbroję, — wskazał

na misiurkę i pancerz, — ściągnąłem z Niemca, gdy chciał zdobyć mój skromny grodek.

— Wasza miłość żarty lubisz, — uśmiechnął się Wojśław, — bo na tym skromnym grodku połamał sobie zęby i Niemiec, i Litwin, i Rusin.

— Ano, jakoś z pomocą Bożą wróg nie stanął jeszcze na dziedzińcu Żubrzyckim, — powiedział gospodarz, gładząc szpakowatą brodę.

— Nie grodek to, ale bez mała obronny zamek i bezpieczniej tu aniżeli w grodzie, — dodał Skarbimir Dobek.

— Dajże wam Panie Boże, — mówił Wojśław poważnie, — aby nie ogarnął Żubrzyce nowy a straszny wróg chrześcijaństwa, który godzi na ziemię Sandomierską.

— Co mówicie?... Prawda-li to?... — zawołali ci i owi.

— Nasz pan i książę otrzymał wiadomość z dworu Halickiego, że Tatarzy wyruszą na nasze księstwo, skoro obeszną zimowe drogi, a młoda trawa puści.

— Niedoczekanie wasze! nasienie dyabelskie! — zawołał groźnie Pakosław, — zachciewa wam się kraju i bogactw naszych, ale, Boga mi, żaden z was żyw od nas nie wyjdzie.

— Wysoko cenię waszej miłości odwagę — przemówił Wojśław, — ale inny to naród aniżeli Niemcy, Litwa, Jaćwież albo Rusini. Jednym

Tatarzy w Sandomierskiem.

zamachem zajęli księstwo Moskiewskie, Kijowskie, a Daniel Halicki pokłony bił królowi tatarskiemu i w ten sposób uratował życie.

— A któż teraz na tronie Halickim?

— Z ramienia króla tatarskiego i jako poddany jego siedzi Daniel w Haliczu, a na każde zawołanie musi dać ludzi, koni, żywności.

— Hm... hm... to źle wróży, — rzekł zwolna Wojciech z Turska, — bo w takim razie musimy walczyć nietylko z onym szatańskim narodem, ale i z ich sojusznikami.

— Sojusznik to poniewolny, — uśmiechnął się Wojśław, i najmiłościwszy nasz ksiązę posłał na Ruś swych powierników, aby się z nami przeciw tym łupieżcom obrócili.

— Ano, jeśli wspólnie uderzym, a tak na pierwszopy, to wytniem to łotrowstwo bezecne, — uśmiechnął się Białota ze Sławniczy.

Wojśław zauważył, że gospodarz siedział chmurny, podparłszy ręką głowę i coś waży w myśli, zwrócił się też ku niemu z pytaniem:

— O czem dumacie?

— Czekam rozkazu pana i księcia naszego, bo nas na radę nie proszono, to i po co strzepić język.

— Powstańcie z miejsc wasze miłości, bo mówię w imieniu panującego, — zawołał Wojśław tonem urzędowym, a skoro wszyscy stanęli, rzekł:—

W imieniu pana naszego i księcia dziedzicznego tej ziemi, szczęśliwie nam panującego Bolesława, wzywam was, Mikołaju Grabina na Żubrzcach, abyście konno i zbrojno wraz z czeladzią stawili się w stołecznym grodzie Sandomierzu do trzech dni. Tyle słów pana naszego, — skończył i usiadł.

— Rozkaz wypełnię, — skłonił się gospodarz, a zajmwszy swe miejsce, — cóż tak spieszo?... Wprawdzie w czas opatrzyłem mój grodek i chociażby jutro mogę wyruszyć, bo zastąpi mnie syn tutaj, ale inni? ale reszta?

— Książę pchnął na wsze strony swych dworzan, bowiem w tych dniach ma przybyć z drużyną liczną Bolek Kondratowicz z Mazowsza i razem z naszym panem wyruszyć mają przeciw wrogom. Gdy Mazowszanie zabawią długo w grodzie, może zbraknąć żywności na później.

— Sprawiedliwie, — przytakiwali obecni, a Wojciech dodał: — pojedę, spieszo mi do domu, abym ostatni nie przybył do grodu.

— I my, — zakrzyknęli inni wstając z ław.

— Czekaścież, miłościwi sąsiedzi — zawołał gospodarz, zagradzając im drogę, — miesiąc już zaszedł, ciemnica czarna, a wichher dmie. Do dnia niedaleko, prześpicie się, a rankiem ruszycie.

— Nie może być... zaraz jedziem, — upierał się Pakosław.

W odpowiedzi na te słowa wichur tak silnie uderzył w okno, że okiennica zajęczała, a z węglów i z murów rozległ się przeciągły skowyt wichru.

— Nie puszczę was, tak mi Panie Boże dopomóż.

— Zostańcie, zostańcie, — doradzał Wojsław, — pewno ktoś się obwiesił, gdy wichur tak hula... może was manić, wodzić, kusić.

Dali się nareszcie uprosić, i gospodarz do osobnej izby poprowadził Wojsława, jako posła ze dworu, a wróciwszy kazał pachotkom przynieść skór niedźwiedzi i wilczych, aby sąsiedzi spoczęli i usnęli.

Nad ranem wichura ustala, natomiast schwył ostry przymrozek, ściał wilgotną ziemię, a gdzie w załomach i zaułkach ostał się śnieg, lśnił srebrem w białych promieniach słońca.

Od wczesnego dnia panował ruch na dziedzińcu zamczku Żubrzyckiego, gdyż czeladź i pacholey gotowali się do drogi powrotnej z rozkazu swych panów.

Goście zamkowi, po umyciu się i krótkiej modlitwie, zasiedli do mis z barszczem, w którym pływały gęsto tłuste, wędzone kawałki wieprzowiny i dziczyzny, a podjadłszy zaczęli się żegnać z gospodarzem, przestrzegając ściśle starszeństwa i ceremoniału.

Najpierw pokłonili się poczesnemu kątowni komnaty, gdzie wisiał świątek, następnie dziękowali gospodarzowi za spokojne spanie, za jadło, napitek i bezpieczeństwo. Gdy każdy z osobna pożegnał gospodarza, stanęli rzędem, pokłonili się i obiecując sobie rychłe spotkanie w grodzie stołecznym, w Sandomierzu, wyszli na dziedziniec.

Dosiedli podanych koni, a wówczas gospodarz dał znak straży stojącej u bramy wjazdnej, że goście mogą odjechać swobodnie. Zdarzało się bowiem, że pod osłoną gościnności przyjeżdżali błędni rycerze, czasem i łotrzykowie, którzy mogli skrzywdzić mieszkańców, albo też przywłaszczyć sobie cenne rzeczy, więc bez pozwolenia pana nie wolno było straży otwierać bramy.

Wraz ze sąsiadami pojechał i Wojślaw, miał bowiem jeszcze kilku innym znamienitym kome-som objawić wolę i rozkaz księcia.

Zaraz po wyjeździe gości kazał pan na Żubrzycach starszemu ze swej czeladzi opatrzyć broń podręczną i zapaśną, a więc dzidy, łuki i sajdaki; wyostrzyć koncerz zdobyty na Niemcach; oczyścić pancierz kolczaty, który wkładał na miękko wyprawioną koszulkę ze skóry żubra.

Koniuszemu dał też rozkaz, aby konie tak podręczne jak i luzaki były gotowe, i wozy przysposobione na żywność, skóry, obroki i inne potrzeby wyprawy.

Sam wraz z Rosławem doglądał wszystkiego osobiście, przyuczając syna jak ma sobie poczynać, gdy przyjdzie ruszyć na wyprawę wojenną.

Pod wieczór, gdy już niemal wszystko do drogi było gotowe, kazał podać wieczerzę w gościnnej wielkiej komnacie i zaprosić do stołu córki dwie, Swochnę i Jewkę, ciotkę ich po matce Olgę Izasławiczównę, i czteru starszych dworzan, a mianowicie Małgoszcza, burgrabiego zamku; Trzyszkę przełożonego nad spiżarnią i piwnicą; Kunę dozorującego konie i Chmurę naczelnika czeladzi i straży.

Przy wielkim dębowym stole usiadł na pierwszym miejscu Mikołaj Grabina, mając po prawej stronie syna Rosława, po lewej siostrę żony Olgę, niewiastę już w latach, a za nią usiadły Jewka, dziewczyna osiemnastoletnia, szatynka z wijącemi się włosami, z twarzą wesołą, uśmiechniętą, widać było że każdej chwili, gotowa była do żartu, do psoty. Natomiast jej siostra, piętnastoletnia Swochna miała w swej twarzy powagę nad swój wiek, a ciemne jej oczy patrzyły badawczo i przenikliwie, jak gdyby zapamiętać chciały każdy ruch, każde słowo.

Obydwie ubrane w kaftany wygodne, w krótkie spódnice i buciki z wysokimi cholewami, łączyły w sobie energię chłopców z wdziękiem dziewczęcym.

W szarym końcu stołu siedzieli zaproszeni na wieczerę dworzanie.

Po krótkiej modlitwie, idąc za przykładem pana usiedli i w milczeniu jedli polewkę piwną. Wszyscy patrzyli z uszanowaniem na gospodarza i jakkolwiek byli zaciekawieni dlaczego dziś podano wieczerę w gościnnej świetlicy, nie śmiał nikt i słowem się odezwać.

Po polewce wniesiono na wielkich drewnianych misach podswinka upieczonego, a pacholek przeznaczony do krajania stanął za panem domu i czekał skinienia, który płał mięsa każe odciąć dla siebie.

Gdy skończono tę milczącą wieczerę, zwrócił się gospodarz do służebnego i rozkazał:

— Zawołaj orężnych, pachoiików, parobków, i dziewczki... wszystkich krom zajętych pracą.

Wszyscy spojrzeli zdziwieni na siebie, tylko Swochna i Rosław zamienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenie, domyślili się, że dzisiejsza wieczerza ma związek z wczorajszem oznajmieniem sąsiadom, iż Rosław jest dziedzicem Zubrzyc.

Gdy służebny zawiadomił że służba jest w sieniach, rozkazał gospodarz:

— Dziesiętnicy orężnych niech wejdą do świetlicy.

Weszło pięciu rośliych, silnych chłopów w samodziiałowych kurtach przepasanych surowcówem

pasami. Płomienie smolnych drew, trzaskających na kominie, oświetliły ich surowe, zarosnięte twarze, błyszcząły w obuszkach zatkniętych za pasem.

Wraz z dymem komina zmieszała się przy ich wejściu ostra woń niewyprawnej skóry ich kierpców, przymocowanych do nogi paskami owijającymi się aż do kolan.

Mikołaj Grabina powiódł okiem surowem po wszystkich, pogładził brodę, odkaszlnął i wstał z ławy. Powstali wszyscy, a on zaczął głosem dobitnym:

— Wyjeżdżam... w czasie mej nieobecności panem i dziedzicem mianuję mego syna, Rosława Grabinę... On ma prawo sądu i kary nad wszystkimi; jego rozkazów macie słuchać nie roztrząsając ani słów, ani czynów jego. Cokolwiek postanowi, macie spełnić, bo taki jest mój rozkaz, taka jest wola moja... Słyszycie? — zwrócił się ku drzwiom otwartym do sieni.

Odpowiedziano pomrukiem.

— Rozumiecie?

Odpowiedziano zgodnym chórem.

— A teraz, Trzystko, na pamiątkę dnia tego, dać każdemu i każdej podwójną miarę jadła, i wytoczyć z piwnicy dziesięć beczek piwa, niech się ucieszą.

Skinął ręką aby odeszli, a gdy ruszyli się dworzanie od stołu rzekł:

— Małgoszczu, ostań się.

Gdy w świetlicy została tylko rodzina i Małgoszcz, usiadł pan Żubrzyce i po krótkim milczeniu, zaczął:

— Jadę z wyprawą książęcą... tuszę sobie iż przepłoszymy wroga, jako Rusini mają w bitwie przejść na naszą stronę... ale na wojnie różnie bywa... na wypadek śmierci mojej poruczam ci Rosławie opiekę nad siostrami, oprawę masz im dać sutą, godną rodu; ciotkę Olgę Izasławiczównę szanuj, a dożywociem daję jej sześć osad mazurskich na skraju puszczy, nad rzeką...

— Dziękuję waszej miłości, — odezwała się Izasławiczówna, rozpogodziwszy swą twarz chmurną, — mam to przekonanie, że waszmość wrócisz zdrów i cały. Będę codziennie prosiła Preczystą Kijowską o wasze powodzenie.

— Dziękuję wam, a pilnujcie dziewcząt, one na waszej opiece... Rosławie, zanim cokolwiek rozpocznie, zawsze zasięgnij rady Małgoszcza, on mi jest nie sługą lecz przyjacielem; on też i nadal ma przyjmować rachunki od włodarzów, skotników, bartników i wszelkie czynsze i powinności osadników.

— Dziękuję waszej miłości za zaufanie i nie zawiodę — skłonił się nisko Małgoszcz, tak że si-

wa jego głowa dotknęła kolan pana, który łaskawie uściśnął mu głowę mówiąc:

— W twoje ręce zdaję syna i majątek,—a do Rosława:

— W razie napadu i oblężenia otwórz ludności okolicznej gościnne wrota. Każdy chłop niech staje na murach i pełni służbę, a niewiasty i dzieci trzymaj Rosławku w osobnym budynku, aby swym lamentem nie odbierały serca mężczyznom... Widomym panem będziesz, ty Rosławie, ty rozkazujesz, ale prawą ręką twoją ma być Małgoszcz. taka wola moja.

— Posłucham was ojcze,—skłonił się Rosław.

— Ze Sandomierza i z pochodu dam ci wieści... a teraz Panu Bogu was poruczam... ty Rosławie pójdź za mną...

Sypialny pokój był po drugiej stronie domu i pacholik z płonącym łączywem rozświetlał niski a długi korytarz i stanął przed zamkniętymi drzwiami.

Pan wyjął klucz wielki, otworzył, wszedł, wziął łączywo z rąk pacholika, zapalił knot w kaganku napelnionym sadłem, i skinąwszy na służebnego aby odszedł, zamknął drzwi na klucz. Usiadł na tapczanie zasłanym puszystymi futrami i wskazując na stół:

— Siadaj Rosławku i słuchaj... Ten tu kufer pod ścianą jest przeznaczony na papiery ro-

dzinne, nadania i klejnoty dziewcząt, gdy w gościnę jada. W tej skrzyni kowanej są odświeżone ubrania rodowe, co pół roku czyści je zaufany pod moim dozorem, bo są tam złotogłowie i wyszycia drogocenne. W mej nieobecności będziesz sypiał w tej izbie.

-- Dobrze mój ojcze.

Po chwilowem milczeniu wstał Mikołaj Grabina, zwolna otworzył drzwi wiodące na korytarz, nasłuchiwał, następnie zamknął, zdjął krucyfiks wiszący nad tapczanem i rzekł surowo do syna:

— Klękniij... połóż dwa palce prawej ręki na Męce Pańskiej i powtarzaj moje słowa... Klnę się na zbawienie duszy mojej i moich potomków, iż tajemnicy dziś mi powierzonej nikomu nie zdradzę, a użyję jej tylko w ostatecznym razie, gdy znikąd pomocy i ratunku nie będzie. Tak mi dopomóż Panie Boże i wszyscy święci. Amen.

Rosławek wzruszony wykonał przysięgę, a ojciec wieszając krucyfiks nad tapczanem mówił:

— Z ojca na dziedzica syna przechodzi ta tajemnica, a ktokolwiek by ją zdradził bez koniecznej potrzeby, na tego padnie przekleństwo pradziadów, dziadów i ojca... Pamiętaj!

Przeszedł się kilka razy po izbie, wziął kaganek do ręki, i stanawszy między tapczanem a kufrem, skinął na syna i rzekł:

— Przyjrzyj się dobrze tej ścianie... Nie nie spostrzegasz, prawda?

— Tak jest ojcze... Cała izba wyłożona drzewem od powały do podłogi i wszędzie jednaka.

— Odlicz piąty kwadrat od rogu... dobrze... teraz naciśnij ku oknu, na lewo...

Kwadrat, wielkości pół człowieka usunął się za dalsze, i oczom Rosławka ukazał się jednolity kamień ciosowy.

— Pchnij go z lewej strony.

Po krótkim naporze zgrzytnęły zawiasy o kamień, płyta kamienna otwarła się na kształt drzwi i z głębi czarnego chodnika wionął chłód i surowizna podziemna.

Rosław cofnął się i zdumiony patrzył to na ojca, to na czarny otwór.

— Gdy wróg zamek zdobędzie, ty chroniąc swój ród od niewoli lub śmierci, ujdiesz ze swoimi tą drogą, odebrawszy od nich uroczystą przysięgę, że nigdy, nikomu nie zdradzą tej tajemnicy rodzinnej.

— Rozumiem ojcze... A dokąd wiedzie ten chodnik?

— Do przyległego boru, w ostęp wilczy. Na końcu chodnika jest ciosowy kamień na zawiasach, otwiera się naciskając prawą stronę... To pierwsza tajemnica, którą ci powierzam, jako swemu dziedzicowi prawowitemu... Zamknij!

Po kilku próbach namacał Rosław na płycie od strony wewnętrznej wyrżnięty rowek i rozbujawszy płytę zatrzasnął otwór i zasunął drewniany kwadrat.

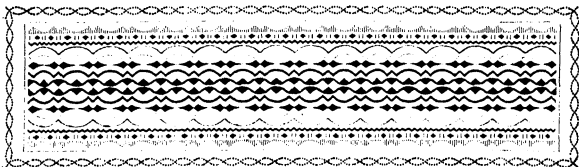
— Dla niepoznaki przesuвам sprzęty w izbie i dobrze nieobeznany nie znajdzie piątego kwadratu.

Milczał czas jakiś, wreszcie podszedł do okna, otworzył skrytkę w murze i rzekł:

— Tu są klejnoty i pieniądze rodzinne. Gdy trzeba okup gotowizną złożyć albo niedostatek zagraża rodowi, wolno ci wziąć... Ale pod grozą przekleństwa musisz zwrócić coś wziął i co roku dziesięcinę z gotowego grosza tu chować... W przyległej komorze, — otworzył drzwi, — leżą pieniądze na potrzeby bieżące. Są tu setki skórek: gronostajów, sobolów, kun i bobrów, a na policach kawałki soli. Wydatkuj oszczędnie a płać sprawiedliwie...

Zamknął komorę z gotowym groszem, w owych bowiem czasach moneta srebrna i złota była wielką rzadkością, a bieżącym pieniądzem były skórki gronostajów, sobolów, kun i innych szlachetnych futer, również kawałki soli.

— Zmęczyl mnie dzień dzisiejszy, legnę spać... Zawołaj mi pacholika, a pamiętaj słowa moje i twą przysięgę.



II

W Żubrycach.

Rosław po wyjeździe ojca chodził przez kilka dni osowiały i smutny. Nigdy, o ile zapamiętał, nie żegnał się ojciec tak uroczyście przy wyjazdach swych na wyprawy wojenne, jako ostatnim razem. Opanowały go smutne przecucia, że nigdy już nie ujrzy ojca, że słowa które sły-szał były ostatniemi...

Zgnębiony błądził po zamku, nie wglądając w żadne sprawy bliżej, jedynie wieczorem, po zachodzie słońca, siadał w wielkim krześle ojca i kolejno wysłuchiwał sprawozdania Małgoszcza, Trzystki, Kuny i Chmury.

Dworzanie, jak zwykle dworzanie, starali się przypodobać młodemu dziedzicowi i pozyskać

jego łaski, więc Trzystka prosił, by zajrzał do lochów i spróbował miodu, który pamięta króla Bolesława Krzywoustego. Kuna zachęcał do obejrzenia stadniny, dobrał bowiem cztery srokosze do wyjazdu; a Chmura zachwalał obrotność i sprawność orężnych pachołków.

Rosław, niezwykajny tych nadskakiwań i prośb niezwykłych, był w lochach, poszedł do stadniny, obejrzał orężnych, ale tylko na chwilę zajęło to jego oczy, natomiast myśl, jak ptak uwięziony, zawsze była przy ojcu, zasmucona rozstaniem, zasepiona złowrogimi przeczuciami.

Po śnieżycy i przymrozkach marcowych w czasie wyjazdu Grabiny, nastąpiły ku zdumieniu ludzi, dni ciepłe i pogodne, tylko nocą biały mróz pokrywał ziemię i drzewa powłoką delikatną, która rankiem migotała brylantowo w promieniach słońca. Zdawało się, że wiosna już nastaje, bo w zaciśniętych załomach od południa poczęły rozwijać się trawy, i nieśmiało wychylały się blade pierwiosniki.

Rosław wszedł na basztę strażniczą i pilnie rozglądał się w około, czy nie dojrzy zbliżającego się wystawnca od ojca.

Żubrzyce stały na wyniosłej skale, a ze strażnicy można było dojrzeć wielki kęs kraju. Szumiała falami bystreml rzeka Wschodnia, a w dolinie wprawne oko mogło rozeznąć drogę wiodącą

ku Wiśle, na której kolysały się puste komniegi, szkuty, galary Grabiny, wiozące jesienią wosk, miód, drogocenne futra ku handlowym miejscom. W około, jak okiem zasięgnąć, szumiał stary bór, tylko tu i owdzie wśród ciemnej zieleni wznosił się łysy, skalisty wierzch góry, a z jarów przyrzecznych słał się po szczytach drzew siwy dym z osiedliszcz ludzkich.

Gdy Rosław stał tak na baszcie, oparty o zwał głazów kamiennych, przygotowanych na obronę przed wdzierającymi się wrogami, dojrzał o kilka staj szybko idącego Strzeczkę, dozorcę barci leśnych.

Zjawienie się jego nie w porę, zdziwiło Rosława, i zeszedł z baszty aby dowiedzieć się przyczyny.

Gdy Strieczka, ubrany w kozuch i lipowe kierpce, ujrzał młodego dziedzica, zerwał z głowy wielką, uszatą czapkę, przyozdobioną głową kuny, i schylając się nisko, że wielkie, zmierzwióne włosiska omal nie zamiotły ziemi, rzekł grubym głosem:

— Wielmożność... miś zakradł się w nocy... zaczarował psy albo co, bo ani drgnęły... no i podebrał miód... w nocy ino patrzeć a będzie, bo takiemu psubratu smakuje miód... wiadomo.

Rosław przypomniał sobie ostatnie łowy, po których ojciec mianował go współdziedzicem, za-

błysły mu oczy, i dawszy znak ręką Strzecce, aby czekał, sam poszedł do Małgoszcza.

— Niedźwiedź podbiera barcie, — przemówił do starego, — zapoluję dziś w nocy.

— Wola waszej wielmożności... a Suczek będzie towarzyszył w łowach.

— Nie dziecko jestem, abym piastuna potrzebował, — zachmurzył się Rosław.

— Nie piastun to, ale sługa, a na głowie waszej wielmożności zamek i siostry wielmożne... niedźwiedzi kupa u nas, a wielmożność jeden na świecie.

— Niechże będzie i tak, — westchnął Rosław.

Ożywiony nadzieją polowania, sam wyznaczył obławników, wybrał psy i zanim słońce zaszło kazał kulbaczyć konie.

Niedaleko barci odesłał konie do domu, a sam wraz z obławnikami ruszył na zasadzkę.

Miesiąc był na młodziku, skąpo oświetlał szczyty drzew i tylko tu i owdzie przedarł się przez gęstwinę konarów blady jego promień.

Czekali.

Dopiero około północy, gdy kwoka z kurczętami wpłynęła na niebo, a miesiąc chylił się ku zachodowi, posłyszano trzask gałęzi i wśród ciemnych pni zaświeciły się oczy zwierza.

Stanął, węszył i po chwili jął się drapać na drzewo z barcią.

Rosław dał znak.

Puszczono psy, wpadły na trop, i rozgłośnym skowytom, na różne tony zaczęły grać w boru, zachęcane okrzykiem do gonitwy.

Niedźwiedź nie czekał natarcia, szybko zeskoczył z drzewa, jednym dotknięciem łapy złamał krzyż najzjadlejszemu psu, drugiemu rozdarł łopatkę... Wszczął się żałosny jęk psi, grube naszczekiwania innych, okrzyki myśliwców, a nad tem wszystkim zapanował ryk niedźwiedzia rozjuszonego.

Rosław, który dobiegł do broniącego się niedźwiedzia, naciągnął łuk, puścił strzałę świeższą i zranił go w dolną wargę.

Niedźwiedź ryknął groźnie, a słysząc nadbiegających ludzi, rzucił się w gęstwinię.

Długo w noc słychać było ujadanie psów, powtarzało je echo i' niosło po całym borze. Było jednak zbyt ciemno, aby iść śladem psów; zabrał Sucek i z wolna ściągają się zziązane psy.

To nieudane polowanie podnieciło zapal myśliwski Rosława, i dzień w dzień wyjeżdżał na łowy, zwiększając ilość obławników, myśliwych, psów i koni.

Zaprzestał wysłuchiwania sprawozdań wieczornych, nie wglądał w żadne sprawy, a gdy Małgoszcz pytał go o rozstrzygnięcie wątpliwości, zbywał go słowami:

— Róbcie, jak uważacie, zgadzam się na wasze zdanie.

Zdawało się Małgoszczowi, że z chwilą gdy nadeszła wiadomość ze Sandomierza od ojca, iż wkrótce ruszy wyprawa, Rosław zaniecha łowieckiej zabawy, a zajmie się sprawami zamku i gospodarstwa, jednak młody dziedzic polował w dalszym ciągu.

Jednego dnia, gdy Rosław zarządził wielkie łowy na stado dzików, a przyjechawszy późno sam siadł do wieczerzy, wszedł Małgoszcz i wyprostowany stanął blisko drzwi. Jasny ogień komina oświetlał chmurną i poważną twarz Małgoszcza, który czekał zapytania.

Zgłodniały po całodziennem polowaniu Rosław zajadał ze smakiem gorące mięsiwo, a widząc stojącego, rzekł:

— Co mi powiecie, Małgoszczu?... Jeśli o sprawach zamkowych, to wasza w tem głowa.

— Nie o łupinę tu chodzi, ale o jądro... Do waszej wielmożności z woli i rozkazu jego miłości ojca należy sąd... przyszedłem po sąd.

— O cóż idzie? — spytał obojętnie — jeśli zawinił kto, ukarście według zwyczaju naszego.

— Nie do mnie sąd należy... wysłuchaj wasza wielmożność sprawy.

— Dobrze, byle krótko.

Chwilę namyślał się Małgoszcz, wreszcie potarł szpakowate włosy, przygładził brodę długą i zaczął:

— Było to dawno, niedawno... rycerz nad rycerzami jechał na wojnę, i wszelką majątność i zamek dawny zostawił synowi umiłowanemu, mówiąc dworzanom i służbie: rozkaz tego umiłowanego jest moim rozkazem, wola jego jest moją wolą.

Rostaw rzucił psom kości i zawołał niecierpliwie:

— Nie chcę baśni... do rzeczy!

— A ten umiłowany — mówił spokojnie Małgoszcz — zabiera służbę, orężnych, straż nawet i konie, ogałaca zamek i bawi się...

— Hej, stary! czy do mnie pijesz? — zerwał się Rostaw ze stolka i spojrzał gniewnie.

— Przyszedłem po sąd — mówił śmiało Małgoszcz — osądź go wasza wielmożność.

— Nie wasza rzecz, Małgoszczu, roztrząsać me czyny... idźcie, dość tej próżnej gawędy!

— A sąd?

— Do pioruna! — krzyknął Rostaw — jaki sąd? kto zawinił?

— Osądź sam, wasza wielmożność... jeśli kto nie spełnia przyjętych obowiązków, a przyjemność, która ma być ośłoda i wypoczynkiem, jest mu chlebem codziennym... czyż nie zawinił?

— Precz, zuchwały starcze! albo surowiec nauczy cię szacunku! — z iskrzącymi gniewem oczyma postąpił kilka kroków ku stojącemu.

— Odchodzę... — skłonił się Małgoszcz — spełniłem swój obowiązek.

Tej nocy źle spał Rosław. Czuł, że zasłużył na nagane, że postępuje niewłaściwie, ale przez dumę i upór postanowił nie zmieniać trybu życia, i wczesnym rankiem ruszył na wielkie łowy.

Dziś jednak nie cieszył go gwar myśliwych, granie ogarów w kniei, ubite dziki, wesołe ognisko w borze. Siedział chmurny i posępny, zapatrzone w płonący ogień.

Ważyły się w nim złe i dobre myśli; z jednej strony podrażniona duma, z drugiej słuszność słów Małgoszcza. Czas przecież spokojny, nie grozi Żubrzycom, a w zamku tak nudno, jednostajnie, ciemno... dlaczegoż nie ma polować i gromadzić żywności do spiżarni zamkowej?

Ojciec jednak rzadko wyjeżdżał na łowy, a przebywając w zamku zawsze miał dużo zajęcia... sądził sprawy i wglądał w czynności Małgoszcza, Trzystki, Kuny i Chmury; zachodził w niewieście komnaty, dopytując o robotę córek, o pracę służebnic...

A jeśli istotnie dzieją się jakie nadużycia? jeśli marnieją zapasy i dostatki? jeśli te wyjazdy

na łowy rozluźniają posłuszeństwo oreźnych, a reszta służby niedbale pełni swe obowiązki?

Ogarnął go niepokój wobec odpowiedzialności przed ojcem, i gdy po odpoczynku zamierzano zapolować w innej kniei na wilki, Rosław rzekł do Suczka:

— Rozstawcie w Czarnym Jarze strzelców i obławników, a po skończonem polowaniu zatrąbcie do odwrotu. Sam pojedę przodem do zamku.

Stało się, jak rozporządził: a gdy myśliwi zajęli stanowiska, Rosław wymknął się niepostrzeżony i kłusem jechał do domu.

Zdziwił się, że z baszty wartowniczej nikt w róg nie uderzył, aby otwarto bramę.

Gdy wjechał w sklepienie bramowe, rzekł surowo do odźwiernego:

— Gdzie wartownik basztowy?

— Ja jestem na służbie dzisiaj, ale że wartownicy bramowi wyjechali na polowanie, muszę sam pilnować.

Rosław skinął głową i chmurny wjechał na dziedziniec. Było tu pusto i głucho. Konia skierował ku stajni, z której na jego wołanie wybiegł młody chłopak.

— Gdzie są stajenni? — spytał go.

— Na łowach...

— Weź konia, przeprowadź po dziedzińcu, niech ochłonie i dopiero rozkulbaczysz.

— Słucham waszej wielmożności.

Gdy Rosław szedł od stajni ku głównemu wejściu, postyszał dobywające się z podziemnej kaźni głuche jęki.

Przystanął, nasłuchiwał; płacz i jęki stawały się wyraźniejsze. Zbiegł w dół po krętych, kamiennych schodach i pochwywszy młot wiszący, silnie zapukał do grubych, dębowych drzwi.

Po chwili wyrzwał z kaźni Muroń, niski, gruby, z pałakowatemi nogami chłop, z twarzą płaską, odrażającą, spojrzwał kaprawemi oczyma, a poznawszy nowego dziedzica, skłonił mu się do kolan.

Rosław wszedł do ciemnawej celi i ujrzał przywiązaną do słupa kobietę, którą bił surowcem dozorca więzienia Nikta, chłop silny, z twarzą ospowatą, bez zarostu, a małe oczki świeciły mu się, jak u wilka.

— Stój! — krzyknął Rosław oburzony widokiem krwawiącego ciała skazanej na plagi młodej, ładnej dziewczyny — rozwiąż! a ty — zwrócił się do Muroń — obmyj ją wodą — wskazał na kubeł.

— Byle nie tą wodą — wyszłochała dziewczyna.

— Jakaż to woda? — spytał Rosław, a gdy Nikta milczał, zajęty odwiązywaniem, mruknął Muroń:

— Dobra do cucenia.

— Jątrząca! — zawołała dziewczyna.

— Precz z nią! — krzyknął Rosław — wylej, Muroń, i przynieś świeżej.

Na dziewczynę narzucił Nikta płachtę brudną, skrwawioną i popchnął ją w ciemny kąt.

— Z czyjego rozkazu biłeś — spytał Rosław chmurny.

— Jej miłość, starsza pani, kazała pięćdziesiąt plag i tydzień o chlebie i wodzie.

— Czem zawiniła?

— Nie wiem — skłonił się — do pełnej kary brakuje dwadzieścia plag.

— Ile otrzymała?

— Trzydzieści.

Rosław podszedł do ciemnego kąta i spytał łagodnie:

— Dlaczego zostałeś ukarana?

— Pomyliłam desen... wyszywałam nocą i opętałam mnie strzygón czy inny zły duch... Kolor zmyliłam.

— Jak cię zwa?

— Machna.

W tej chwili wszedł Muroń z wodą, a Rosław rozkazał:

— Postaw kubek przy Machnie... podaj jej ubranie.

Dziewczyna zgorączkowana, pochwyciła kubek, nachyliła do ust i szybko, z obrzydzeniem

postawiła na kamienną podłogę, co widząc Muroń wykrzywił swą twarz w uśmiechu.

— Czy zła woda, Machno? — spytał Rosław.

— Piekąca, panie.

Rosław zwrócił się gniewny do Muroń i krzyknął:

— Pij, łotrze, tę wodę! — a zwracając się do Nikty, dodał: — zamkniesz go na trzy doby z tą wodą.

— Zlituj się, wasza światłość... — rzucił się Muroń na kolana.

— Nie miałeś z nią litości, spróbujże sam. Nikto, spełń rozkaz — dodał surowo — a klucz mi wręczysz.

Nikta porwał za kark Muroń, drugą ręką wziął kubek wody, i powłókł jęczącego w ciemny kurytarz.

— Słuchaj, Machna, czy starsza pani, Olga Izasławiczówna, często karze dziewczki i służebnice?

— Nie wiem... — szepnęła, ubierając się — nie mogę...

— Mów śmiało, ja cię zasłonię przed każdą karą.

— Okrutna jest w gniewie... bije czem popadnie... a gdy się zmęczy, oddaje temu katowi Nikcie.

— Cóż na to siostry moje?

— Boją się jej... płaczą, gdy widzą... ale cóż poradzą, kiedy sąd przy niej... nie tak bywało za starego pana dziedzica.

Wszedł Nikta i oddając klucz, rzekł:

— Spełniłem rozkaz... ale ulituj się, wasza wielmożność, zrobił on to dla postrachu nieposłusznych.

-- Milcz... i raz na zawsze zapowiadam ci, że tylko z mego rozkazu może ktokolwiek być osadzony w więzieniu, lub być skazany na kaźń. Rozumiesz?

— Słucham.

— Ilu masz więźniów?

— Pięciu prócz Muronia.

— Prowadź mnie do nich... Machno, zaczekaj na mnie.

Nikta zapalił kaganek łojowy i przyświecając, wszedł w ciemny, wąski, zatęchły kurytarz.

Po kilku krokach przystanął i wskazując na wąskie drzwi:

— Tu siedzi od pięciu dni, o chlebie i wodzie służebny dworski.

— Otwórz.

Z głębi celi wionęło zepsute, zatęchłe powietrze i przy świetle kaganka dojrzał Rosław podnoszącego się z wilgotnej ziemi człowieka.

— Kto cię skazał?

— Mój pan i dobrodziej, Trzystka.

— Za co?... tylko mów prawdę...

— Pan mój ugaszczwał swych gości i kazał przynieść królewskiego miodu. Poszedłem do lochu... i wziąłem dla siebie pół gąsiora piwa. Wydało się i skazał mnie na tydzień.

— Dlaczegoż kradłeś? Mów!

Więzień podrapał się w głowę i po chwili:

— Myślałem, że jeśli panu Trzystce wolno pić miód królewski, to nam, służbie można wypić piwa.

Rosław przypomniał sobie, że miód królewski podawano do stołu tylko przy wielkich uroczystościach i nikomu z dworzaków nie wolno było go ruszyć.

— Jacyż to byli goście u Trzystki?

— Panowie dworzanie.

— A był i Małgoszcz?

— Tego nie było.

— Źle zrobiłeś, że kradłeś, ale odcierpiąłeś już karę... idź!

Więzień uradowany rzucił mu się do kolan, Rosław odsunął go i szedł dalej.

— Tu siedzi puszczak... dziesiąty dzień.

Gdy na dany znak Nikta drzwi otworzył i poświecił kagankiem, z głębi celi wyszedł wychudły, w podartem ubraniu człowiek, i patrzył osłupiałym wzrokiem na strojnego Rosława.

— Coś zawinił?

— Nie oddałem włodarzowi powinności.

— Ktoś ty?

— W puszczy mamy siedliszcze, a jam poborcą z ramienia włodarza. Przy rachunku zabrakowało mi dwie skórki sobole. Włodarz ukarał całe osiedliszcze i kazał złożyć za dwa braki, dwadzieścia sobolówek, a mnie do czasu oddania osadził tutaj.

— Jak się zwiesz?

— Żbych, puszczak.

— Idź do domu... za dwa braki, dacie dwie skórki sobole.

Puszczak nie wierzył uszom swoim, stał nieruchomy, wreszcie rzekł:

— Któż wy taki, że włodarzowi rozkazujecie?

— Dziedzic Żubrzyć,—odpowiedział Rosław,
—idź w spokoju.

Chłop nie dziękując, wybiegł pędem ze smrodliwej celi.

Nikta otworzył następną celę i mówił przyciszonym głosem:

— Tu siedzi czarownica... może już jej nie ma... przemieniła się w ropuchę albo w mysz?...

Ostrożnie wsunął rękę z kagankiem do ciemnej celi, świecił, ale nie dostrzegł nikogo. Prerażony szepnął:

— Wczoraj, była jeszcze.

— Wtem, z kąta przy drzwiach odezwał się głos chrapliwy:

— Nie bój się, robaczywy kacie... wejdz i obacz moją świetlicę.

— Kto ją zamknął? — spytał Rosław.

— Skotnik... czarowała krowy i on sam za-
niemógł, dopiero jak ją splawili... odeszła choro-
ba,—mówił półgłosem Nikta.

— Hej, babo! — zawołał Rosław, - przystap bliżej... jeśli prawdę wyznasz, będziesz wolna.

— Brałem ją na spytki... zaciekła z niej czarownica — mruczał Nikta, spluwając za siebie raz po raz, aby odczynić uroki.

Z głębi celi wyszła baba, kulejąc, opierając się o wilgotne ściany, przekrwionemi oczyma spojrzała na Rosława, uklękła, wołając:

— Świątek ty jaki, czy królewicz... ulituj się mnie nieszczęsnej... siwe mam włosy, stare poterane nogi, a jeszcze mi je przypiekali, jeszcze wbijali drzazgi pod paznogie... a wyschłe palce moje, — podniosła obrzękniętą, zczerniałą rękę, — wyłamywali ze stawów, przekleci!

— Czarowałaś bydło i skotnika, — rzekł chmurny Rosław.

— Kłamstwo!... Napadła bydło choroba, on sam legł w ziemiance, a pastuchy mnie pochwy-
cili... Splawiali mnie, obiecałam że choroba minie, tylko niech mnie puszcza.

— I minęła, bo odczytiłaś czary, — mruknął Nikta.

— Bodaj ci język kołkiem stanął, sparszywiały kacie!—oburzyła się stara,—ty królewiczu, mnie słuchaj... Obiecałam przy topieli, że choroba minie, a znam się .na ziołach i na wróżbie, wyszukałam ziele, choroba znikła, a w zapłacie zamknęto mnie tutaj.

— I prawdę mówisz?

-- Spytaj tego kata, czy na spytkach tak samo nie zeznałam?... A to ból nad bólami, ale miłsza mi prawda od bólu i śmierci.

— Jak cię zwą?

— Łazicha... Puść mnie królewiczu, a sam Pan Bóg nagrodi tobie... jam niewinna... Panie! Panie!

Rostaw wahał się, miał zabobonną obawę przed czarami... i gdy patrzył na steraną, skurczoną postać baby, na kosmyki jej siwych włosów, na przekrwione oczy, zdjął go lęk, że ona go może zaczarować... lepiej być z nią w zgodzie i po chwili rzekł:

— Przyrzeknij mi, że nigdy nie zbliżysz się do moich koni, bydła, zamku...

— Przysięgam królewiczu... pójdę w moją puszcze i tam dożyję końca.

— Idź więc... wolna jesteś.

Stara załkała z radości i powlokła się ku wyjściu.

Nikta, nie bez zgorszenia spojrzął na młodego dziedzica, splunął i szedł dalej.

— Tu siedzi Muroń, — wskazał drzwi.

Rosław spróbował zamku i rzekł surowo:

— Zasłużył... posłuch być musi.

Kurytarz zwięzał się i spuszczał się w głąb. Przed drzwiami celi stanął Nikta, i szeptem:

— Jego miłość, ojciec waszej wielmożności, trzyma tu od roku władykę, starego Rojca, a w drugiej celi syna jego.

Rosław przypominał sobie, że ów Rojec, opierając się na przywileju Odrowążów, swych pokrewnych, łowił bobry Grabinów, ściągał opłaty z komiegów i skut. Sądził sprawę biskup Sandomierski, sam nawet księżę, ale nie przyszło do zgody ze swarliwym sąsiadem. Wreszcie zniecierpliwiony Mikołaj Grabina ojciec, kazał zburzyć dworzyszcze, a ojca i syna wtrącił do więzienia.

Tyle razy słyszał o Rojcu, że zdjęła go ciekawość ujrzenia go. Zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy, a Nikta z kagankiem wszedł do celi.

Na tapczanie okrytym na wpół zgniłym kożuchem, leżał starzec z wielką, siwą brodą. Starą głowę oparł na skowanej ręce i z gniewem spojrzął na wchodzących.

— Wstań psie z barłogu,—zawołał Nikta,—pan przyszedł.

— Milcz ścierwo niewolnicze,—syknął stary gniewnie,—a ty młodziku przyszedłeś mi uragać... Otóż wiedz, że póki tchu w mych piersiach, póki sił mi starczy, nie przestanę Grabinów nienawidzić i przeklinać. Zburzyliście dwór mój, zniszczyli majątność, rozpędzili rodzinę, uwięzili mnie i syna... ale przyjdzie dzień sądu... przeklinam was. Oby kamień na kamieniu nie pozostał z grodu tego, oby was zaprzędano Niemcom w niewolę... oby...

Rosław cofnął się i zawołał:

— Nikta zamknij drzwi!

Gdy dozorca wypełnił rozkaz i drzwi celi zatrzasnął, jeszcze w kurytarzu słychać było gniewliwe mamrotanie starca.

— Czy mam otworzyć drzwi młodego Rojca? — spytał Nikta.

Na przytakujące skinienie głową, zgrzytnął klucz w zamku i w świetle kaganka dojrzał Rosław, młodzieńca szczupłego, wychudłego, który odrzucając z czoła długie blond włosy, patrzył zdziwiony, to na Niktę, to na Rosława, wreszcie spytał cicho:

— Ktoś ty?

— Rosław Grabina... pan Żubrzyc.

Rojec postąpił krok bliżej i mówił spokojnie:

— Wysłuchaj mnie synu Mikołaja Grabiny... w tem więzieniu siedzi stary mój ojciec..

— Wiem... przeklinał nas... i złorzeczył.

— Bo biedny, bo nieszczęśliwy... Słuchaj, gdyby wam, Grabinom, zburzono gród, ojca i syna więziono, ojciec twój miłowałby swego wroga? Zniszczono mu dwór, rozproszono rodzinę... i stare jego oczy nie widzą słońca, ni drzew, ni rzeki... leży na brudnym barłogu, schorzał, opuszczony, z goryczą i jadem w sercu. Nie o siebie proszę... ale ulituj się starca... zostanę zakładnikiem... tylko puść go... nie będzie on szukał zwady, pójdzie w świat, na wolę... jeśli chcesz, on zrzeknie się zemsty, urazy, i odstąpi wam ziemię... pozwól mi z nim rozmówić się... ja go uproszę, ukoję, pocieszę...

Rosław namyślał się... Rojców puścić nie może, bo znów zaczęliby ciągać po sądach... ale żał mu się zrobiło młodego i po chwili:

— Nikta... wpuść tego młodego do ojca, niech wspólnie noc spędzą.

— Dzięki ci, — zawołał Rojec, — a na znak, że zapomniałem krzywdy naszej podaję ci rękę.

Rosław byłby chętnie uwolnił zaraz młodego, tak mu przypadł do serca, obawiał się jednak następstw uwolnienia i postanowił wpierw zasięgnąć rady Małgoszcza, a na razie chcąc ulżyć

więźniom, kazał im dać nowe postanie, dobrą strawę i przewietrzyć celę.

Wracał ku celi obszernej, gdzie chłostano i brano na spytki więźniów. Machnę zastał ubraną i rozmawiającą żywo z trzema uwolnionymi więźniami.

Rzucono mu się do kolan, sławiąc go i wielbiąc. Te nadzwyczajne podziękowania drażniły go, więc tylko skinął aby szli za nim, i wyprowadził ich na dziedziniec. Sam powiódł puszczyka i Łazichę do bramy i kazał wypuścić. Słudze Trzystki wskazał izbę strażniczą, a z Machną zwrócił się ku mieszkaniu ciotki.

Niewieście komnaty były na piętrze, wszedł tedy Rosław wążkami, krętymi schodami, zdaniem do obrony, a za nim przerażona Machna, okryta chustą.

Młody dziedzic otworzył drzwi do wielkiej komnaty, pełnej gorąca i zaduchu od ognia w kominie i pracujących dziewczek.

Przy dwóch oknach siedziały Jewka i Swochna, w głębi, opodal komina dziesięć dziewczek haftowało i szyło, a niemal w środku, na wzniesionym stole, siedziała w szarym habicie, w wielkim czepcu czarnym na głowie, Olga Izasławiczówna, trzymająca w lewej ręce różaniec, a na prawej wisiała dyscyplina urobiona ze surowca. Okiem surowej pani i władczyni spogląda-

ła na pracujące dziewczki lub nasłuchiwała warczenia wrzecion dziewczek, przędących w przyległej izbie pod okiem dozorczyńni.

Rosław skłonił się ciotce, uśmiechnął do sióstr i obejrzał się, ale nie było Machny, została za drzwiami.

— Dlaczego wszedłeś tu bez pozwolenia? spytała szorstko ciotka, i głośno zawołała: — Borys! Borys!

W drzwiach stanął niski, brzydki karzeł z grubym brzuchem na cienkich nóżkach:

— Idź do Muronia, niech ci wyliczy pięć batów za niedbalstwo.

— Pani, pomyłujcie! — jęknął karzeł.

— Mało ci pięć, — uśmiechnęła się złośliwie, dostaniesz dziesięć. Hej, Krzywulo, zwróciła się do swej ulubienicy, brzydkiej, ospowatej dziewczki, — idź i przypilnuj.

— Nie spiesz się ciotko z rozkazami. Muron zamknięty... czekajcie! — zawołał do Krzywuli i karła.

— Więc Nikta wychłoscze — krzyknęła Olga Izasławiczówna.

— Nie wolno mu.

— Tak? — spojrzała złemi oczyma i nagle: — Borys, psi synu, do mnie!

— Pomyłujcie! Pomyłujcie! — jęczał zbliżając się zwolna.

Olga zerwała się ze stolca, podeszła do karła i dyscypliną uderzyła go w twarz, aż krew załała mu oczy. Rosław powstrzymał jej rękę mówiąc:

— On nie winien, kazałem mu sam.

Karzeł spojrział z wdzięcznością na niego, a gdy usłyszał rozkaz Rosława:

-- Wyjdz natychmiast!—skoczył ku drzwiom i zniknął.

— Czego wytrzeszczacie ślipia, — zawołała Olga, rozgniewana na widok dziewczek zastraszo-nych, — zaraz was nauczę, — i z dyscypliną w rękę szła ku dziewczętom.

Wówczas Rosław zastąpił jej drogę i rzekł zdławionym głosem:

— Nie rusz ich ciotko... proszę cię... wolno ci bić karła, bo to twój niewolnik, ale te dziewczki wolne, pełnią powinność zamkową.

— Ty!? Ty mi będziesz wzbraniał?! Precz, bo dostaniesz jak Borys, — i podniosła dyscyplinę do uderzenia.

Rosław ujął szybko prawą jej rękę, odebrał dyscyplinę i rzekł uprzejmie:

— Siadaj ciotko... posłuchaj...

— Precz ztąd gadzino! Precz!

— Cicho ciotko... z woli i rozkazu ojca jestem panem na Żubrzycach, do mnie tylko należy sąd i kara.

— Na zamku rządź, młokosie, nie tutaj!

— Ojciec nie wyłączył ani ciebie ciotko, ani dziewczek.

— Czegoż chcesz zuchwalcze? — spytała siadając na swym stolcu.

— Kara i sąd do mnie należy... i prócz mnie nikt, ani ty ciotko, nie ma prawa karać. Zawsze wysłucham cierpliwie twej skargi i znajdziesz sprawiedliwość, ale karać nie masz prawa.

— Żmiję porodziła twa matka; — syknęła z gniewem.

Siostrzeniec udał, że nie słyszy, podszedł do drzwi i otworzywszy, zawołał:

— Machno... wejdź!

Weszła blada, przerażona i niemal do ziemi skłoniła się przed starszą panią, mierzając ją złemi oczyma.

— Ciotko, — przemówił siostrzeniec, — co zawiniła Machna, żeś ją kazała ukarać tak surowo?

— Przed tobą młokosie nie będę zdawała sprawy, — zawołała gniewna — ukarałam i koniec.

— Jewko! — zwrócił się do starszej siostry, — ty nie wiesz?

Ta niezadowolona, że młodszy brat rządzi tak samowładnie i naraża powagę ciotki wobec robotnic, odpowiedziała szorstko:

— Snać była winna, gdy ją ciocia ukarała, i nie rozumiem po co się mieszasz w sprawy niewieściego gospodarstwa. To nie przystojnie.

— Wypełniam rozkaz ojca... a ty Swochno? Może mi powiesz?

Spojrzała na ciotkę spokojnie i badawczo, znów na brata, i z wolna a dobitnie rzekła:

— Ciociu, Rosław wypełnia tylko wolę ojca naszego, mojem zdaniem on ma prawo, jako zastępcę ojca, wiedzieć przyczynę ukarania Machny.

— Wypapłaj sama, jeśli chcesz, odpowiedziała gniewna.

— Jestem posłuszna cioci, — uśmiechnęła się nieznacznie, i nie zważając na nieme znaki Jewki: — Machna przy ogniu kominka omyliła się w kolorze i zepsuła deseń... mojem zdaniem zasłużyła tylko na naganę.

— Patrzcie ją, — zaśmiała się drwiąco ciotka, — teraz jaja mądrzejsze od kur.

— Machna ucierpiała niewinnie, — i odchylając chustę, którą okryła się Machna, mówił: — spójrzcie na zakrwawioną koszulę, krew z ran bluzgała...

Dziewki pracujące zapłakały żałośnie, a Rosław zwrócił się do Machny:

— Skąd ty dziewczyno?

— Z Pojezierza na skraju bobrownika.

— Ile lat masz jeszcze powinności?

— Jeszcze rok i trzy niedziele.

— Za owe plagi niewinnie wycierpiane odpuszczam cię z reszty powinności... idź do rodziców.

— Na to nie mogę pozwolić, — zawołała ciotka, — musi skończyć haft ornatu, bo i któż go zrobi? Ona jest najsprawniejsza.

— Co powiedziałem, tego nie cofnę, — rzekł zimno Rosław.

— Boś nieużyty i uparty, zawołała ciotka z wyrzutem, — ale słuchaj mnie Machno... twoja robota idzie przed ołtarz, sam Pan Bóg wejrzy na piękną robotę i ucieszy się z takiej pracownicy. Nie na chlubę ziemską, ale na zbawienie wieczne zarobisz.

Widząc wahanie się Machny dodała:

— Nie dokończysz roboty na cześć i chwałę Pana Boga, będziesz cierpiała męki piekielne, będą cię w smole warzyć, na ruszcie piec, kawałami obdzierać żywe ciało... teraz wybieraj.

Przy opisie mąk piekielnych podniosły dziewczki lament i pojękiwały, a skruszona Machna zawołała:

— Zostanę jasna pani, zostanę... wolę tu przecierpieć, a nie ujrzeć piekła.

Olga Izasławiczówna spojrzawszy surowo po wszystkich rzekła:

— Dla większej chwały Pana Boga, jako pokorna służebnica Jego, uczynię ci tę łaskę i pozwolę ci skończyć... ale pamiętaj, bądź poslušna i uważna, bo napędzę i nie skończysz haftu.

Rosław przystąpił do ciotki i ucałował jej rękę daną mu z lekkim ociąganiem, a następnie spojrzawszy na siostry:

— Będziecie miały ochotę, jedźcie do kościoła... Konie, wozy i straż będą na wasze usługi... bo tu duszno i ciasno.

Gdy zamknął drzwi za sobą, rzucił mu się karzeł do nóg i szeptał:

— Kniaziu myłostywyj... ja wasz rab po wiki wików.

Rosława rozezuliła ta wdzięczność, a widząc obdarty kubrak jego, rzekł mu z dobrym uśmiechem:

— Przyjdź po wieczery do mnie... dostaniesz odzież cieplejszą.

— Sława wam kniaziu... ja wasz rab.

Po tyłu doznanych wrażeniach czuł się Rosław zmęczonym i przypomniał sobie, że nie jadł obiadu. Zaszedł do komnaty w której zwykle jadało, i kazał pacholikowi podać sobie coś do jedzenia.

Dzień był postny, podano mu więc polewkę z owoców suszonych, gotowaną rybę i jaja na twardo.

Jedząc, przypominał sobie sprawy dnia dzisiejszego, a więc odwiedziny w lochach więziennych, uwolnienie czarownicy, puszczaaka, służebnego Trzystki, któremu kazał czekać w izbie wartowniczej, i wreszcie Rojców...

Po chwili kazał zawołać Małgoszcza, a gdy ten przyszedł, odesłał z izby pacholika i podszedłszy do stojącego:

— Darujcie Małgoszczu... byłem poryweczy i niesprawiedliwy, — podał mu rękę, — usiądźcie, chcę zasięgnąć waszej rady.

Gdy stary wysłuchał o Machnie i wypuszczeniu trzech więźniów, rzekł z namysłem:

— Stara pani sroga, nie lubi naszych, bo obcego rodu, nie taka ona słodka i dobra jak matka waszej wielmożności... że poznała, co to rządy Grabinów, nie wadzi to... Co do puszczaaka, wola wasza... hm... ta czarownica to niewiadomo, może wasza wielmożność dobrze uczynił puszczaając, bo anuż był to czas jej czarów, rzuciłaby nie daj Panie Boże uroki... ha, niech idzie ona na góry, lasy, wody, a nas niechże Pan Bóg zachowa odezłego, Amen, — przeżegnał się pobożnie, co i Rosław uczynił.

— A cóż z Trzystką? — spytał Małgoszcza po chwili.

— Z nim?... To jest tak... pod pilnym dozorem, to poręczny piwniczny... nikt tak miodu

nie nasyci, nikt tak dobrego piwa nie uwarzy..-
ale musi czuć dozór...

— Czyż wiecznie mam go pilnować? — obru-
szył się Rośław.

— Ale — uśmiechnął się Małgoszcz — nie
urodził się ten, ktoby się ustrzegł złodzieja do-
mowego... z nim jest rada.. co świeży miód, no-
we piwo, on ma klucze, a co wystale, stare, sma-
kowite, w innym lochu, i klucz dzierżyć w ręku
swojem, jak to czynił jego miłość, ojciec.

— A miód królewski puszczyć płazem?

— I na to rada... Godowych darów, jako
nasz zwyczaj przy Narodzeniu Jezusa Chrystusa,
Trzystka nie dostanie, a przy wspólnej wigilii
wszyscy miód będą pili, a on piwko cienkie.

— Dobrze... a ów służebny?

— Wezmę go do siebie, bo Trzystka dobry
chłop, ale mściwy.

Na sam koniec rozmowy zachował Rośław
sprawę Rojców, a chcąc wybać usposobienie
Małgoszcza rzucił zdanie:

— Widziałem też Rojców...

Starzec zachmurzył się i rzekł głuchym głosem:

— Nikta zawinił... Jego miłość, wasz ojciec,
nie życzył sobie, aby ktokolwiek wiedział, że
Rojce żyją uwiezieni... oni są naszą bolączką.

— Kazałem Nikcie pokazać mi wszystkich więźniów... był mi posłuszny i dobrze uczynił. Opowiedzcie mi sprawę Rojców, proszę i każe.

Stary obejrzał się wokoło, otworzył drzwi, czy kto nie podsłuchuje, i zniżywszy głos, zaczął:

— Ten płat ziemi przy ujściu Wisły od wiek wieków jest sporny między nami a Odrowążami... co my go zajmiemy, prawują się Odrowąże, a gdy Odrowąże go posiadają, my dochodzimy praw naszych... Aż Odrowążowie znaleźli Rojca... śmiały on, zawzięty i dokuczliwy... sprzedali mu, jako powinowatemu, to nadwodzie całe, a książę Konrad Mazowiecki to potwierdził... Usadowił się Rojec i nuż nam czynić wstręty. Sądy, tak biskupie, jak i książęce, kazały nam szukać naszych strat na Odrowążach, bo Rojec prawnie posiadał majątność... a ten broił i broił... to chwycił bobry nasze, to ściągał opłaty ze statków naszych, to chwycił żrebce zaszłe do jego boru... aż jego miłość postanowił raz z nim skończyć. Z kilkunastu wiernymi uwinęliśmy się z nim cicho i sprawnie... na łotrzyków zwalono winę... i mamy spokój.

Rosław wysłuchał z przykrością tej historii... rozumiał, cenił i chwalił otwartą walkę, ale tak chyłkiem, milczkiem pochwyć, uwięzić i skazać na śmierć zapomnienia w lochach więziennych,

to go oburzyło i rozgoryczyło. Ale przemógł się i spytał spokojnie:

— Dlaczegoż pozwoliliśmy mu spokojnie się osiedlić, zabudować i nie wykazaliśmy mu praw naszych do tej ziemi?

— Zbudował dworzyszcze pod opieką Odrowążów, i ci czuwali nad nim z początku... ustrzeżliło się psy, zabrało się bydło, przepędziło osadników... aż gdy Odrowążowie ustąpili a on jął dokuczać... przyszło mu na smutny koniec.

Rosław milczał. Widać było na młodem, jasnym czole pracę myśli... ważył coś w sobie; chwilami spojrzął na Małgoszcza, jak gdyby mu miał z czemś się zwierzyć, ale wstrzymywał słowa; wreszcie wstał, wziął kołpak i rzekł:

— Jutro wszyscy mają być na służbie... wy przypilnujcie, a ja sprawdzę... Trzystka po wieczery niech się stawi do mnie.

— Tak i będzie — skłonił się stary.

Przy wieczery Rosław brał mały udział w rozmowie, natomiast dziewczęta, zwłaszcza Swochna, dużo rozprawiły o jutrzejszym wyjeździe do kościoła i zobaczeniu sąsiadek.

Gdy wszyscy się rozeszli, Rosław kazał przywołać Trzystkę. Ten, wiedząc już o swej sprawie, gorąco i pokornie począł się usprawiedliwiać, że będąc podpitym, nie wiedział, co czynił.

— Ale dojrzeliscie piwo, wzięte przez służebnego -- powiedział Rosław — oddajcież klucze, a jutro będzie sprawa.

Nazajutrz przed wyjazdem do kościoła zaszedł Rosław do lochów więziennych i dość długo rozmawiał z młodym Rojcem, a chociaż Nikta miał słuch bystry, prócz urwanych słów nic nie dosłyszał, a wielce się zdziwił, gdy postyszał rozkaz rozkucia z kajdan Rojców i zaprowadzenia ich do łaźni dworskiej, skąd miał ich przeprowadzić do celi większej i jaśniejszej.

Po powrocie z kościoła, chociaż wszystkim głód dokuczał, Rosław nie kazał podawać obiadu, lecz ku zdumieniu ciotki i sióstr a zaniepokojeniu Małgoszcza, kazał do swej izby wprowadzić Rojców.

Weszli obaj, bez kajdan, pod strażą; stary Rojce zły, opryskliwy i chmurny, młody rozpodzony.

Na dany znak straż wyszła z izby, a Rosław, podszedłszy do stojących, przemówił:

— Były między nami swary i bitki sąsiedzkie, wy nam czyniliście wstręty, a my oddawaliśmy wam, jako się należało..

— Ale nie chytrze, podstępnie, jako czynią Niemcy — zawolał popędliwie stary Rojce.

— Miarkujcie się, władcyko — rzekł głuchym głosem Rosław, kładąc rękę na głowicy mieczy-ska — pamiętajcie o kim i z kim mówicie.

Stary otworzył już usta, aby coś rzec przykrego, jak widać było ze złośliwego uśmiechu — gdy poskoczył syn, i całując rękę ojca, zawołał:

— Tatusiu, czyż młody was skrzywdził?

Stary przygryzł wargi, pogłaskał jasne włosy syna i szepnął.

— Dla ciebie zmilczę.

Po chwili zaczął Rosław:

— Chcę z wami zgodę uczynić, ale nie w cztery oczy, bo nie zmawiamy się na zbrodnię... oto są szaty dla was — wskazał na oponcze, kubraki i kierpce — przebierzcie się przystojnie i przełamiem się chlebem.

— Ze szczerego serca dziękuję wam, młody dziedzicu — powiedział wzruszonym głosem młody Rojec.

— Tem mnie nie kupisz — mruknął stary.

Gdy zrzucili ze siebie przegniłe, rozpadające się kozuchy i przywdzieli przygotowane ubrania, Rosław otworzył drzwi, odprawił straż, pacholików wysłał, aby podawano obiad, a sam wiódł niezwykłych gości do komnaty jadalnej.

Tam czekali już starsi dworzanie, Małgoszcz, Kuna, Chmura, patrzący niemal z osłupieniem na dziwnych gości, a tuż otwarły się boczne

drzwi i weszła ciotka, w szarem ubraniu, ze sukna domowej roboty, przepasana jedwabnym sznurem z bogatemi chwastami, a za nią Jewka i Swochna.

Widząc nieznajomych, ciotka przystanęła i bawczo ich mierzyła oczyma.

— Władyka Rojec i syn jego Indrych są dziś gośćmi moimi — powiedział Rosław i usiadł na pierwszym miejscu, jako głowa rodu.

Obydwaj Rojcowie skłonili się nisko ciotce, zarumienionej Jewce i ciekawie przypatrującej się Swochnie.

Gospodarz wskazał miejsce po swej prawej stronie staremu Rojcowi, podle którego usiadł syn. Po lewej zasiadła ciotka i dwie siostry, a w głębi wielkiego stołu dworzanie.

Po krótkiej modlitwie jedli polewkę żytnią suto okraszoną, następnie mięsiwa.

Ciotka, która słyszała o waśni Grabinów z Rojcami, nie wiedząc, że są to więźniowie, zapytała dość uprzejmie starego:

— Waszmość sąsiad, czy ze świata?

— Zgadłaś, dostojna pani, wracam z tamtego świata.

Ciotka zachmurzyła się, nie lubiła bowiem żartów, i rzekła oschle:

— Skoro waszmości pytam, daj mi godną odpowiedź.

— Nie kłamie, jakim Rojce, a świadczę się
zacnym gospodarzem i synem Indrychem.

— Tatusz prawdę mówią — dźwięcznym głosem odezwał się Indrych — obaj byliśmy gorzej anizeli w grobie, bo tam spokój i tylko sprawiedliwy Bóg sędzi.

— I wyszliście cało? — zdziwiła się ciotka — jakże to może być? Gdzież waszmość był?

— Kilka stóp pod ziemią, wśród gnoju, smrodu i robactwa — odpowiedział z goryczą.

Niewiasty spojrzały zdziwione.

— Nie to było najgorsze powiedział Indrych — ale zdało mi się, iż wieki minęły od chwili, gdy widziałem słońce, słyszałem szum boru, widziałem oblicze przyjazne, aż miłosierdzie Najwyższego Boga ulitowało się nad nami, ujrzałem dziś wszystko, co najcudniejsze na ziemi — zarumienił się i spuścił oczy.

Inni, chociaż słuchali, nie zwrócili uwagi na ostatnie słowa, jedna tylko Jewka zarumieniła się po białka oczu i pilnie wpatrywała się w hafty rękawa koszuli, jak gdyby liczyła ścięgi.

Wtem wstał Rosław i zaczął pewnym siebie głosem:

— Byłem dziś w kościele... radziłem się wielbnego ojca Bonawentury, a ten mi rzekł święte słowa: „Jaką miarką mierzysz, taką będzie ci odmierzone,“ jakkolwiek nie powiedziałem mu

ani o co, ani o kogo idzie... Rojcowie tu obecni krzywdzili nas, wzięli w posiadanie ziemię naszą, i słusznie ojciec mój, pan i dziedzic na Żubrzcach, komes księstwa Sandomierskiego, skarcił ich i swe prawa odzyskał.

Na słowa te porwał się od stołu stary władyka i zawołał:

— Ziemia to moja, od powinowatych moich, sławnych Odrowążów kupiłem ją, i nie ja zaczynałem zwady i bitki, nie ja napadłem zbójcecko na dwór...

Dworzanie, słysząc to, poruszyli się niespokojnie i obzierali za swemi obuszkami, aby utłuc śmiałka.

Spostrzegł to syn, szybko ułapił ojca za kolana, pochwycił rękę i ucałowawszy, prosił pokornie:

— Tatusiu, wpierw wysłuchajcie, na gniewy czas... jeśli mnie miłujecie, to siadźcie spokojnie i czekajcie.

— Taki siwy, stary, a porywczy jak młokos — rzekła zgorszona ciotka.

— Nie zmoęła mnie kaźń, nie zmoę chłód i głód — odmruknał zawzięcie, siadając przy stole.

— Szanując wasz wiek i niedolę, nie chcę pomnieć urazy — mówił poważnie nad swój wiek Rosław — ale prawdą jest, iż owo nadwodzie, to dziedzictwo Grabinów, było, jest i będzie... Wsze-

lako wy, władcyko Rojec, jako zeznał mi syn wasz Indrych, kupiliście ten szmat ziemi od podstępnych Odrowążów, i prawdę powiadam, tak mi Panie Boże dopomóż, i przy tych tu świadkach, iż pragnąc zgody, daję wam odstępnego dwie grzywny srebra, dwa gronostaje, trzy sobole, sześć skór wilczych i dziesięć lisich... ale wy odstapicie nam na wiek wieków niesłusznie zajęte nadwodzie. Skończyłem.

— Nie może to być — krzyknął stary — ziemi nie odstąpię, bo moją była, jest i będzie, a za sam gwałt, popełniony na mnie, dwa razy tyle za mało jest... Tak mi Panie Boże dopomóż!

— Twardy z waszmości człowiek — powiedziała zgryźliwie ciotka — a nie chcecie... wracajcież na tamten świat — zaśmiała się.

— Zgniję, robactwo mnie stoczy, a nie ustąpię — zawział się stary

— A cóż wy, Indrychu? — spytał z goryczą Rosław.

-- Ja? — spojrział po obecnych, a najdłużej na Jewkę — ziemibym się wyzbył, gwałtu zapomniał, bylebym został waszym przyjacielem i towarzyszem.

Stary rzucił na niego gniewnem okiem:

— Tfu! — splunął za siebie, -- czy ci się w głowie pomieszało, albo kto cię oczarował, bo gadasz niespełna rozumu.

-- Tatusiu, miejcież wyrozumienie, azali wolność wasza niema żadnej ceny w oczach waszych?... Dostaniemy grosiwa, zakupimy wielki kęs ziemi i społem żyć będziemy.

— Nie może być i nie będzie... jeśli Grabinowie chcą zgody, niechże oddadzą moją ziemię, zbudują zrujnowane dworzyszcze, oddadzą zabrane konie i bydło... a już o gwałt nie będzie sporu.

— Cóż wy Małgoszczu na to? — spytał Rostaw wśród chwilowego milczenia.

Wezwany wstał, przyglądził włosy na głowie, odchrząknął i rzekł:

— Wasza wielmożność postąpił jako rycerz i prawdziwy komes Grabina, za ofiarowaną sumę można kupić dwa razy tyle ziemi co ono nadwodzie nasze, a jeśli władyka Rojec nie zgadza się... niechże zostanie po staremu; ziemię trzymamy, trzymajmyż i przywłaszczycieli, aż się rozmyślą... a wam władylko mówię... niedłgie wam już życie, a jeśli wasz syn i dziedzic ochotne ma serce, uczynicie i wy zgodę, bo nasze lochy ciężkie i twarde, zmarnieje wam syn.

Stary spojrzął ze współczuciem na syna, ostry i zawzięty wyraz twarzy złagodniał, pomyślał chwilę, i rzekł spokojnie:

— Nie chcę od was nijakiej zapłaty, sam Pan Bóg widzi moją krzywdę, puście nas, znajdzie u krewnych dach i chleb.

— Puścimy was, — odezwał się Małgoszcz, — ale w pierw i wy, i wasz syn, zaprzysiężecie na mękę Chrystusa Pana i na zbawienie duszy, iż nie będziecie poszukiwali ani praw do nadwodzia, ani do nas.

Spojrzał stary nienawistnie na Małgoszcza i skarżył się:

— Hej, miły Boże, za tyle wojen, ran, służby krajowi... spotkało mnie poteranie, znęcają się nademną, nie wrogi, ale swoi, Sandomierzanie... I gdzież ja pójdę z tobą synaczku, na tułaczkę, na głód i nędzę?... Oddajcie mi ziemię, a daruję wam zniszczenie dworzyszczu i gwałt.

— Wola wasza, — przemówił Rosław, — ale od tego co rzekłem nie ustąpię.

— Tatusiu, zgódźcie się — prosił syn.

— Cicho! odmieńcze! — ofuknął go, — woskowe serce u ciebie, opętało cię jakoweś miłowanie Grabinów, czy co? Dziedziczną ziemię chcesz opuścić, zerwać z Odrowążami, czy znajdziesz gdzie dłuższy miecz, możniejszą opiekę na świecie? Rozważ dobrze.

— Alboż Grabinów ród nie jest możny, bogaty, a nowy dziedzic nie będzie li naszym przyjacielem, — spojrzał na Rosława, który uśmiechnął się przyjaźnie.

— Czy Mikołaj Grabina pomarł? — rzucił pytanie władyka.

— Żyw on, — zawołał Małgoszcz, — i Wszehmocny da że żyw wróci z wyprawy.

— Kędyż poszedł? — spytał zaciekawiony.

— Pod znakiem pana i księcia Sandomierskiego Bolesława, przeciw nowym a strasznym wrogom... Tatarom, — objaśnił Kuna.

— I odjechał taki majątek, rodzinę, zamek, — zdziwił się władyka, — a jam sądził że on chciał tylko ziemi i bogactwa rodu swego.

Ze sieni doszło trzaskanie bramy, łopot spiesznych kroków, i do komnaty wpadł orężny ze straży, skłonił się przed Rosławem i rzekł:

— Jego miłość, ojciec, przysłał umyślnego z wieścią.

— Dawaj go tu — rozkazał.

— Okrutnie zmęczony... koń padł mu pod bramą.

— Nie wadzi... sam tu, a ty, — skinął na starszego pachołka i wręczając klucze, — miodu dzban, kasztelańskiego... żywo!

Wszyscy w naprężeniu i w niepokoju czekali pościanca. Zwolna otworzyły się drzwi i wsparty na orężnym ze straży, szedł a raczej włókł się błądy młody człowiek w kurcie baraniej.

Małgoszcz szybko podsunął wygodny stółek z oparciem i pomógł pościancowi usiąść. Wszyscy obstąpili go kołem, a gdy pachołek wniósł miód,

Małgoszcz wlał mu w gardło kubek orzeźwiającego napoju.

Odetchnął głęboko poślaniec, otworzył oczy, a wyciągając do ognia zgrabiące palce, szepnął:

— Ziąb okrutny... pić...

Nalał mu drugi kubek Małgoszcz i na bladej twarzy począł wykwić lekki rumieniec, westchnął, powiódł okiem do koła i cicho rzekł:

— Tatarzy...

I taka zrobiła się cisza, że tylko trzaskanie ognia w kominie słychać było, chociaż cała komnata pełna była ludzi, ciekawych wieści od starego pana.

— Lublin wzięty... nikogo nie żywili... wszystkich w pień wycięli.

W komnacie rozległy się jęki niewiast, groźne pomruki oburzonych mężczyzn. Tylko Rosław, Rojcowie i Małgoszcz stali zasepieni, zacisnąwszy zęby, wreszcie spytał Rosław:

— Gdzie ojciec?

— Jego miłość przy księciu panu, przysłał mnie, aby strzedz zamku, bo Tatarzy szeroko rozlali się po ziemi Sandomierskiej, palą i mordują...

— Dlaczegoż tak spieszyłeś, — przemówił Małgoszcz, — daleka im droga od Lublina do nas.

— To djabły nie ludzie, omal że mnie nie ogarnęli, dopiero w puszczy zgubili mój ślad.

Małgoszcz zwrócił się do Chmury:

— Zatrąbić na gwałt, — i do Kuny: — wysłać konnych do osad bliższych i dalszych, niech z dobytkiem i żywnością chronią się do zamku.

Obydwaj wyszli, a wraz z nimi cała służba.

— Widziałeś Tatarów? — spytał Rosław.

— Nie... słyszałem tylko ich wrzaski, niczem wycie wilków, a pożogi świeciły mi nocą.

— Dużoż ich?

— Mówią, iż ćma nieprzeliczona...

— Widziałeś ojca?...

— Toż mnie wyprawił... a z książętami, bo przyszli Mazowszanie pod wodzą swego księcia, rycerzy moc, kniaziów i komesów z pocztami licznymi...

— A zdzierzą im? — spytał władyka z błyszczącymi oczyma.

— W Panu Bogu nadzieja, bo nasi jako skalista góra, chmura ją omota ale nie rozedrze.

— Hej, gdyby być z księciem, — zawołał Indrych z pałającą twarzą, — zdobyłbym rycerskie ostrogi, a może i więcej.

— Hm... bywa i to, bo wojna uśmierca, ale i bogaci... hej, ile ja to koni zdobyłem, a jakie łuki, sajdaki, rzędy na konie, — rozpamiętywał stary z lubością.

— Nie czas wam teraz o wojnie myśleć, — powiedziała surowo ciotka, — pamiętajcie o duszy, o zbawieniu.

Stary spojrział na nią nie bez dumy i wzruszając ramionami:

— Chociaż wy dostojna pani, ale zawsze niewiasta, i nie znacie się na wojennem rzemiośle... Zmizerowany ja, umęczony, mam piętna od kajdan na rękach i nogach, ale siłę mam, tęższą od młodzików, bom wypróbowany.

— Tatusiu, pójdźmy za księciem na wojnę, a skoro wrócę rycerzem, — spojrział ukradkiem na Jewkę — nie powstydzą się mnie i najmożniejsze rody.

— Kusisz mnie synaczku, kusisz, — westchnął władyka i wypił kubek miodu, a młasnawszy językiem dodał tonem znawcy, — godny miód, i u Odrowążów nie lepszy.

Małgoszcz spostrzegłszy, że wysłańca miód i ciepło prawie uspiły, kazał go przeprowadzić do izby czeladnej, a zwracając się do Rojców:

— Mości władzyko, sam widzisz że w tak wojennych czasach nie pora na zwłoki, namysły, targi, trzeba rzec tak, albo siak.

— Tatusiu, tatusiu, — prosił Indrych z przymleniem, — tak mi wojna pachnie, i koń, i zbroja i ta wolność złota.

— Samego cię nie puszcę, niema co... no dorzucicie młody komesie coś na zgodę... po wojnie trzymać będę nadwodzie za czynsz!...

— Nie może być, — przemówił Rosław; — daję wam wolność, srebro, pieniądze, jako już rzekłem.

Jewka zaczęła coś szeptać Swochnie, a ta podszedłszy do brata:

— Rosławku, jakóż mają wojować Tatarów bez zbroi, bez koni?

Indrych rozpromieniony oczyma dziękował Jewce, bo przeczuł że to jej sprawa, i pędem do nóg ojca:

— Tatusiu, zabijcie mnie, ale muszę na wojnę, łeb tu roztrzaskam u nóg waszych — i runął łbem o ziemię, że aż zajęczało.

Krzyknęła Jewka przestraszona, a stary z gniewem:

— Wstań natychmiast, nie złość mnie, bo nic nie wskórasz, — i zwracając się do innych, — a to utrapieńca dochowałem sobie... no i jam nie z kamienia, a kiedy na wojnę, to i co mi po ziemi teraz... dawajcie grzywien trzy, gronostajów pięć, sobolów dziesięć, dwadzieścia wilczych, czterdzieści lisich, a na dodatek cztery konie z rzędami i zbroje.

— Mało czego wam się chce — zadrwił Małgoszcz, — co wielmożność przyrzekł to otrzymacie i będziecie mieli za co kupić sobie konie i zbroje.

— Nie, Małgoszczu, gdy Indrych tak płonie ochotą, konie dam, zbroje dam.

-- No, niech będzie na waszem, — westchnął władyka, — po niewoli dużo człek robi... płacie!

-- Nie bądźcież tak skorzy, — uśmiechnął się Małgoszcz, — wiem ci ja, że akt kupna macie... wpierw nam go zwróćcie, a biegły w piśmie napisze, jako na wiek wieków odstępujecie Grabinom nadwodzie i prawować się nie będziecie, i o gwałt sprawy nie wytoczą.

Władyka spojrział z szacunkiem na Małgoszcza, zdumiał się tą biegłością prawną i widząc, że nie przydadzą się jego wybiegi, bo w Małgoszczu znalazł lepszego gracza, rzekł:

— Ho, ho, uczony i wierny z was człowiek, to już i ja bez ubocznej myśli przystąpię do zgody.

Zasiedli znów do stołu, popijali miód i układali szczegóły. Największy kłopot był z wyszukaniem biegłego w piśmie, któremu obie strony mogłyby zaufać, bo może się zdarzyć, iż co innego odczyta, a co innego napisze, a już bywały takie przykłady.

Zgodzono się wreszcie na wybór księdza Bonawentury, i Rosław konnemu, który miał uprzedzić proboszcza o zbliżaniu się Tatarów, polecił prosić tak proboszcza jak i księdza Bonawenturę, aby przyjęli na czas niepokoju wojennego, gościnę w Żubrzycach.

Indrych Rojec sam się ofiarował przywieźć dokument kupna, zakopany w lochu zburzonego dworzyszczca, i dawszy Rosławowi słowo że wróci nazajutrz, na noc, samotrzeć z przydaną służbą, ruszył w drogę.

Stary Rojec wynagradzał teraz sobie dnię postu przymusowego i niewoli, jadł do syta, pił dobre miody, spał na miękkich futrach, a jak tylko otworzył oczy ze snu, znów wołał o jedzenie i napitek.

Indrych przyjechał na trzeci dzień, przywiozłszy ze sobą dębową skrzynkę z dokumentami, a ta podróż wróciła mu kolory na twarzy i pokrzepiła siły. W dalszych targach i układach szedł on tak dalece na rękę Rosławowi, że wzburzony władyka najpierw ostro się zgniewał, a następnie rzekł mu w cztery oczy:

— Indrychu, miarkuję że ci dziewczka zaproszyła oczy, gadaj mi prawdę.

— Ej tatusiu, czy ona ździłto albo mucha, aby mi oko zepsowała, — zaśmiał się nieszczerze.

— Miarkujże chłopie, że ona Grabinianka, spójrz w około jakie tu majątności i bogactwa, toż córka komesa, a ty co?

— Nie straszne mi ich bogactwo, teraz wojna, dziś bogaci, jutro żebracy.

— Ale ród, ale familia...

— Wrócę rycerzem.

— Gadajże z nim, kiedy głupi jak wierzbina, — gniewał się ojeiec — ty Indrychu, dla gładkiego liczka nie marnuj majątności, co weźmiem to nasze... a głupi daje, mądry bierze.

— Dobrze tatusiu, targujcie się, dla mnie aby koń i zbroja, a wszystko zdobędę.

-- I tu z takim narwańcem, — splunął stary, — to milez przynajmniej i pary z ust nie puszczej, a ja będę mówił.

— Dobrze tatusiu, tylko się nie swarście.

— Głupiś, — odwrócił się i poszedł.

Nie pomogły jednak ani targi, ani prośby, bo Małgoszcz, na którego Rosław zdał tę sprawę, był twardy i nieprzystępny, tyle jeno zyskał władyka, że zamiast dwóch koni dostał cztery.

Przyjechał wreszcie ksiądz Bonawentura, wypisał dokument, odczytał przy świadkach, strony zaprzysięgł że dotrzymają umowy i wreszcie Indrych mógł się wybrać na upragnioną wojnę.

Na uczcie pożegnalnej, władyka patrząc na Rosława rzekł:

— No, a wy, młody dziedzieu, nie pójdziecie z wyprawą?

Rosław drgnął, jak człowiek dotknięty szorstko w bolesne miejsce, i zarumieniwszy się odpowiedział:

— Radbym z całego serca, ale ojciec rozkazał, abym pilnował Żubrzyć... i jestem posłuszny, — westchnął ciężko.

— Słyszysz Indrychu, jaki to dobry syn, a ty, Boże odpuść, nawet głupiego miłowania nie chcesz się wyrzec dla ojca.

Nietylko Indrych zaczerwienił się ale i Jewka, nakrywszy oczy drgającymi powiekami, gładziła suto haftowany fartuch i jeła dla niepoznaki szeptać coś siostrze.

W końcu uczył, ksiądz Bonawentura, niski, szczupły, z łysą głową a długą brodą szpakowatą, milczący dotychczas, zabrał głos:

— Bezeccni poganie, synowie belzebuba i lewiatana, wysłani przez antychrysta, uwzięli się zniszczyć kościół święty katolicki. Nasz pan i książę, przeciw mocy czartowskiej prowadzi moc chrześcijańską, nie o ziemię tu idzie, nie o bogactwo i majątności, boć to marność nad marnościami, ale o naszą świętą wiarę, o nasze godło zbawienia, o krzyż Pański, na którym przekleci żydowie męczyli Pana i Króla naszego, Jezusa Chrystusa. O święty krzyż walczą, a wiecież co to znaczy? Oto wszyscy, wieley i mali, komesi, baronowie, rycerze, władcy i pospolitacy, walczą o swe zbawienie, a dusze poległych idą wprost na rozkosze niebiańskie. Ale ci co idą walczyć z pogaństwem, powinni mieć nietylko

w sercu miłość świętego krzyża, ale umieścić go należy na zewnątrz, na sercu, aby poganie zrozumieli i poznali, że z nami jest moc Pana Wszechmogącego i nikt jej nie zwycięży, ani piekielne bramy jej nie przemogą. Radzę wam tedy władcyko Rojcu i tobie młodzieńcze, abyście przypięli na sercu godło święte, krzyż Pański, a on was ochroni od czarów i nieszczęść, a jako Panu Bogu najmilsza jest niewinność, niech tedy ręce dziewczeczek przypną wam to godło święte, a ja was pobłogosławię.

Okrutnie się ta mowa spodobała wszystkim, a najbardziej Indrychowi, który wstał pospiesznie i zbliżywszy się do dziewcząt:

— Dajcie mi wasze miłości godło święte, z niem zwyciężę albo zginę.

Właśnie naradzały się obie, jakiego koloru ma być krzyż, i spytały ciotki, która mniemała, że krzyż biały, jako znak niewinności byłby stosowny, że jednak nie była pewna, zwróciła się do księdza:

-- Wielebny ojcze, jaki kolor radzicie na godło Pańskie?

— Czerwony, bo Chrystus Pan krew za nas przelał i każdy walczący powinien być gotów swoją krew oddać.

Pobiegly dziewczęta po szkarłat do swojej komnaty, a gdy wróciły, Jewka przyszywała

krzyż czerwony do kubraka bawolego, który miał Indrych na sobie.

Gdy poczuł ją tak blisko, wyszeptał zbielałemi ze wzruszenia wargami:

— Miłuję was nad słońce, nad wolność...

Udała, że nie słyszy, ale stała się bardziej szkarłatną od purpurowego sukna, które przy-szywała.

— Jadę na wojnę z pogany, — szeptał dalej, — miejcież miłosierdzie.

— Cóż wam rzeknę? — odszepnęła.

— Zaczekajcie na mnie... wrócę rycerzem.

— Jeśli tylko wrócicie z tym znakiem...

— On mi miłszy nad życie, nad zbawienie.

— Nie bluźnijcie — upomniała.

— On z waszych rąk, jam wasz niewolnik.

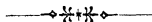
— Cóż tak gmerasz igłą? — zawołała ciotka podejrzliwie.

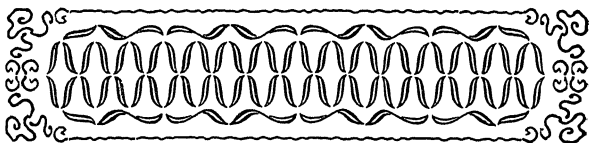
— Skończyłam ciociu.

Następnie obaj przyklekli przed księdzem, ten ich błogosławił na bój.

Zanim jednak władyka opuścił komnatę, wziął pokryjomu węgiel z komina, położył go na zawiasach drzwi i pozostałą resztkę miodu przeżegnanego w kubku wylał na węgiel, aby zapobiedz czarom.

I wyjechali.





III

Izastawicze.

Zgromadzona w zamku ludność okoliczna, gdy Tatarzy nie pokazywali się w pobliżu, zaczęła z wolna opuszczać zamek, zatęskniwszy za chatami i spokojnem życiem.

Przypuszczano ogólnie, że Tatarzy dowiedziawszy się, iż księżę Bolesław wyruszył przeciw nim, cofnęli się z granic Sandomierskich, i tem ochotniej dano wiarę temu przypuszczeniu, że życie w zamkniętym zamku było dość ciężkie i jednostajne.

Na trzeci dzień po wyjeździe Rojców, zamek Żubrzyce przybrał swą zwykłą postać, jedynie wzmocnione straże, częste odzywanie się rogów wartowniczych, świadczyły, że obrońcy zamku czuwają i strzegą go pilnie.

Właśnie podano wieczerzę i jako było w zwyczaj, Rosław zmówił krótką modlitwę, gdy wpadł jeden ze strażników i zawołał z progu:

— Jaka wrócił z bitwy!

— Sam tu, — zerwał się ze stołka młody dziedzic.

I tuż wszedł w porozrywanej odzieży, z twarzą siną i zakrwawioną Jaka, jeden z czeladzi podręcznej Mikołaja Grabiny.

Złe przecucie owładnęło obecnych i z głuchą obawą i zgrozą, w głębokiem milczeniu patrzano na przynoszącego wieści z pola bitwy.

— Siadaj Jaka, — rzekł głucho Rosław.

Jeden z pacholików, na znak Małgoszcza, dał przybyłemu kubek piwnej polewki, którą podano do stołu.

Gdy już wypił i otarł usta spytał go Rosław:

— Co z ojcem?

— Nie wiem nic pewnego, wasza wielmożność... może zabrali go w plen, a może uśmiercili... nie wiem.

Przy tych słowach obie córki głośno jęknęły, spojrzął brat na nie surowo i rzekł:

— Opowiadaj kolejno... a prawdę...

— Obaj książęta z rycerstwem i jego miłość stanęli łożozem niedaleko Opoła. Wiedzieliśmy, że Lublin wzięty i wyrznięty, aż tu w pierwospy uderzą na nas Tatarzy z okropnym wrzaskiem,

Tatarzy w Sandomierskiem.

a chociaż napadli na nas zbójcko daliśmy im odpór; i sami książęta porządek robili i ustawiali wojsko wedle wołania... Jego miłość stanął na czele Świebodów, a pan Skarbimir Dobek z Niedźwiedzia wiódł Powalów... o innych nie wiem...

— Mów dalej... dajcie mu kubek polewki, — rozkazał gospodarz.

Napił się, odetchnął głęboko i prawił:

— Chwilę staliśmy naprzeciw siebie, aż książę skinął i szliśmy rysią, nie wytrzymali natarcia, uciekli, dopieroż gonitwa... aż tu z boków jak nie ruszą na nas chmury Tatarów, i chociaż był jasny dzień, zaciemniły go strzały... Obracamy się, aż my jak w saku, ich chmara, a my jako drzewa na miedzach. Zagrały trąbki do odwrotu, ale nie było jak wracać... Jego miłość czynił straszne spustoszenie, koncerz ino się migał, aż padł mu koń... podałem luźnego, a jego miłość powiada: do Żubrzyc leć, niech pilnują... i rozerwała nas nowa wataha, obejrzałem się za wołaniem naszym, nie było go i konia cisawego com podał nie było... Skoczyłem przed siebie, a że bór był blisko rzuciłem konia i piechtą gnałem, ażem ułowił jakiegoś konia...

Nastała cisza, dziewczęta siedziały bez ruchu, tylko z ocz płynęły duże, gorące łzy; Rosław blady, patrzył przed siebie i widać było, że nie dowierza własnemu słuchowi i nie może uwierzyć w klęskę

ojca; ciotka przesuwając różaniec, mamrotała pacierz, aż Małgoszcz przemówił surowo:

— Widzi mi się Jaka, że kręcisz jak lis kitą... mówisz, iż was odcięto i otoczono, a jeśli znamienici rycerze nie zdołali się przebić, jakoż mogłoby się tobie udać, chudopachołkowi.

— Klnę się na zbawienie duszy, że prawdę mówię — uderzył się w piersi.

— Hm... może i prawdę mówisz,—przemówił Kuna,—pewno strach cię obleciał i dwoiło ci się w oczach... Bywałem z jego miłością w bitwach, nie poradzi mu nikt, pierwszy idzie, ostatni wraca.

— I ja też nie mówię, że jego miłość, czego uchowaj Panie Boże, zginął, ale że go moc wielka opadła... widziałem i przysięgnę.

— Słuchaj Jaka,—rzekł Rosław,—jeśli prawdę mówisz, dostaniesz nagrodę za to żeś przyjechał, ale jeśli się okaże, że kłamałeś, nie miną cię plagi.

— Prawdę rzekłem, tak mi daj Panie Boże dożyć jutra.

— Ej, Jaka, może powiedziałeś w złą godzinę, — upomniał go Chmura.

— A niechże przypadnę, uderzył się w piersi.

— Dość tego,—zawołał rozdrażnionym głosem Rosław,—idźmy na spoczynek.

Długo w noc rozmyślał Rosław o ojcu i opowiadaniu Jaki, a im więcej zastanawiał się nad

szczegółami, tem bardziej wzrastała w nim pewność, że Jaka pod wpływem strachu i dla usprawiedliwienia swej ucieczki, zmyślił opowiadanie swe o napadzie i szczegóły bitwy. Znał bowiem ojca, tyle nasłuchiwał się o jego rozwadze i ostrożności w obec nieprzyjaciela, iż uznał za niemożliwe, aby ojciec dał się wywieść w pole i wpadł w pułapkę, zwłaszcza, że nie szło tu o jego życie, ale o całe wołanie, o wszystkich Świebodów.

— Nie może być — powtarzał sobie i starał się przekonać sam siebie, a jednak po chwili, wbrew chęci i woli stawał mu przed oczyma obraz ojca padającego z koniem, natarcie setki wrogów, tratowanie leżących, pojmanie rycerzy, a może i śmierć.

W tej rozterce pomiędzy rozumowaniem a uczuciem, między prawdą a zmyśleniem, usnął.

Nad ranem śniło mu się, że Tatarzy napadli na Żubrzyce, że z baszty i murów odzywają się rogi zwołujące orężnych, bo Tatarzy drapią się na mury... i zbudził się.

Nasłuchiwał... i istotnie warta dawała znać dęciem w róg, że ktoś zbliża się do zamku. Po chwili nastąpił drugi odzew rogu.

Zerwał się z tapczana, narzucił ubranie i spieszył ku wyjściu, przypuszczając z radością w sercu, że może to ojciec wraca, lub nowy wysłannik z dobrymi wieściami.

Zaledwie wbiegł na kurytarz, dojrzał w głębi u wejścia smolne łuczywa i kłaniającego się nisko Małgoszcza. Zanim doszedł, poznał znaną sobie postać Wojciecha Warpąza z Turska, który zrzucając burkę, zawołał głośno:

— Ognia, i misę polewki gorącej!

Zanim młody gospodarz doszedł do komnaty, już Warpąz siedział przed kominem i grzał zgrabiałe palce u ognia, który rozniecał klęczący pacholik.

— Witajcie, przezacny panie, — zawołał z progu Rosław, i zbliżywszy się ucałował ramię gościa, — przyjeżdżacie w dobre jutro.

— Jeszcze niema jutrzni, — odparł gość, ucałowawszy czoło gospodarza, — a czy ona dobra... Bóg jeden wie.

— Co z ojcem? Gdzie jest?

— Nie mieliście żadnego zwiastuna? — trochę się zdziwił.

— Wczoraj przybiegł jeden z czeladzi ojca... ale takie dziwy plecie, że chyba strach go opętał i nasunął mu zmyślenie.

— Cóż mówił?

— Że Tatarzy pod Opolem zwabili wyprawę i ojca w zasadzkę, że ojca otoczyła chmara wrogów i niewiadomo co się stało... plecie i plecie.

W tej chwili pacholik wniósł misę dymiącej polewki piwnej, a tuż zjawił się Małgoszcz, mówiąc:

— Starsza pani doprasza się wieści z bitwy i pyta, czy może zejść do komnaty i przywitać gościa?

Gospodarz spojrział w oczy Warpąza, azali miłe mu będzie to towarzystwo, a ten zajadając chciwie polewkę, powiedział:

— Nie mam się z czem chwalić... a chce posłuchać to i dobrze... możecie i wy zostać Małgoszczu, wiem żeście zaufani.

Skłonił się dworzanin i wyszedł, aby dać znać starszej pani, a chociaż Rosława paliła ciekawość, nie pytał o nie. Pamiętny, iż Warpąż lubi kubek miodu, kazał przynieść gąsior z lochu i czekał.

Weszła ciotka z Jewką i Swochną, pozdrowiwszy gościa, kazała podać sobie i dziewczętom polewki.

Brat spojrział na siostry. Jewka, trochę blada, siedziała spokojnie, jedząc śniadanie. Swochna miała silnie podkrążone oczy, świecące się gorączkowo i z niepokojem patrzyła na gościa.

Ten podjadłszy sobie do syta, popił miodu i rzekł:

— Czeladnik waszego ojca powiedział prawdę, — i po chwili ciągnął dalej: — wyprawa

ksiąząt była zacna, liczono do tysiąca koni rycerskich, a czeladzi i piechoty dwa razy tyle. Po wzięciu Lublina umyślił nasz książę napaść na wracających z łupami i zgnieść to szatańskie nasienie. Rozłożyliśmy się obozem pod Opolem, a książę posłał zaufanych, aby się porozumieli z Rusinami, którzy obiecywali obrócić się przeciw Tatarom.

— I dotrzymali słowa,—odezwała się surowym głosem Olga Izaławiczówna.

— Przyjdzie i na to kolej, — mówił Warpąż, pijąc miód, — rozstawiliśmy czaty i jaki taki usnął znużony, aż tu w pierwospy, jak nie wrzasną Tatarowie ze wszech stron, że niczem śmiech dyabelski i jęki męczonych w piekle. Zastrachwały się konie i ludzie, ale żeśmy zatoczyli w około wozy, nie dużo nam szkodzili ci zbóje. Sprawiliśmy porządnie szeregi, a gdy rozedniało wyszliśmy z obozu. Książę dowiedziawszy się, że Tatarowie odesłali Rusinów niedowierzając im, umyślił cofać się ku Sandomierzowi, bo doniosły nam języki, że Tatarów moc nieprzeliczona.

— Jest że ich tak wiele? — spytała ciotka z niedowierzaniem.

— Jako drzew w puszczy, jak robactwa w zdechlinie, bo nie rodzą ich niewiasty, ale czarownice do współki z dyabłem.

— Z dyablem!? — zawołała ciotka i przeżegnała się trzykrotnie, — straszną oni?

— Nie tak oni, ile ich czary, — splunął za siebie, a wszyscy obejrżeli się trwożliwie.

— Czy przerzucają się sami w co niebądź, czy innych? — dopytywała się ciotka.

— Pewno że tak, ale że na naszych sztandarach był krzyż święty, to rzucone uroki nie skutkowały. Jednak rodzony ich ojciec, dyabeł, wymyślił inną sztukę, jako się to okaże.

Wszyscy w ogromnem skupieniu czekali na ową dyabelską sztukę, a Warpąż wypił pełny kubek, otarł ręką mokre wąsy i mówił:

— Idziemy, a ledwie o jakie dwie staje byliśmy za borem, widzimy w oddali pogan, szykujących się do bitwy. W mig rozwinęliśmy się ławą, ojciec wasz a mój przezacny sąsiad wiódł Świebodów na prawem skrzydle... a mnie pan i książę naznaczył do rady, jako znającego porządki obozowe...

Patrzym, aż te psubraty na chmyzach swoich, jadą ku nam... Obrośnięte to, czarne, kudły po pas, ładajaka broń w rękę, tylko wyją, a wydziwiają po swojemu. Natarliśmy i jako robactwo pod ukropem rozleciało się to pod naszym uderzeniem. Bił, rznął, kłuł każdy z nas ile wola, a że konie różne, ci byli na przodku, inni na zadku, ci na prawo, ci z boku... aż gdy tak uży-



wamy, że ręka mdleje, widzimy z trzech stron, nowe, wybrane wojsko... Chłop w chłop, konie dobre, łuki lekkie a sposobne, groty ostre, i ubranie u nich jednakie, wywrócone kozuchy i kołpaki na łbie... Ogarnęli tych co się wysforowali naprzód, i sieką i wyją, a strzały tak gęsto świszczą, że aż przyćmiły słońce. Kaze książę trąbić do odwrotu, a sam staje z wyborowym żołnierzem szykiem bojowym... Co uderzą na nas, to odskoczą, jako psy od odyńca, i zrobiło się wolne pole przed nami... Patrzmy... Ogończyki już nie zdzierżyli, każdy sam pędzi... Powalowie zagarnięci, a Świebodów trzyma jeszcze w kupie wasz ojciec, ale co raz ich ubywa, aż całkiem ich nakryli... Skoczę w bok, aby dojrzeć, i miły Boże cóż dojrzę!? Mikołaja Grabinę, pana na Żubrzychach, komesa sandomierskiego, wzięli w plen...

Głośny płacz i jęki niewiast przerwały opowiadanie; po bladej twarzy Rosława łzy jako groch się toczyły. Małgoszcz ocierał kułakiem oczy, a Warpąż widząc tę żalność, zawołał z gniewem:

— Nie płaczcież, bo sam ryknę z żalu... żyw przecież, dacie okup i wróci do was.

Rosław i Małgoszcz milczeli, ale dopiero po dobrej chwili uspokoiły się jęki niewiast o tyle, że Warpąż mógł mówić dalej.

Gdy tedy stoimy, widzimy, że biorą rozpęd, rozwinęliśmy się i żywiej na nich idziemy, aż tu o jaką staję, jak nie puszcza na nas smoków ziejących ogniem, jak nas nie ogarnie smrodliwy, duszący dym, konie tak ponarowiły się, ponosiły, że o obronie ani myśleć... Ruszyli książęta ku Sandomierzowi, a za nimi wszystko co żyło. Szczęściem mieliśmy konie wypoczęte i Tatarzy nas nie zgonili... ale też poległo naszych co niemiara...

Nachmurzony siedział w milczeniu, przerwała je ciotka pytaniem:

— Czy na Tatarach znać ich ojca?

— Duszę mają dyabelską, potępioną na wieki, ale ciało jako my. Spotkałem się kolejno z trzema. Jednego wziąłem sztychem, panczerza nie miał, drugiemu przetrąciłem ramię, a trzeciemu rękę. Koncerz wszedł gładko, może dlatego że poświęcony w katedrze Sandomierskiej.

— Jakże mi dostać wieści o ojcu, do kogo iść? Gdzie?

— Czekaj synku końca wojny, przyjdzie rzecz o jeńcach, to dowiemy się. Sam książę mówił, że Grabinę musi wydostać z niewoli.

— A kiedyż koniec wojny?

— Sam Pan Bóg wie... Książę pojechał do warownego Sandomierza, gdzie przebywa jego żona, matka, siostra, a mnie wysłał w Krakow-

skie, aby sposobili się do obrony i przyszli na odsiecz Sandomierzowi, gdyby go Tatarzy oblegli.

— Kiedyż! będziecie w Krakowskiem? — spytała ciotka.

— „Jak można najprędzej... Konie moje tu zostawię, a wezmę wasze, nawet do Turska nie wstąpię.

— Tak wam spieszo?

— Rozkaz księcia.

Zaczęły się dopytywania, kto uszedł, kto zginął, kto wzięty do niewoli.

Dowiedziano się że poległ w bitwie Białota ze Sławnicy i Skarbimir Dobek z Niedźwiedzia, zaś Pakosław z Dąbia dostał się w pęta, a rycerz Wojstaw uszedł wraz z księciem.

Mimo deszczu i wiatru, ruszył w drogę Wojciech Warpaż jeszcze przed południem, a Rosław zamknął się w izbie ojca, i otworzywszy skrytkę z gotowizną, jął liczyć pieniądze, aby wiedzieć czy starczą one na wykup z niewoli.

Na trzeci dzień, w czasie obiadu zabrzmiały rozgłośnie rogi wartowników, zaś odzew był długi, przeciągły, nagle się urywający, zupełnie różny od zwykłych sygnałów.

Na odzew ten, poruszyła się ciotka niespokojnie, przygasłe oczy zabłyśły i zawołała głośno:

— To nasi... z mojej ziemi!

Po dobrej chwili wszedł Chmura i zwrócił się do młodego pana:

— Przed bramą, stoi bojar ruski Wołodko Izasławicz, z towarzyszymi, Iwanem Bukłakiem i Wasylem Synowatym, z nimi jest piętnastu czeladzi zbrojnej. Czy wpuścić?

Ciotka widząc wahanie Rosława, zawołała z niezwykłą u niej żywością:

— Czego się namyślasz? Przecież Wołodko to rodzony twój wuj, a mój brat.

Siostrzeniec na razie jej nie odpowiedział, lecz rozkazał pachołkowi zawołać Małgoszcza, i zwrócił się do ciotki.

— Wojenne czasy ciociu, a Rusini związali się z Tatarami.

— Może inni, ale nie Izasławicze, ci wiary nie porzuca, nie pokłonią się poganom, — odpowiedziała porywczo.

W tem wszedł Małgoszcz, a wysłuchawszy rzecz całą rzekł:

— Bojara Izasławicza, jako krewnego godzi się przyjąć i widzi mi się, że i dwóch jego towarzyszy, ale czeladzi za wiele.

— Piętnastu za wiele!? — Oburzyła się ciotka, — Izasławiczom i sotnia nie dziwna.

— Może ciociu, tam, na Rusi... ale w Żubrzcach za dużo piętnastu. Bojarów wpuścić,

czeladź niech idzie do osadników na podzamecze, a żywność dostaną od nas.

— Czyż chcesz im odjąć ich służbę podręczną?

— Znajdą jej dosyć u nas ciociu — i dał znak Chmurze, aby poszedł spełnić rozkaz.

Ciotka gniewna, że nie usłuchano jej, rzekła z przekąsem:

— Ależ was strach obleciał, cienia się boicie, nawet krewnych nie wpuszczacie.

— Ostrożność nie zawadzi,—powiedział spokojnie Małgoszcz.

— Nie do sługi mówiłam, do pana, — zawołała ostro.

— Małgoszcz nie sługa, ale przyjaciel domu naszego.

Uśmiechnęła się lekceważąco i tonem upomnienia:

— Należałoby przygotować jadło i napoje, toż zdrożeni i zmęczeni.

— Wszystko będzie ciociu.

Za chwilę posłyszeli gwar w sieni, Rosław zbliżył się do drzwi.

Pierwszy wszedł wysoki, chudy brunet z cienkim wąsem na grubej wardze, ze skąpym zarostem i schylając kołpak ku ziemi:

— Bądźcie pozdrowieni w Imię Boga.

— I my pozdrawiamy was w spokoju, — odpowiedział Rosław.

— Tyż mój siostrzan! No, ja ci wuj ridny, bo ja Wołodko Włodymirowicz Izasławicz, — wyciągnął rękę, którą uścisnął Rosław i puścił.

— No, nie tak u nas pozdrawiają wuja, — powiedział tonem niezadowolonym, — toż ja tobie bliższy od wszystkich stryjów, moja krew w tobie. Co?

— Jest krew matki, ale i ojca.

— No, nie sierdź się gołąbku. Ot moi druchy, przyjaciele, co razem ze mną wybrali się w taki świat aż do Polszczy. To, bojar Iwan Iwanowicz Bukłak, sławny on, nikt jak on podejdzie wroga, — wskazał na mężczyznę średniego wzrostu, z rudawym silnym zarostem, z twarzą tłustą, szeroką, na której błyszczały małe, bystre, zielonkawe oczy.

Iwan Iwanowicz skłonił się i podając grubą rękę:

— No, z batkom waszym, my znajome, podchodził ja jego w wojnie, podszedł on mnie i wziął w plen, ot zapłacił ja, tak mnie puścił. Przesłałwny on, szkoda że nie ma go, no on na wyprawie z Tatarami, tymi psimi synami, wojuje, daj mu Panie Boże zwycięstwo, — mówiąc te słowa uśmiechnął się tak dwuznacznie, że Rosław poczuł do niego głuchą niechęć, ale przemógł się:

— Witajcie bojarzy, rozgoście się i przyjmicie poczęstunek.

— A ot wam Wasyl Wasyliewicz Synowaty, druh i przyjaciel królewicza Halickiego Lwa Danyłowicza, przydał go nam sam królewicz, abyśmy krzywdy żadnej nie doznali.

Młody, przystojny brunet, już wpierw ciekawie przyglądał się komnacie, niewiastom, dworzanom, a słysząc swe nazwisko, dość niedbale podał rękę Rostławowi mówiąc:

— U was bez mała dwór kniaziów, ale ceremonii za dużo... a u mnie serce na wierzchu. Przyjedźcie do nas choć w sto koni, przyjmę was jak brata

— Co kraj, to obyczaj,—uśmiechnął się gospodarz z przymusem,—siadajcie, posilcie się..

— Ot, wy pewno Olga,—zawołał Wołodko, zbliżając się, — dziesięć lat was nie widział, ale swój swego pozna.

Ucałował ją w ramię, ona go w głowę, mówiąc z rozczuleniem:

— Oj Wołodko, Wołodko! Serce ty moje, rozrosłeś się, zmężniałeś, witaj mi miły bracie.

— Jadąc tu, myślałem żeś ty tu panią, bo rozum u ciebie, jak u archireja, a ty zawsze nianią... ale wyhodowałaś ładne krasawice, tak daj im Boże męża, bo im sam czas.

Zarumieniły się obie, a on śmiejąc się głośno:

— Nie wstydźcie się zazule, ja wasz wuj rodny, dary wam przywiózł bogate, złociste, i dla siostrzeńca takż mam zbroję z Carogrodu... a chcecie to wam i chłopców przywiozę, aby wam wesoło było... cóż, wy rade mnie, wujowi?

Jewka zarumieniona milczała spuściwszy oczy, ale Swochnie nie podobały się żarty wuja i rzekła oschle:

— Nam nie do wesela i radości, ale do smutku, nasz ojciec w niewoli.

W niewoli!? — zdziwił się, — hej Synowaty, Bukłak; słyszycie!?! Mikołaj Grabina wzięty w plen przez Tatarów.

— No, no, ot sprawa... ciężka dola, — westchnęli.

— A skądże wiecie, wuju, że ojciec jest u Tatarów?— spytała Swochna.

Na chwilę zmarszczył brwi i spojrzał na nią niechętnie, ale wkrótce się rozpogodził i rzekł:

— Ot, pytanie dziecinne, jak wojna z Tatarami, to któż wziął w plen?

Wniesiono potrawy, ustawiono kubki, a pacholik łał z wielkiego dzbana w kubki miód bursztynowy.

Gdy pierwszy głód minął, Izasławicz opowiadał ciotce o krewnych, o znajomych, inni zaczęli się nudzić tą rozmową, aż wreszcie zawołał Synowaty:

— Hej Wołodko, pogadaj ty ze siostrą w cztery oczy, nacieszycie się... bo i co nam do waszych znajomych i krewniaków... ot, panie gospodarzu, nie kręcili się tu Tatarzy?

— Jeszcze nie...

— To dziwne, bo mają zwyczaj rozlać się w około, jak rzeka wezbrana.

— Czy u was tak robili?—spytał Rosław.

— U nas nie bardzo, bo nasz mądry król Danyło, umiał ich zażyć... pojechał ze synami do ich króla Batu-Chana, pokłonił się i powiedział: Otworzę ci miasta, grody, zamki, dam ci jeść i pić, ale nie gub mnie. Nie uwierzył mu król tatarski, tak Danyło dał mu zakładników... no i zgoda.

— Kogóż dał?

— Dwóch synów, Lwa i Romana; brata swego Wasylka, dwie córki swoje i stu przednich bojarów.

— To wy zakładnicy?—zdziwiła się ciotka,— bo i któż przedniejszy od Izasławiczów?

— Nie, siostró, — odpowiedział Wołodko — my trzej nie nawykli do niewoli, a wiedząc z czem nasz król jedzie do króla tatarskiego, wyjechaliśmy do laskiej ziemi, do ciebie siostró.

-- I dobrze zrobiliście, uśmiechnęła się Olga,—znam ja króla Danyłę, on nie raz piaskiem rzuci w oczy... nie powiesz się Tatarom, pójdzie na nich, bo co jemu stu bojarów!?

— A może i prawdę mówicie, — rzekł Bukłak, — bo wybrał poślednich.

— Oj znam ja jego, znam... toż matka moja z jego rodu.

— A nie macie wy znajomości w tatarskiem wojsku?—zwrócił się Rosław do Synowatego.

— A o cóż idzie?

— Chciałbym zasięgnąć języka o ojcu, gdzie jest, ile chcą wykupu?

— Hm... dla przyjaciela dużo zrobię... mogę wysłać do królewicza Lwa, jego słuchają, każe, a zaraz powiedzą.

— Więc zróbcie mi tę łaskę—prosił gospodarz.

— Wpierw wypijmy na przyjaźń i braterstwo, jak będziecie mi druhem, wszystko zrobię.

— Jam gotów, chociażby zaraz,—zawołał uradowany.

— Ba, cóż wy za druh, — uśmiechnął się,— gdy nie mam wiary u was?

— Jakże to?

— Alboż wpuściliście czeladź naszą? Nie wierzycie nam, macie nas za wrogów, chociaż my bez broni, bez ludzi, oddali się wam na łaskę, niełaskę!

— A co, nie przestrzegałam cię, że źle robisz!—tryumtowała ciotka.

— Czas wojenny,—mówił Rośław,—wiem że Rusini idą z Tatarami, chociaż poniewolnie... nie znałem kto wy? czego przyjechaliście i z czym?

— Ono to tak—zaśmiał się Izaślawicz—ostrożność dobra, no pomyśluj siostrzanie, toż ja wuj twój rodny, i u was moja siostra w goście, matkę wam zastępuje, czyż mogę mieć coś złego na myśli... ot, uchodzimy przed niewolą, do kogoż się udać? co? Taż do was rodny, do siostry, do wolnych, i prosić o gościnę. Tu nie przyjechali z pustemi rękami, nie po żebrach...—i zwracając się do pacholika,—hej, mały! zawołaj mego raba, w sieni został.

Po chwili wszedł średnich lat blondyn, smukły, ubrany w krótki kożuszek, skórzane spodnie przytrzymywane powyżej kostek paskami kierpców, i skłonił się prawie do ziemi.

— Przynies rzeczy zaszyte w skórę.

W odpowiedzi znów oddał niski pokłon i milczący wniósł po chwili do komnaty dość wielkich rozmiarów tobolek. Wzrokiem pytał gdzie położyć?

— Na ławie, przy kominie, i rozwiąż.

Spełnił rozkaz, i wyprostowany czekał skienia pana, ten obejrzał się i zawołał surowo:

— Paszoł!

Znikł cichy i milczący, a Olga patrząc na oddalającego się:

— Wołodko! Czy ten rab z naszych?

— Nie... Pięć lat temu kupiłem go od ormianina, poduczył się naszej mowy, ale żeby nie zdradził, kazałem mu język uciąć. Stracił na wartości, ale za to pewny.

Mówiąc to podszedł do rzeczy, wyszukał różaniec z drzewa różanego, ozdobiony koralami i wręczając siostrze:

— Sam carogrodzki archirej go poświęcił... jeśli będziesz modliła się gorąco o łaskę, dana ci będzie... módlże się i za mnie siostrzo, abym ja i moi uszli niewoli i hańby.

— Prośba niepotrzebna, zawsze modłę się za was... cudo, nie różaniec, — oglądała pilnie, — pamiętajcie pochować mnie z nim. Dar to godny Izasławiczów.

Wołodko nachylił się nad tobołkiem, i wyjmując koszulkę drucianą z misternych kótek zrobioną, podszedł do Rosława i rzekł z uśmiechem:

— Ty mój siostrzan, a bał się mnie, tak ja tobie daję zbroję, co dzidy nie puści, a topór szcerbi,—potrząsł lśniąca koszulką, która wydała czysty chrzęst żelaza, — no, i puginał ostry... gdy powalisz wroga, tak po szyi jego... i ot trup.

Z ozdobnej pochwy wyjął puginał i błysnął klingą, a w czerwonym ogniu z kominka wydawało się, że cała po rękajeść ociekła krwią.

— Dziękuję wam wuju, za szczodre a piękne dary i bądźcie pewni mej wdzięczności.

— No, wdzięczność wdzięcznością, ale miłuj ty mnie i ufaj mi... toż mamy krew wspólną.

Znów zwrócił się do tobołka i rozwijając zrećmie ciężką materję, tkaną złotem:

— Ot tobie krasawico, — podał Jewce — noś zdrowo i szczęśliwie... a zwracaj głowy chłopcom, niech szaleją za tobą... hej, gdybym ja nie był taki bliski krewny, — westchnął.

Jewce zablęskły oczy radością, zarumieniona, oczyma dziękowała a ręką pieściła dar pożądany.

— A tobie najmłodsza, przywiozłem buty safianowe, żółte jak czyste złoto, wytańcujże sobie męża, — podał buty.

— Dziękuję wujowi... ale nie chcę męża, któryby mnie wziął dla tańca.

— Ty chcesz takiego, aby ci w liczko patrzył, a pieścił i całował, — zaśmiał się głośno, a inni wtórowali, prócz Rosława.

— Nie lubię takich żartów, — powiedziała chmurna, — małżeństwo u nas to sakrament, nie zabawa.

— Ho, ho, serdyta ty mała, — śmiał się, — gra w tobie krew kniaziówny, twojej babki.

— Komesów Grabinów, chciał wuj powiedzieć, — mówiła poważnie, i trochę na bok odsunęła buty, stojące przed nią na stole.

Wołodko widząc ten ruch, gniewny że źle przyjęła dar, rzekł drwiąco:

— Co? śmierdzą ci buty?

— Nie tak buty, ile żarty.

— Eh, siostró Olgo, laszkę sobie wychodowałaś...

— Zmieni się ona, jak pójdzie za naszego bojara, odezwie się w niej ruska krew,—zaśmiała się.

— Jeszcze taki bojar nie urodził się i nie urodzi, żebym wyszła za niego.

— Tak? — zaśmiał się Wołodko lekceważąco,—a ty, Jewko, pójdiesz za bojara?

— Nie wiem... co komu przeznaczone, to go nie minie.

— Ot rozumna krasawycia—plasnął w ręce Synowaty,—takiej nie żal pokłonić się i przyhołubić... No, nam tu dobrze i ciepło, ale naszym ludziom źle przed bramą.

— Jakto przed bramą!? — zdziwił się Rosław,—kazałem ich poprowadzić do osady, znajdują tam kąt ciepły i strawę.

— Nie pójdą,—objasniał Bukłak,—z głodu mrzeć będą, a stać będą i czekać.

— Chcecie mi dać dowód przyjaźni i zaufania, wpuście naszą służbę,—zawołał Synowaty,—a ja wywdzięczę się wam... będziecie mieć wieści od waszego ojca.

Rosław ujęty tą obietnicą, a trochę i szczodrobliwością wuja, zawahał się. Dostrzegł wprawdzie znak odmowny Swochny, ale silniejszą była ambicya okazania, że nie obawia się uzbrojonej czeladzi, i zwrócił się do pacholika:

— Idź do Chmury, niech wpuści służbę bojarów.

— No, dobryś ty, — zawołał Wołodko — pożałowałaś głodnych i zdrożonych, — i spojrział porozumiewawczo na dwóch swoich towarzyszy.

— Ot, ja twój druh, — wstał Synowaty i rozpromieniony podał rękę gospodarzowi, — zaraz wyszlę umyślnego do królewicza, Lwa Danyłowicza i... prędzej, aniżeli myślisz, zobaczysz się z ojcem, jeśli tylko żyje.

— Co powie Synowaty, to i dotrzyma — potwierdził Bukłak, głaszcząc szeroką brodę — żeby gromy i pioruny biły, on zdierży.

Rosław był tak uradowany, że nietylko uściśnął rękę Synowatemu, ale ucałował go, mówiąc:

— Jeśli obaczę ojca, jak mi obiecujesz, obsypię cię, przyjacielu, darami, na jakie stać Grabinów.

— Oj, wybiorę ja dar najmilszy dla mnie — spojrział płonąącymi oczami na Jewkę, która, spostrzegłszy to, szybko zwróciła się do siostry, pokazując jej otrzymany dar.

Wszedł Chmura i zbliżywszy się do Rosława rzekł:

— Przyszedłem zapytać, czy pacholik przyniósł mi wierne słowa waszej wielmożności, czy naprawdę mam wpuścić zbrojną czeladź bojarską?

— Tak jest... puść.

— Rozkaz jest rozkazem — westchnął Chmura i odszedł.

— Toś ty tu naprawdę pan!? — zdziwił się Synowaty.

— Z woli i rozkazu ojca.

— No, sławnyj mołodiec — uściśnął mu rękę powtórnie.

Rozmawiali jeszcze czas jakiś, lecz gdy miód począł ich rozbierać, a ten i ów głośno ziewał, Rosław poprowadził ich na spoczynek do pobocznej komnaty.

Gdy w zamku wszystko się uciszyło i tylko od czasu do czasu słychać było nawoływania wartowników na znak czuwania, Wołodko Izasławicz podniósł się z miękkiego posłania, zasłonił szczerzenie wązkie okno, podszedł do tlejącego ognia na kominie, dorzucił smolnych drew, a gdy zajęły się płomieniem, zbudził towarzyszy, zajrzał za drzwi, czy kto nie podsłuchuje, i usiadłszy między nimi zaczął przyciszonym głosem:

— No, początek udał się... i my i nasi ludzie w zamku... ale my im nie zdzierzymy, la-

chów sześćdziesięciu, samej załogi, a naszych piętnastu.

— Czemuż nie wzięłaś więcej — mruknął gniewnie Bukłak — Ałłagan pozwoliłby i stu.

— A czort wiedział, że stary Mikołaj tak opatrzy zamek... bodaj ich pioruny wytłukły! — zasyczał Izasławicz.

— Tu klątwy na nie — odezwał się Synowaty — porwiemy się, to nas zduszą i uśmiercą... chyba żeby złović młodego i jego siostry, zagrozić ludziom ich śmiercią, albo broń złożyć, zamek oddadzą.

Milezeli jakiś czas, wreszcie Wołodko Izasławicz rzekł:

— Aj, nie znasz ty Grabinów, widziałeś jak nas ten młokos przyjął, niby król... i nie dowierzają nam... weźmiem ich, oni zginą, a nie poddadzą się, ja ich znam... no i śmierć nasza.

— Nie znam Grabinów, tak jak Wołodko — przemówił Bukłak grubym głosem — ale myślę, że i sama załoga nie zgodzi się na poddanie, bo rozumie, że żywić jej nie będziemy... i pobiją nas. Wasz plan z dziećmi, bracie Synowaty, czorta wart.

— Tak wymyście lepszy — mruknął niezadowolony.

Znów milezeli, aż zaśmiał się Bukłak i plaśnął w dłonie, spojrzeli na niego, a on rozczesując palcami szeroką ryzawą brodę zaczął:

— Szukamy kozucha, a kozuch na nas wisi... Wy, Synowaty, obiecaliście dać mu wiadomość o ojcu... no, poszlijcie Meruna, to sprytny chłop, przyjedzie z wiadomością, że książ Bolko poddał się i wszystkie zamki każe oddać... taki mleczał usłucha, i Żubrzyce Ałłagana, a nam swoboda.

— No, pomysł niezły — mówił zamysłony Synowaty — ale to nie tak... że Bolko się poddał, to dobre... ale że Tatarzy odeszły starego Grabinę, skoro Żubrzyce przyjmą załogę tatarską... Młody usłucha, a wtedy pchniemy do Ałłagana, niech przysze naszych i Kumanów... zamek dostaną w swą moc, i droga Ałłaganowi otwarta na Korczyn i Wiślicę...

— Ano, dobra myśl... ale jeśli ten mój przekłety siostrzan nie usłucha, zechce znaku, dowodu... — namyślał się Wołodko.

— Znajdziemy... moja w tem głowa — rzekł Synowaty.

— Wy nie lekceważcie młodego — odezwał się Bukłak — on gładki, grzeczny, ale śliski, ostrożny, no i ludzi ma wiernych... Uważaliście wczoraj, nie chciał wartownik puścić, póki młody nie powtórzył rozkazu.

— Więc co myślicie? — rzekł zniecierpliwiony Synowaty.

— Hm... na wszystko trzeba być przygotowanym... a nuż nie odda, to co? Za pięć dni

wyruszy Ałłagan na księstwo krakowskie, znajdzie Żubrzyce w laskich rękach, powiesi nasze dzieci, żony odda czerni...

Na tę wzmiankę obydwaj jęknęli żałośnie, a Bukłak prawił dalej z wielką goryczą:

— Obiecałeś, Wołodko, nietylko Ałłaganowi, ale i nam, twoim druhom, że skoro Mikołaj Grabina w niewoli, ty ujmiesz wszystkich darami, obejmiesz zarząd, i my zbawieni.

— Hm... tak miało być... no jak nie można, trzeba radzić... darujcie mi oba ten nasz zawód...

— Nie czas na swary — powiedział surowym głosem Synowaty — nam potrzebna zgoda... otóż, nie usłucha młody rozkazu księcia, trzeba się jać innego sposobu... Ty, Wołodko, pogadaj ze siostrą, ona przecież nasza i nie zdradzi nas przed Lachami, wywiedz się od niej, kto głową tutaj, czyj rozum rządzi, kto wierny, a kogo można ująć darami, obiecankami.. rozpytaj, gdzie kto śpi, jak podejść, otworzyć... kogo słuchają, kogo się boją... zapamiętaj sobie dobrze, a i my obejrzymy zamek, nasi podpatrzą załogę... i nie odda zamku dobrowolnie — weźmiemy podstępem.

— Tak to lubię — zaśmiał się Bukłak — teraz pewny jestem, że Ałłagan będzie miał zamek, a my swobodę... Cóż ty, Wołodko, na to?

— A cóż?... Pomysł Synowatego dobry, pogadam z Olgą... sądzę, że się nie zlaszyła... zre-

szta obiecami jej pół bogactwa ze zamku, a Grabin bogaty jak książę, jak król... W komorze u niego srebro, klejnoty... młody nie pytał, ile okupu, byle okupu wzięli...

— Jeszcze jedno — zawołał Synowaty — i od tego nie odstąpię... Po zajęciu zamku, oddam wam moją część zdobyczy, ale Jewkę biorę w niewolę...

Izasławicz zmarszczył brwi i mruknął:

— To nasza krew, nie dam.

— Oj, Wołodko, nie bądź głupi... toż jej lepiej być u mnie w niewoli, jak u Tatarzyna... będę dobrym panem, a później dam posag i ożenię ją z bojarzykiem młodym...

— Mądrze mówi Synowaty, że lepiej będzie jej u swego, jak u Tatara, ale robi głupio, że zrzeka się swego łupu... Ot, bracia, podzielmy się... Synowaty bierze Jewkę, no, na zdrowie... ja wezmę tę drugą, co to nie chce bojara ruskiego, no, pozna ona, co ruski może... a ty, Wołodko, bierz młodego, za lackie szczenię dobrze ci zapłacą, bo lud Grabinów liczny i bogaty.

— Nie, nie mogę... zawsze to nasza krew... a co powie brat Iwan?...

— Jaki to brat?! — zaśmiał się Synowaty — nie usłuchał swego króla, zebrał watahę i do Lachów pociągnął... swoich bije, na swoich napada, z Lachami trzyma... on już do nas nie wróci, bo

król Danyło zdarłby z niego skórę i na pal wbić by kazał.

— Hm... i to prawda — mruknął Wołodko.

— No, zgoda bracie, każdy bierze swoje i koniec — podał rękę Bukłak.

— Ano, niech i tak będzie — westchnął Wołodko — ale nie bądźcie srogimi panami, zawsze to krew Izastawiczów, chociaż zlaszona.

— Ej, słodko im będzie — zaśmiał się grubym głosem Bukłak.

Posłyszeli ranną pobudkę, ubrali się szybko, aby zobaczyć porządki zamkowe i sprawność załogi.

Dniało, gdy weszli na dziedziniec, właśnie zmieniała się warta przy bramie i na baszcie.

Dziesiątnik poprowadził orężnych, każdy uzbrojony w dzidę i topór, luzowali się krótko, i tuż bojarzy zobaczyli w baszcie świeżego wartownika, gdy ci, co od północy pełnili służbę, wracali weseli na spoczynek.

Dojrzeli też pachołków, niosących obrok koniom, a z głębi stajni rozlegał się wesoly śpiew.

Do kuchni, w podziemiu będącej, nosili kuchciki drwa, inni ze spichrza mięsiwa, kaszę, sło-ninę...

A dziewczki ze skopcami szły pod dozorem mleczarki do obory, aby krowy doić.

Nigdzie nie było słyhać głośnych rozkazów, groźb, przekleństw, nawoływań, każdy szedł swobodnie, z wesołą twarzą i pełnił swą robotę tak ochotnie, jak gdyby pracował i starał się dla siebie i swoich.

Synowaty i Bukłak spochmurnieli, Wołodko jednak poczuł pewną dumę, że jedna siostra była żoną pana na Żubrzycach, a druga jest opiekunką jego dzieci.

Z budynku, stojącego w głębi dziedzińca, ujrzeni swoją służbę wychodzącą, podeszli:

— Zdorowy! — rzekli do stających na widok panów.

— Sława Bohu, — pokłonili się.

— Dobre wam tutaj? — spytał Wołodko.

— Nie tak, jak doma, ale wse łutsze jak u Tatarów, — odpowiedział jeden ze starszych.

— Moleczy wraży synu! — krzyknął Synowaty, — ne kazau ja wam, szo wy ne były i ne znajete Tatarów, kto słowo skaże, tomu smert'!...

— Znajem bat'ko, my łysz do was, ridnych, kazały.

— No, ne zabuwajte... Merun!

Z tłumu wystąpił chłop śniady, młody, i stanął wyprostowany przed Synowatym:

— Wy idit!... a ty ostań sia.

Gdy inni oddalili się, Synowaty zbliżył się do chłopca i rzekł przyciszonym głosem po rusku:

— Zawołam cię do zamku, dam ci do królewicza Lwa znak i zlecenie, ale ty ani tam pojedziesz, ani też nie spełnisz zlecenia, to tylko dla oczu ludzkich, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Więc powtórz.

Chłop bez zająknięcia powtórzył otrzymany rozkaz.

— A teraz uważaj, — mówił surowym głosem Synowaty, — ze znakiem moim pojedziesz do bojara Krwawyj Woron, tego co dowodzi siekiernikami ruskimi, znasz go?

— Toż byliśmy u niego onegdaj, — odpowiedział, patrząc pilnie w oczy pana, aby słowa rozkazu nie uronić.

— Powiesz mu odemnie, że w zamku dużo Lachów, i my im sami nie poradzimy.

— Oj, prawdę mówicie panie bojarze, — westchnął Merun — chłopcy jak dęby i dobrze uzbrojeni.

— Niechże Krwawyj Woron przyszele sotnię konnych, a ich dowódca niech zażąda oddania zamku behadirowi Ałłaganowi. Rozumiesz?

— Każde słowo powtórzę.

— Jak tylko sprawisz się z bojarem Krwawyj Woron, natychmiast wracaj tutaj do nas i opowiesz wszystkim i każdemu, że kniaź tu-tejszy Bolko oddał Sodomir królowi Batu — chanowi i wszystkie zamki swjej ziemi, że starego

pana na Żubrzycach puszcza Tatarzy, skoro w zamku stanie ich załoga, a na dowód, że prawdę mówisz i że taki rozkaz dał książę Bolko rycerzowi, który ciebie tu posłał, oddasz mi ten pierścień, — wręczył mu wielki, ciężki sygnet z herbem Niesobia, ściągnięty z palca rycerza, ubitego w bitwie pod Opolem.

Dwa razy kazał Merunowi powtórzyć swe polecenie, a gdy ten powiedział bez omyłki, dodał Synowaty łaskawie:

— Sprawisz się dobrze, obdaruję cię wolnością i dam ci futor na własność, a spełnisz niedokładnie mój rozkaz, na pal wbić każę i ciebie i twoich, a ty wiesz że nigdy nie żartuję.

— Wiem i spełnię co każecie.

— Idź jeść teraz, i czekaj póki cię nie zwołam, i ani słowa nikomu, bo łeb utnę.

— Dobrze, panie bojarze.

Gdy Merun odszedł, a trzech jego towarzysze wracali do komnat gościnnych, rzekł Bukłak z uznaniem:

— Wam Synowaty być archirejem, albo i wyższym nawet, taka u was głowa.

— No teraz ja już pewny zamku,—uśmiechnął się Wołodko,—sam król Danyło nie obmyśliłby lepiej... a za ten pierścień lacki, wart jesteś Jewki, chociaż Izasławiczówna ją rodziła.

Synowaty uśmiechnął się tylko, zadowolony i dumny z tych pochwał.

Gdy nadeszła pora śniadania, ciotka Olga, stęskniona za bratem i swoimi, przyszła z dziewczętami do komnaty wbrew zwyczajowi.

— Jakże wam się spało? — spytała gości wśród rozmowy.

— Dobrze, najmiłsza siotro, jak ległem po miodzie, zbudziłem się rankiem bez snów żadnych.

— I ja spałem jak dziecko, dopiero nad ranem miałem dziwny sen, — mówił Bukłak, — ot jak żywą widziałem was, najmłodsza dziewczyno, — spojrział na Swochnę, — chciał was jakiś Lach poślubić, [no [rozbił ja jemu głowę, bo [nie dla Lachów ruska krew.

— A wy krasawycy Jewko, — spytał Synowaty, — co wam się przyśniło?

— Co was obchodzi mój sen? — [spojrzała z dumną niechęcią.

— Ot, spytał przez grzeczność, a nie, to nie-- i zły wziął się do jadła.

Ciotka, chcąc załagodzić sprawę, spytała Swochnę uprzejmie:

— Serce, a tobie co się śniło?

Dziewczyna podniosła spuszczone oczy, spojrzała niechętnie, ale w tej chwili rozjaśniła twarz i odpowiedziała:

— Widziałam krwawą wojnę, bili się nasi z Tatarami i Rusinami...

— I kto uciekał? — zadrwił Bukłak.

— Szłam po bitwie, a co spojrzę, leżą trupy Tatarów i bojarów.

— Żle wam się śniło, — rzekł Synowaty, — bo my idziemy wam z pomocą... ot, drugi wasz wuj, Iwan Izasławicz, pociągnął w sto koni do waszego kniazia, do Sudomira... toż my wam nie wrogci, ale wasi przyjaciele i sojusznicy.

Zrozumieli jego grę i Wołodko i Bukłak, dopieroż zaczęli wysławiać swoją przyjaźń i gotowość do poświęceń, że nawet Swochna rozjaśniła się i żałowała swej porywczosci.

Po śniadaniu poprosił Synowaty Rosława, aby mu pokazał zbrojownię Grabinów.

Poszli wszyscy do wielkiej komnaty, gdzie wisały rzędem zbroje, topory, dzidy, trójzęby, tarcze przeróżne, łuki, sajdaki...

— U was starczy zbroi na kilkaset ludzi, — powiedział Synowaty, rzucając okiem znawcy po zbrojowni.

— Wszystko to staraniem dziada i ojca, bo Żubrzyce są granicznym zamkiem, a kto chce jechać w Krakowskie z tej strony Wisły, musi otrzeć się o nasz zamek.

— No, my to wiemy, — skinął głową Bukłak — to gorod ważny.

Gdy powrócili, poprosił Wołodko siostrę na osobną rozmowę w sprawach familijnych, co zresztą nikogo nie zdziwiło.

Poprowadziła go do swej izby, dość obszernej, z wielkim kominem, na którym nieustannie palił się ogień.

Cała podłoga izby była zakryta kożuchami baraniami, a przed wygodnym, suto zasłanym tapczanem, leżała skóra niedźwiedzia. Na ścianie, nad tapczanem, w samym rogu, wisiał obraz Chrystusa ukrzyżowanego.

Olga usiadła na ławce i wskazując bratu miejsce obok siebie, zaczęła:

— No, Wołodko, opowiedz mi o twej żonie, dzieciach, najstarsza będzie miała osiemnasty, a syn siedemnasty, czy zdrowi? czy dobrze się chowają?

— Eh, siostro najmilsza, tyś dla mnie taka dobra, jak matka rodzona... nie zakrwawiaj mi serca.

— Wołodko! a tobie co? Zmiłuj się i powiedz mi prawdę!

— Oj, serce ty moje... gdybyś ty wiedziała,— mówił łzawym głosem, — zapłakałabyś gorzkiemi łzami.

— Mów... proszę... błagam, komuż powiesz? przed kim się zwierzysz? my przecież dzieci jednej matki... mów.

— Tak, to prawda... powiem, ale przysięgnij mi na krzyż święty, na zbawienie, że póki ja tu, w zamku, nikomu słowa nie powiesz, nie zdradzisz mnie ani słowem, ani znakiem.

— Takież to ważna rzecz? — spytała zdziwiona.

— O życie moje i moich idzie. Przysięgniesz, to ci powiem.

Wstała i położywszy dwa palce na krzyżyku różańcowym, wykonała przysięgę, a skończywszy rzekła siadając na dawnym miejscu:

— Teraz mów, a szczerą prawdę.

— Otóż, wiedz Olgo, że król Danyło oddał mnie, Bukłaka i Synowatego na zakładników Tatarom.

— Jaktol? Ciebie!? Izasławicza!?

— Nietylko mnie... ale chytry Tatarzy zabrali mi żonę i dzieci, jeśli ucieknę, powieszają i zabijają całą rodzinę.

Przeżegnała się trzykrotnie, jak przed widmem, i jęknęła:

— Hospody pomyłuj! Hospody pomyłuj!

— Posłuchaj dalej, to nie koniec mego nieszczęścia,—westchnął.—Mnie i moich towarzyszy przydzielono do oddziału behadira Ałłagana...

— Cóż to behadir?

— To starszy wódz tatarski, jakby nasz wielki kniaź... Ten Ałłagan ma iść traktem

w Krakowskie, a po drodze stoi zamek Żubrzyce, silny i warowny. Prawda, że Ałagan nie takie Żubrzyce zdobywał, toż jednym zamachem wziął Moskwę, ale zawsze obleżenie wstrzyma pochód... Dowiedział się on, że jestem krewny Grabinów, zawołał mnie do siebie i mówi: wybierz sobie ludzi, jedź do Żubrzyce, zamek w pięć dni musi być mój. Spełnisz mój rozkaz, ty, twoja rodzina i ci których weźmiesz do pomocy, będą wolni... nie dostaniesz zamku, każę wszystkich wybić, jak psów parszywych.

— Hospody pomyłuj! Hospody pomyłuj! — jęczała przerażona siostra. — Co ty zrobisz? co poczniesz? Oj biedny ty, oj nieszczęśliwy! — zapłakała.

— Olgo, uspokój się, na nic lży... Wiedziałem, że Mikołaj wzięty w plen, myślałem, że ty tu panią... no, zastał mleczaka dumnego... Otóż proszę cię o pomoc i radę... Jeśli Żubrzyce nie poddadzą się, zdobędzie je behadir Ałagan i wszystkich wytnie w pień... oddadzą się Żubrzyce, wszyscy uratują życie, zabierzemy bogactwo Grabinów i ruszymy wszyscy napowrót do kraju.

— To będzie najlepiej, zrób tak Wołodko, to jedyny ratunek,—mówiła spokojniejszym głosem.

— Ba, ja to wiem, cóż, gdy nasz siostrzan nie chce, zginę a zamku nie odłam, tak powia-

da... no, zginie on, ale i my zginiemy, i moja rodzina.

— A przekłety Laszok, — i zmarszczywszy się groźnie, — Wołodko... weź naszych... związać go i zabierzemy go ze sobą...

— Co nam przyjdzie z tego, — wzruszył ramionami, — a jego dworzanie? a załoga? Nas piętnastu, ich cztery razy tyle... zduszą nas, pomordują...

— A nieszczęście! — załamała ręce, — cóż zrobimy?

— Ano, trzeba ich ratować wbrew ich woli... Powiedz mi siostrze, kto tu rządzi i włada?

— Kto?... Naprawdę, to Małgoszcz..

— Któż on taki? Można go ująć darami?

— Nic nie zrobisz... on wierny i pilny.

-- Gdzież on śpi?

— Wskażę ci izbę... ale teraz podobno sypia z orężnymi... dowiem się.

— To jeden... a inni?

— Jest Chmura, ten dowodzi załogą, i tego nie przekupisz, ani Kuny, co ma stadninę pod sobą.

— Dowiesz się siostrze gdzie śpią, kiedy kładą się na spoczynek, czy zasuwiają drzwi...

— Czy oni zginą? — spojrzała mu w oczy.

— Nie... wtrącę ich do lochów.

— To dobrze... tam jest Muroń, pomocnik dozorey, ten nasz, już on ich przypilnuje... i Roślawa nie puści, jeśli ja mu każe.

— Dziś wieczorem przyjdę do ciebie... dowiedz się, a cicho, ostrożnie, a pamiętaj o przysiedze.

— Już mi nie przypominaj..

Odezwało się pukanie do drzwi, a gdy Olga otworzyła, rzekł przysłany pacholik:

— Jego wielmożność prosi wuja do komnaty gościnnej.

— Zaraz przyjdziemy.

Gdy weszli do izby, zastali siedzących Synowatego, Bukłaka i Roślawa.

— Wołodko, potrzebnyś nam do rady,—odezwał się Synowaty, — jeśli się nie mylę, to ty dowiedziałeś się, że całe wojsko króla Batu-Chana po zburzeniu Zawichosta, obróciło się na Sudomir, gdzie kniaź Bolek zamknął się z ostatkami swego rycerstwa.

Wołodko w lot zrozumiał plan Synowatego i rzekł:

— Tak mówił mi jeden z naszych, któremu udało się zbiedz z obozu tatarskiego... O cóż idzie?

— Mój druh i przyjaciel, - odpowiedział Roślaw, - bojar Synowaty, posyła do królewicza

Lwa z prośbą o wiadomość, co się dzieje z moim ojcem. Trzeba wybrać drogę krótką a pewną.

— O ile ja znam kraj, — rzekł Wołodko, — najlepiej rzeką Wschodnią spuścić się do Wisły, i brzegiem jechać aż do Sodomira, w ten sposób uniknie się oddziałów tatarskich i posłaniec znajdzie królewicza.

Po dość długich namysłach przyjęto drogę doradzoną przez Wołodka i zawołano Meruna.

Synowaty wskazał mu drogę i wręczając mu pierścień swój:

— Ten znak pokażesz królewiczowi, i powiesz: Wasyl Wasyliewicz Synowaty prosi najpokorniej o uwolnienie albo pewną wiadomość, co się stało, gdzie jest, ile okupu trzeba, aby Mikołaj Grabina, pan na Żubrzcach, który uratował mi życie, był wolny. Powtórz!

Merun dwukrotnie wypowiedział otrzymane zlecenie, a Synowaty dodał:

— Pierścień mój pokażesz bojarowi Krwawyj Woron... gdyby nie chcieli dopuścić ciebie do królewicza Lwa. A teraz posłuchaj: Tu dostaniesz konia i w skok pojedziesz na całą noc... ranniem się sprawisz z rozkazu mego, a nocą wrócisz jutro. Konia świeżego da ci Krwawyj Woron. Rozumiesz?

— Słucham.

— A teraz, w drogę!

Rosław tak był uradowany nadzieją uwolnienia ojca, że tylko patrzył w oczy gości, czem mógłby im dogodzić i pobyt w zamku przyjemnić.

To też gdy zażądali, aby im zamek pokazał i sposoby bronienia go przed napadem; obszedł z nimi mury, baszty, pokazywał przygotowane składy brył kamiennych, kotły ze smołą i wrzątkiem, aby odeprzeć wdzierających się na mury. Zaprowadził ich też do budynku, stojącego w głębi podwórza, a przypierającego do stajni, w którym mieszkała załoga zamku. Murowany z kamienia, z wąskimi drzwiami i oknami, z izbą na pięterku, był sam przez się obronny i pannał nad głównem wejściem do właściwego zamku, a wdzierających się można było razić strzałami.

Z przeglądu okazało się, że zamek był nie tylko bardzo obronny, ale i doskonale zaopatrzony, i że nawet po wzięciu murów zewnętrznych, mógł się jeszcze bronić przez jakiś czas.

Ten stan Żubrzyc zaniepokoił i zasmucił trzech bojarów, ujrzeni piętrzące się trudności, a ich kwaśny humor zauważył nawet Rosław i przypisując go zmęczeniu, prosił na miód do komnat.

Pierwszy Synowaty otrząsł się z niemilego wrażenia i wśród zabawiania się kubkami miodu spytał tonem żartobliwym:

— No, ty mój druhu i przyjacielu od serca,— zwrócił się do Rosława — ja przed tobą niemam żadnej tajemnicy, wszystko u mnie, jak na dłoni, a ty skryty i chytry.

— Ja? — zdziwił się Rosław, -- wierz mi, żadnej tajemnicy nie kryję, a jeśli znajdziesz jaką, spytaj tylko, odpowiem ci szczerze.

— I powiesz prawdę?

— Tak jest.

— Jakiś Rosław Grabina?

Młody gospodarz wobec tego nalegania postanowił być ostrożnym i odpowiedział:

— Jakem Rosław Grabina, wyjawię ci każdą moją tajemnicę.

— Jakto twoją? — spytał Synowaty.

— Przecież nie możesz żądać, abym ci powiedział tajemnicę np. ojca lub siostr moich.

— Ee, ich tajemnicel? — zaśmiał się — to głupstwo... idzie mi o ciebie samego.

— Więc powiem.

— No, każdy zamek ma ukryte wejście i wyjście... a u was gdzie ono? Przysiągłeś więc mów.

To pytanie wzbudziło w Rosławie silne podejrzenie, ale przemógł się i z uśmiechem spokojnym:

— Że takie ukryte wejście jest slyszalem o tem, ale dopiero wówczas ojciec to powierza synowi, gdy ten dojdzie do lat swoich. Prosiłem nawet ojca, bo i mnie zaciekawia ta tajemnica, ale mi odmówił.

Widać było rozczarowanie na twarzach gości, a Wołodko wstając rzekł:

— Idę do siostry... tu niema co robić...

— Czyż zły miód, wuju?

— Bardzo dobry... ale w miarę. Pogadam ze siostrą i wrócę do was.

Od siostry dowiedział się, że Małgoszcz i Chmura sypiają razem w izbie górnej nad mieszkaniem oreżnych i zmieniają się co sześć godzin w dozowaniu wartowników; zaś Kuna i Trzystka w izbie obok czeladnej. Dowiedział się też, gdzie spiżarnia zamkowa, gdzie spięchrz z zapasami.

— A gdzie śpią Jewka i Swochna?

— Śpią w obocznej izbie... a na co ci to?— spojrziała podejrzliwie.

— Aby wiedzieć skąd je zabrać i wyratować,—odpowiedział spokojnie.

— Już ja sama postaram się o to,—mówiła surowo,—niech cię o nie głowa nie boli.

— Pilnujże ich dobrze Olgo, bo jakby przyszło do walki, muszą być w bezpiecznem schronieniu.

— Już ja je schowam... Słuchaj Wołodko, ten Synowaty coś zanadto strzela oczyma za Jewką... czy on żonaty?

— Żonaty i dwoje ma dzieci... ale żonę zabrali Tatarzy na niewolnicę... to on jakby wdowiec.

... A on bogaty?

— Ho, ho... ledwie koniem obleci w jeden dzień jego ziemię, a dusz ma przeszło trzysta... i przyjaciel królewicza Lwa.

— To Jewka mogłaby być z nim szczęśliwa, co?

... I jaka!... Toż on zdrow, bogaty i mądry.

Pogadali jeszcze chwilę i poszli na obiad, w czasie którego Synowaty tak zalecał się do Jewki, że skoro skończyło się jedzenie i zaczęto pić miód, obydwie siostry poszły na górę do siebie.

Gdy przyszedł czas wieczerzy, Jewka zasłaniając się bolem głowy nie chciała zejść na dół.

Ciotka z początku tłumaczyła jej, że ze względu na gości powinna przynajmniej na chwilę się pokazać, a gdy ona odmówiła, podrażniona zawołała:

— Znam ja przyczynę twoją... tobie ten głupi Lach Rojec w głowie, ale nie z tego nie będzie... prędzej mi na dłoni włosy urosną zanim ty jego będziesz.

— Ależ ciociu, jaki znów Rojec? — udała zdziwienie.

— Już ty wiesz dobrze...

— Ach, ten syn władyki,—przypominała sobie,—ani mi się śni.

— Słuchaj Jewciu, miejże rozum, wiesz, ten Synowaty, taki ładny, on bardzo bogaty... on wzięłby ciebie, ale nie bądź taka dzika... ot, masz szczęście.

— Synowatego nie chcę... żeby był księciem, królem samym, to nie chcę i tyle.

— Et, głupia jesteś, jak ci każę to weźmiesz go... no, chodź.

— Nie pójdę.

— I ja także... dosyć mam tych bojarów,—dodała Swochna.

— No, no, będziecie wy jeszcze tak tańczyły, jak oni wam zagrają.

— Oni!—zaśmiała się Swochna—oni, nam, Grabiniankom?... Żarty ciociu...

I obie śmiały się. Rozgniewana ciotka zawołała ostro:

— Nie śmiecie się głupie, za kilka dni wy będziecie na ich łasce.

Obie nagle spoważniały i spojrzały zdziwione na ciotkę, która spostrzegłszy, że za dużo powiedziała, rzekła spokojniej:

— Tak, na łasce, bo jak się z wami pożemia, musicie ich słuchać... No, cóż? idziecie?

— Nie.

Bojarowie nie ukrywali swego niezadowolenia, że nie przyszedł dziewczęta, zwłaszcza Synowaty był zły i gniewnym wzrokiem patrzył na Olgę, podejrzewając, że ona rozmyślnie ukryła je przed nim.

Pił też dużo, zachęcał innych i wczesnym wieczorem poszli spać.

Już było z północy, gdy Rosława zbudziło głośne stukanie do drzwi, zerwał się z posłania, zapytując kto się dobija.

— Otwórzcie... to ja, Małgoszcz.

Rosław szybko odsunął wewnętrzne rygle i ubierając się spieszenie:

— Co Małgoszczu nowego?

— Gонец od naszego pana i księcia z rozkazem.

— Jakim? Nie wiecie?

— Nie, i nie budziłbym waszej wielmożności, ale on żąda.

— Więc chodźmy,—zarzucił na siebie oponę czę podbitą futrem.

W izbie wartowniczej przy bramie, siedział młody człowiek i z chciwością zajadał zimne mięsiwo z chlebem czarnym.

Gdy mu oznajmiono, że przyszedł dziedzic Żubrzyć, wstał i lekko się zachwiał.

— Witajcie, — rzekł Rosław, — i bądźcie mi pozdrowieni.

— Zesłałem trochę, — odrzekł zachrypniętym głosem, — pozwólcie mi panie usiąść.

— Siadajcie, proszę... jakie wieści mi przynosicie?

— Złe, że nie daj Boże gorszych... Tatarzyn złupił Zawichost i rozlał się po naszym księstwie. Nasz pan i książę, po naradzie z wojewodami i komesami wydał rozkaz, który wam przynoszę... Wszystkie trakty, drogi, ścieżki, każe nasz pan i książę zawalić gęstemi zasiekami, aby powstrzymać pochód Tatarów. Cała ludność bez żadnego wyjątku ma się jąć pracy i zwać drzewa na trakty, drogi, ścieżki.

— Czy macie świadectwo na prawdę słów waszych?

W odpowiedzi goniec rozpiął kurtę i wyjął z zanadru, troskliwie owinięty pergamin z czerwona, woskową pieczęcią orła, herbu Piastów.

— Oto dowód.

— Wierzę... Spocznijcie, przyjmcie gościnę u mnie.

— Radbym, ale nie mogę. Mam jeszcze obiedz kraj drogi... prosiłbym jednak waszej łaski o świeżego konia, mój zanadto zgoniony.

— Dam, bo jesteście na służbie... A kiedy nasz pan i książę dał ten rozkaz?

— Trzy dni temu.

— A o ojcu moim, Mikołaju Grabinie, nie słyszeliście?

— Wiem... pojman pod Opolem i żywią go Tatarzy, pewno chcą okupu, albo trzymają na wymianę, gdy znaczny Tatar wpadnie w nasze ręce, czego daj Boże doczekać.

— Dziękuję wam i za te wieści,—westchnął Rostław.

Kazał mu dać konia i posiłek na drogę, a pożegnawszy, poszedł ku zamkowi w towarzystwie Małgoszcza.

Gdy Rostław chciał wejść do komnaty, będącej w sąsiedztwie ze sypialnią bojarów, radził Małgoszcz:

— Pobudzimy gości... niech śpią, idźmy do izby waszej wielmożności.

Wszedłszy tam, Małgoszcz rozpałił ogień na kominie i mówił:

— Nasz książę, dobry obmyślił sposób obrony... zasięki niełatwo usunąć i dużo zachodu ..

— Trzeba nam wezwać wszystkich osadników do roboty... i od nas dać z połowę ludzi... szybko spełnim rozkaz.

Małgoszcz spojrział na pana i rzekł zwolna:

— Osadników wszystkich zapędzić z toporami... ale co do zamkowych... niech wasza wielmożność zważy, że w tak niespokojnych czasach,

raczej należałoby wzmocnić a nie uszczuplać liczbę obrońców.

— Będą przecież niedaleko i przybieżą... a trzydziestu dużo zrobi.

— Dużo... no, tak... ale gorzej będzie, gdy zamek popadnie w obce ręce.

— W obce?... Co rozumiecie przez to?

Małgoszcz zbliżył się i zniżywszy głos:

— Ta czeladź bojarów, i oni sami, to niepewni ludzie... Wczoraj wieczorem z rozkazu waszej wielmożności uraczyliśmy ich piwem, a jeden z nich podpiwszy sobie rzekł: ot żal, że was budem rizaty. Inni zakrzyczeli go... ale nasi burzą się. Rusini wszędzie łażą, podpatrują, próbują zasów u drzwi... to nie wróży nic dobrego.

— To było ich przepędzić do ich legowiska.

— Chciałem, lecz wuj waszej wielmożności skrzyczał i sklął mnie... Wczoraj temu Merunowi, ich gońcowi, chciałem dodać pachołka, aby drogę wskazał, ale ten czarny bojar tak się zeźlił, że omal pachołka nie obił, gdy się upierał jechać... to podejrzane... I sami bojarzy chodzą, myszkują, to do stajni, do śpichrza, a już najbardziej do domostwa orężnych ludzi, i pytają, ilu, gdzie, kiedy?... Może to fałszywe poznaki, może oni niewinni... ale co zawadzi ostrożność?

Rostaw przypomniał sobie pytanie Synowatego o skryte wyjście, ich dopytywania się, ilu

stoi na baszcie, ilu na murach, ilu przy bramie... i podejrzenie w nim rosło.

Po chwili spytał:

— Cóż tedy myślicie Małgoszczu?

— Cicho, bez wiedzy bojarów i ich czeladzi, wysłać jeszcze przededniem konnych po osadach... niech zwołają i przypilnują robotę zasieków, ale orężnych nie puszczać.

— Iluż ludzi zbierzemy z osad?

— Przypuszczam, że do pięćdziesięciu z bliższych osad... a z dalszych przyjdzie pod noc ze trzydziestu.

— Pięćdziesięciu to mało... damy trzydziestu orężnych na pierwszy dzień... Tatarzy mogą ubiedz robotę.

— Jeśli już koniecznie trzeba dać... niechże rozbroi się czeladź bojarska...

— Nie, to niemożliwe... posądzonoby nas o strachliwość... nie, to nie uchodzi.

— Więc niech wasza wielmożność wyszle dwudziestu ludzi, reszta w zamku... i ani słowa przed bojarami i ich czeladzią. Gонец książęcy i robota zasieków to tajemnica pana naszego i księcia, a wysłanie dwudziestu na robotę, to tajemnica zamku.

— Dobrze Małgoszczu, ja nie powiem, a wy nakażcie ludziom milczenie.

— Już to się zrobi... i darujcie staremu, ale bądźcie ostrożni z bojarami... drzwi każcie zawierac z wewnątrz i zewnątrz na noc. Sami też pilnujcie się dobrze, o nieszczęście łatwo.

— Dobrze już, dobrze Małgoszczu, — zaśmiał się młody, — nie przytrafi mi się nic złego, jestem pewny.

Przy śniadaniu rozmowa zesła na Tatarów, a Synowaty mówił:

— Wiem ja więcej o Tatarach, aniżeli inni, bo byłem jakiś czas z królewiczem Lwem. Im nikt się nie oprze, taka ich ćma idzie, że niczem mrówki gdy rozrzuci się mrowisko. Idą podbić świat cały, zmiarkowali ich siłę książęta Moskiewscy, Kijowscy i nasz król Danyło.

— Przeciw wodzie nie popłyniesz, ot stanął wasz Bolko i zmiotli jego wojsko... I jeśli my nie opieraliśmy się, po co Lachy stają do bitwy..

— Bo lepiej poledz, aniżeli iść w niewolę pogańską, — zawołał Rosław, — nigdy się nie pokłonią nasi takim zbójom i poganom.

— Już, — wzruszył ramionami Wołodko, — co mi tam pokłon... ale życie, majątek uratuję.

— A cóż mi po życiu w hańbie i upodleniu, zapalał się Rosław, — wolę zginać za wiarę, aniżeli służyć wrogom

— Tak się to mówi, — westchnął Wołodko, — póki stryczek nie połaskocze.

— My nie tracimy słów, my walczymy, i pewno nikt z naszych nie odda ani miasta, ani grodu bez walki.

— No, z ciebie rycerz... daj Boże więcej takich, — uśmiechnął się przyjaźnie Synowaty, — prawda u ciebie na języku, bo życia nie zaznałeś.

I mówili o łowach, koniach, psach, a rozbawiony Rosław kazał konie przeprowadzać, chwalił się psami.

Olga dała znać bratu, że chce się go poradzić i do wchodzącego:

— Wiesz Wołodko, w nocy coś się stało, bo dużo ludzi wysłano konno... Mówił mi mój karzeł Borys, że kilku brakuje, a do legowiska orężnych nie chciano go wpuścić.

— I co to być może? — zamyślił się.

— Mój Borys sprytny, a jednak nie wie... poszlij twoich na zwiady.

— Spróbuję... a ty Olgo poszlij którą ze służebnych, gdzie chłop nie poradzi, baba zawsze zwącha.

— Posłucham ciebie... Wołodko! A kiedy zamek musi on oddać pogańskim synom?

— Jutro wieczorem najpóźniej.

— Ach ty nieszczęsny! — jęknęła, — modłę się gorąco za twoje szczęście i wybawienie... ale po cóż ty rozdałeś takie bogate dary? Czy nie lepiej było zachować dla swoich?

— Ee, cały tobół takich rzeczy kupiłem od Tatarów za jednego konia, — uśmiechnął się, — tylko twój różaniec kosztował dużo.

— Czyż Tatarzy tacy bogaci?

— To nie... ale wszystko łupią, a wartości nie znają... no, idą.. a pamiętaj o dziewczce.

Przyszedłszy do mężczyzny, szepnął przysposobności Synowatemu o tem co usłyszał od Olgi. Uradzili posłać na wywiady swoją czeladź, i gdy szli przez dziedziniec, postyszeli głuchy łoskot drzew padających w boru na ziemię.

Nasłuchiwali... rozróżnili wyraźne uderzenia siekier i trzask walących się olbrzymów leśnych.

Zwrócili się do baszty aby spojrzeć, lecz Chmura, zasłaniając się brakiem pozwolenia, wzbrowił wejścia.

— Ty głupcze! Czy nie wiesz, że jestem wujem twego pana. Zaraz nas wpuść, bo każę cię sieć różgami.

— To się pokaże... ale nie wpuszczę na basztę ani na mury.

Wołodko błysnął puginałem, który go nie opuszczał, i zawołał groźnie:

— Puszcz, bo pchnę.

Chmura klasnął w dłonie i natychmiast wbiegło dwóch strażników z dzidami.

— Stańcie u drzwi... nikogo nie wpuszczać, — odwrócił się i wszedł do izby strażniczej.

Oburzeni bojarzy szybko poszli do Rosława, żądając ukarania butnego Chmury.

— Spełnił swój obowiązek, karać go nie mogę, ale jeśli chcecie, pójdziemy na basztę.

— Ty nie dbasz o naszą cześć, — czynił mu gorzkie wymówki Wołodko, — gdyby mój człowiek tak postąpił, obdarłbym go ze skóry.

— Nie, wuju, ani ty nie zrobiłbyś tego, ani ja... zakazałem wpuszczać, on był posłuszny.

— Po co swary? — uśmiechnął się Synowaty, — kazałeś i koniec. Ot, nie dowierzasz nam.

— Przeciwnie... czy was pilnuję? czy waszą uzbrojoną czeladź zamykam? Czegoż chcecie więcej?

— No, my przecież w gościnie, nie w niewoli... A kto tam rąbie w boru?

— Zabrakło mi drew... wysłałem ludzi, aby ścięli, a sposobną porą zwiezie się, jak przeschnie.

— I dużo ludzi posłałeś? — spytał z niewinną miną Wołodko.

— Nie wiem... to Małgoszcz rozporządził.

Uspokojeni zasiedli do obiadu, ale wszyscy byli bez humoru. Wołodko był zły, bo Olga dała mu znak, że nic nie wie, zaś Synowaty i Bukłak dowiedzieli się, że ich czeladź pilnują i w żadne rozmowy nie chcą się wdawać, a do wnętrza budynków nie wpuszczają.

Po obiedzie poszli bojarzy odetchnąć i już dobrze się ściemniło, gdy się przebudzili.

Już miało się ku końcowi wieczery, gdy wpadł pacholik do komnaty mówiąc:

— Goniec bojara wrócił.

— Dawaj go tu! — zawołał Synowaty.

Wszedł Merun, zmęczony, blady, pokłonił się w pas i czekał.

— Widziałeś królewicza Lwa?

— Jak was, bojarze Wasylu Wasyliewiczu.

— Cóż ci powiedział?

— Kazał mi iść do zamku kniazia lackiego, do Sodomira, a tam wyszedł do mnie rycerz lacki i mówi tak: kniaź nasz oddał pokłon królowi tatarskiemu, oddał mu Sodomir i wszystkie grody.

— Nie może być, — krzyknął Rostaw.

— Tak mi mówił, — rzekł spokojnie Merun, — a król tatarski wypuści wszystkich Lachów, tylko już żadnej wojny nie będzie, i wszystkie grody i zamki oddadzą Tatarom... No, tak i dziedzica na Żubrzycach puści, ale w zamku aż do pokoju będą Tatary.

— To niemożliwe... to nieprawda!

— Tak rycerz ten mówi: kto ci nie uwierzy, pokaż mu pierścień, i oto wam znak prawdy.

Wyjął pierścień z herbem Niesobia i położył na stole.

Wszyscy po kolei brali go, oglądali, a Synowaty rzekł:

— No, pierścien to lacki, i goniec prawdę mówi. Wiedziałem ja, że wasz kniaź nie zdzierzy królowi tatarskiemu Batu-Chanowi, toż pod nim jest czterech królów tatarskich, Urdiuj, Peta, Kadan i Oktaj, a każdy z nich więcej ma wojska aniżeli Bela, król węgierski, a nawet sam cesarz.

— Nie, to niemożliwe, aby nasz książe oddał całe księstwo poganom, — zawołał Rosław, — nie wierzę!

— Ot, pogadamy o tem, — ozwał się Wołodko, — ty Merun idź, posil się, — a po jego wyjściu, — słuchaj mnie, ja starszy, twój wuj... Kniaź Bolko dał ci rozkaz oddania zamku, ojciec twój będzie wybawiony z niewoli, to i nad czem dumać?... Przyjdą tu Tatary, a sam i tak panem będziesz, bo stanie tylko załoga.

— I będę niewolnikiem, — dodał drwiąco młody komes.

— Otóż to twoja miłość synowska, — przemówiła z goryczą ciotka, — niby to chcesz ojca uwolnić, a gdy ci ułatwiają wybawienie... ty się wahasz.

— Sam ojciec nie mógłby żądać czegoś podobnego odemnie. Odjeżdżając na wojnę rzekł mi: bądź mężny, szlachetny i wierny, takim chcę zostać, a nie jest męstwem, ustępować przed

wrogiem nie spróbowałszy się z nim; nie jest szlachetnie porzucać ojcowiznę i oddać ją na pastwę; nie jest wiernością uznać obcego króla panem swoim.

— Zatem co chcesz zrobić? — spytał spokojnie Synowaty.

— Bronić się do ostatka.

— I chcesz, abyśmy przez twój upór zginęli wszyscy!? — zawołała ciotka, — i ja, i siostry twoje, i goście?

Zamiast odpowiedzi Rosław zwrócił się do pachółka:

— Zawołaj tu Małgoszcza, Kunę, Chmurę i Trzystkę.

Bojarzy spojrzeli po sobie zdziwieni tą poufałością służby, wzywanej na naradę, ale milczeli.

Weszli wezwani, stanęli rzędem, a Rosław powstawszy od stołu:

— Gonic bojara Synowatego przywiózł wieści, że nasz książę oddał Tatarom Sandomierz, wszystkie grody i zamki, że ojca mego puszcza z niewoli, skoro zamek oddam. Wolno księciu swe grody i zamki oddawać, ale niema prawa rozporządzać zamkami i majątnościami komesów... i dlatego nie chcę zamku naszego oddać. Ojca obiecują uwolnić, ale i on i cały ród byłby pohańbiony, gdybym bez walki wyzbył się obrony i ojcowizny...

wolę zginąć. Wezwałem was, czy chcecie bronić zamku do ostatka?

— Będziem,—zawołali, a Małgoszcz [dodał:— gdyby tu był jego miłość ojciec, raczej zagrzebałby się w zamku wraz z dziećmi, aniżeli wydał wrogom.

— A wy, moje siostry, czy boicie się oblężenia i śmierci?

— My zawsze z tobą, — zawołały.

— A teraz, ciotko, i w moi przezacni goście, jeśli lękacie się walki, jeszcze czas, uchodźcie i żegnajcie mi.

Bojarzy porozumieli się oczyma ze sobą, a Synowaty rzekł:

— Jeśli ty, nasz druh i przyjaciel chcesz się bronić i zginąć... my zginiemy z tobą, a nasze ręce zawsze przydać się mogą... Najlepiej będzie, gdy każdy z nas otrzyma swoją część do obrony, czy to mury, czy basztę, czy bramę, tak zawsze bywa.

Rosław spojrział na Małgoszcza, który skłoniwszy się powiedział:

— Gdzie kilku wodzów, tam i pewna przegrana... my po staremu będziemy się bronili, jeden jest wódz i on rozkazuje, a tym wodzem jest wasza wielmożność, dziedzic i pan na Żubrzcach.

— Tak było, tak będzie, — mruknęli dworzanie.

— Ot, chciał ja lepiej, — westchnął Synowaty, — a nie chcecie, to nie.

Rostaw dał znak i dworzanie odeszli, nagle ciotka wybuchnęła płaczem.

— Co cioci? Co się stało?

— Oj śmierć idzie na Izasławiczów i Grabinów, — i znów zaniósła się płaczem i łkaniem.

To zwarzyło całe towarzystwo i wcześniej niż zwykle poszli na spoczynek, lecz na odchodnym Swochna dała znak Rostawowi, że chce z nim pomówić, i szepnęła, iż przyjdzie do jego izby.

— Chciałam się z tobą widzieć, — mówiła wchodząc, — abyś się wystrzegał bojarów...

— Tak? i dlaczego?

— Nie wiem dobrze, ale od samego początku nie podobali mi się oni. Udawali, że nie wiedzą o niewoli naszego ojca, o wszystko się dopytują, a wuj z ciotką miewa tajemne narady. Ona coś wiedziała o oddaniu naszego zamku, bo powiedziała nam, że wkrótce będziemy na łasce tych bojarów. Oni coś knują, a dziś, gdyś zawołał dworzani i postanowił się bronić, oni byli oburzeni, a ciotka się rozplakała... może oni chcą nas oddać w niewolę, jak ich oddał ich król?

— Ależ nie... przecież ratowali się ucieczką do nas, — zaprzeczył Rostaw.

— To prawda... sama nie wiem dlaczego, ale ja im nie ufam, i czuję, że zbliża się coś złego.

— Et, urojenie... nie nie będzie, a gdyby się porwali, zdusimy ich z miejsca.

— Ja to wiem, ale proszę cię, strzeż się bojarów, nie dowierzaj...

— Dobrze, Swochno... idź już spać. Z Małgoszczem obmyśliliśmy wszystko, bądź spokojna.

— Nie o siebie się lękam, ale o ciebie i nasz zamek.

— Próżny strach... dobranoc.

Na drugi dzień, przy śniadaniu, mówił Synowaty:

— Merun rozповіда, że na trakcie i w około zamku porobiono zasieki.

— Czy to prawda? Kto kazał? Kiedy?

— Jeśli Merun ci mówił, widno że tak jest, — uśmiechnął się Rosław.

— Ale kto śmiał wydać taki rozkaz? — oburzył się Buklak, — toż my teraz w sieci, ani tam, ani nazad.

— Musiał być taki, kto miał prawo do rozkazu, — śmiał się Rosław, — a wam bojarze, jeśli chcecie, ścieżkę wskażą.

— Ot, żart na bok, — zawołał Synowaty, — źle ktoś przysłużył się waszemu kniaziewi, bo

Tatarzy rozgniewają się za te zasieki i wszystkich pomordują.

— Ee, co mi ich gniewy, — żartował Rosław, — zamku nie zdobędą.

— Ale książę wasz ucierpi, a może go w plen za to wezmą, — mówił Synowaty, — z Tatarami niema żartów.

— Niechże książę nasz odpowiada, bo zapewne on wydał ten rozkaz... a zresztą, tem lepiej dla nas, bo dostęp trudniejszy.

— Tak, to prawda, — przyznał spokojnie Wołodko.

Zaraz po śniadaniu poszedł Rosław do Małgoszcza pytając się o postęp w robocie zasieków.

— Zwolna idzie, bo strach padł na ludzi, uciekają do swoich sadyb.

— To źle, a iluż naszych robi?

— Nie wysłałem żadnego.

Rosław zmarszczył brwi i rzekł porywczo:

— Natychmiast wysłać trzydziestu, zasieki są konieczne.

— Bardzo osłabimy obronę zamku.

— Damy sobie radę... wysłać zaraz trzydziestu z Chmurą!

— Rozkaz, to rozkaz — westchnął Małgoszcz.

W czasie obiadu odezwały się nagle rogi ze wszystkich stron, a odpowiedziały im gwizdy i przeraźliwe wycia.

Wszyscy zerwali się z miejsc. Pierwszy wybiegł Rosław i z dziedzińca dojrzał, że wszyscy orężni już stoją na murach, gotowi do obrony.

Skoczył Rosław na basztę. U stóp zamku zobaczył watahę złożoną ze stu, albo więcej jezdnych. Siedzieli na małych koniach, ale sami byli dobrego wzrostu, czarni, z długimi kudłami, uzbrojeni w łuki, topory, pałki... a dowodził nimi jakiś starszy na dobrym koniu, z twarzą śniadą, w kołpaku, z nahajką w rękę.

— No, ci niestraszni, — uśmiechnął się Rosław do zbliżających się Synowatego i Małgoszcza.

— Nam nie, — rzekł przygnębionym głosem Małgoszcz, — ale pochwyć Chmurę i orężnych.

— Prawda, — szepnął zmartwiony Rosław.

Synowaty powstrzymał swą radość i głosem doradczym:

— To wataha łotrów, Kumanów, dowodzi nimi Tatar... wyszli na rabunek. Tych możnaby zagodzić, pójdą sobie, a wasi orężni wrócą.

— Czy mówisz prawdę? — spytał Rosław.

— Jak mi Boga przy skonaniu... pójdę i ugodzę się z nimi.

— Dobrze, — dodał Małgoszcz, — ale i ja z wami.

— Niech i tak będzie, — skinął głową Synowaty:

Wkrótce porozumiano się z naczelnikiem watahy, który okazał się skłonny do rozmowy.

Synowaty wziął ze sobą Meruna, któremu rozkazał, aby wszczął zwadę z Kumanami, a gdy go uwiężą niech rozpowie, że trzydziestu załogi zamkowej w lesie, że przed północą brama będzie otwarta, niech pilnują chwili i wpadną do zamku.

Małgoszcz z orężnym i Synowaty z Merunem wyszli i rozpoczęły się targi, zgodzono się wreszcie, że za sto skór baranich, pięć byków i dzieśięć owiec, opuszczą okolicę zamkową zanim noc zapadnie.

W czasie tych targów Merun pokłócił się i pobił z Kumanami, rozbrojono go, a Synowaty wyprosiwszy go od śmierci, oddał go pod ich sąd.

We trzech wrócili do zamku, wydano wataże obiecane dary, i istotnie, zanim słońce zaszło, wataha z gwizdami i krzykami ruszyła dalej, zabrawszy Meruna ze sobą.

W zamku wkrótce się uspokoiono, żartowano i śmiano się z napadu, jeden tylko Małgoszcz trwożył się losem Chmury i mimo rad Synowatego, nie wysłał nikogo z zamku na poszukiwanie.

Pod wieczór nadpływały chmury, lunął deszcz i zapadła noc ciemna i wietrzna.

Wcześniej udano się na spoczynek, a gdy się wszystko uciszyło, Wołodko boso udał się do Olgi na piętro. Przed drzwiami znalazł karła

Borysa, który na jego rozkaz zbudził Olgę i poprosił by zeszła do komnaty bojarów.

Olga bała się ciemności, a nie chcąc zdradzać się światłem, kazała Borysowi aby jej towarzyszył. Wszedłszy do bojarów, odprawiła Borysa na żądanie Wołodki, usiadła i zdziwiona patrzyła na bojarów, uzbrojonych jak do bitwy.

Wołodko zajrzał za drzwi jedne, drugie, zasunął je i rzekł przyciszonym głosem:

— Słuchaj Olgo, przyszedł czas naszego wybawienia, idzie tu nietylko o nasze życie, ale i twoje i Grabinów... Za chwilę nasza czeladź napadnie na straż przy bramie... wymorduje... i otworzy bramę przed którą czeka Merun z całą watahą...

— Hospody! Hospody pomyłuj! — jęknęła, — toż wpuściecie zbójów... pomordują nas wszystkich.

— Cicho, nie płacz... Od ciebie żądamy pomocy... Ty znasz dobrze cały zamek, zasun rylami izbę dziewcząt, aby wyjść nie mogły; zasun izbę Rosława, i sama siedź cicho, zamknięta... a chociażbyś słyszała jęki, mordy, ogień, krzyki i wycia, nie bój się, my czuwamy nad tobą.

— Ach, mój najmilszy Wołodko, serce ty moje, zróbcie to wy sami... ja stara, boję się, nie potrafię.

— My musimy być tam, — wskazał w kierunku dziedzińca, — a jeśli chcesz aby ciebie

i Grabinów pomordowali, to nie usłuchaj mnie, a poginiecie.

— Hospody! Hospody! — jęczała.

— No, dosyć tego, — rzekł Synowaty, — musisz to zrobić, albo śmierć.

Wśród chwilowego milczenia postłyszał Wołodko jakiś szmer pod drzwiami od kurytarza, poskoczył szybko, otworzył, patrzył... Nic nie dostrzegł, gdyż karzeł tak się skulił w załomie muru, że nawet ze światłem trudno by go było dostrzedz.

Borys, który był wysłuchał całej poprzedniej rozmowy, znów przytulił ucho do drzwi i słuchał słów Bukłaka:

— Wy, Olgo Wołodymirowiczównno, pilnujcie dziewcząt, wy odpowiadacie za nie. Ułożyliśmy się, że ja biorę młodszą, Synowaty starszą, a Wołodko bierze młodego.

— Z dziewczętami może poradzicie, — mówiła Olga płacząc, — ale młody do oczu wam skoczy.

— Od tego bat, — zaśmiał się Synowaty, — już on go nauczy posłuszeństwa.

Postłyszał, jak gotowali się do wyjścia, zalecając Oldze ostrożność, a ta prosiła, aby ją przynajmniej Wołodko odprowadził do izby.

Karzeł przypomniał sobie obronę Rosława przed dyscypliną i nowy kozuch, żal mu się zro-



biło młodego dziedzica, i szybko, o ile mu małe nogi pozwoliły, pobiegł w stronę izby Rosława. Biegając kurytarzem słyszał zaryglowanie drzwi od zewnątrz.

Dopadł do drzwi izby Rosława i silnie zastukał, a wszedłszy szeptał:

— Bojary mordują wartę i załogę, wpuszczają watahę z Merunem. Was będą bili batem, siostry zabiorą do siebie; Synowaty starszą, Bukłak młodszą, a was Wołodko.

Rosław pochwycił broń, chciał biedz.

— Nie wyjdziecie, zamknęli zamek, i was zamknie ciotka tutaj.

Krótką chwilę namyślał się Rosław, w tem posłyszał okrutny wrzask wdzierającej się przez bramę watahy.

— Biegaj po siostry, zaraz niech tu przyjdą... dostaniesz sobole.

Karzeł znikł, a Rosław ubrał się w koszulkę stalową, przygotował broń, i lekko odsunął płytę drewnianą, wiodącą do chodnika.

Wbiegły w koszulach Jewka i Swochna. Rosław dał karłowi pęk skórek sobolich, wyprawił go, a sam poszedł szybko, aby pozasuwać wszystkie drzwi od wewnątrz.

Wrócił, a już dziewczęta ubrały się w ciepłe okrycia. Krótko powiedział im o zdradzie bo-

jarów, odsunął tajemne wyjście i wraz z siostrami tam wrzucał wszystkie cenne skóry z komory.

Posłyszeli dobijanie się do dalszych drzwi, a za chwilę uderzenia toporów.

— Czas na was, — zawołał, wpuścił do chodnika jedną siostrę, drugą, wreszcie sam wszedł i starannie zasunął płytę drewnianą i ruchomy kamień.

— Spocznijmy, ruszymy rankiem, a teraz noc na świecie.

— Ach bracie, Rosławku, jakiś ty dobry, — tuliły się do niego.

— Wiesz, Swochna, ty miałaś być niewolnicą Bukłaka, a ty Jewko Synowatego.

— Kto ci mówił?

— Opowiem później... słuchajcie...

Mimo grubych murów doszły ich straszne przekleństwa bojarów i wrzask Olgi, na którą rzucili się dwaj bojarowie, szarpiąc i bijąc, że zaledwie obronił ją brat.

W dziedzińcu i zamku rozgrywały się przerażające sceny mordów i męczenia załogi, służby, dziewczek...

Małgoszcz z częścią załogi zamknął się w budynku orężnych, i ceinymi strzałami bronili się przed nacierającym tłumem.

Rozgniewany oporem Synowaty, zebrał kupe, sam stanął na czele, i postanowił uderzyć na drzwi, rozbić je i wedrzeć się do środka.

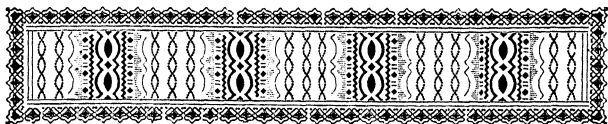
Małgoszcz widział go doskonale na tle białej ściany i oświetlonych okien zamku, wziął na cel, wypuścił strzałę ciężko zranił go w bok, i Synowaty padł krwią zalany.

Wołodko i Bukłak także byli ranni; pierwszemu kamień zmiażdżył prawe ramię, drugi miał złamaną nogę.

Napastnicy cofnęli się, i umyślili obłożyć drzewem cały budynek i wydusić załogę dymem.

Skorzystał z chwilowego spokoju Małgoszcz, przez otwór zrobiony w dachu spuścił się po sznurze na ziemię i przez ukrytą furkę w murze uciekł w las ze swoimi towarzyszami.





IV

W puszczy leśnej.

Rosław z siostrami, odpocząwszy i ochłonawszy z wrażeń przebytych, wyruszyli chodnikiem. Im dalej się posuwali w ciemności, tem wilgotniejsze były ściany, duszniejsze powietrze, i bywały chwile takiego zmęczenia i wyczerpania, że usiadłszy musieli wypoczywać przez jakiś czas.

Doszli wreszcie do kamienia zamykającego chodnik. Rosław pchnął go, zaskrzypiała oś, i owionęło ich czyste powietrze leśne, którem napawali się z rozkoszą, a oczy ich, przyzwyczajone do ciemności, oślepiło na razie światło wschodzącego słońca.

Rosław zawarł kamień, rzucił okiem wokoło, utrwalając sobie w pamięci okolicę, i naglił siostry, aby pospieszały z nim w głąb lasu. Gdy już uszli

spory kawałek, pod pozorem zgubienia strzały, powrócił do miejsca wylotu chodnika, obejrzał jeszcze raz dokładnie miejscowość, pobliski buk naznaczył głębokiem nacięciem i pospieszył do sióstr.

— Jesteśmy uratowani,—przemówił do nich,— ale przysiągłem ojcu, że tylko w ostatecznej potrzebie użyję tajemnego wyjścia, teraz wy obie musicie przysiądz na zbawienie duszy naszej nieboszczki matki i na wasze zbawienie, że nigdy, przed nikim nie zdradzicie ani mową, ani ruchem, lub jakimkolwiek bądź sposobem tajemnego wyjścia.

Obie przysięgły, a Jewka rzekła:

— Prawdę powiedziawszy, nie umiałabym znaleźć ani wejścia, ani wyjścia. A ty Swochna?

— Nie wiem... możebym i odnalazła, ale nie chcę o tem myśleć bo przysięgłam.

Rosław, kierując się słońcem, prowadził je w głąb puszczy.

Wokoło szumiąły śmigłe jodły, kopulaste buki puściły już młode, jasno-zielone listki, a stare dęby poczęły się pokrywać pąkowiec. Wszędzie budziło się życie, śpiewały ptaki, szemrały strumyki, brzęczały muchy, pracowały owady. A po gwałtownych przejściach w zamku, było tu cicho, spokojnie, bezpiecznie.

Czasem, ku ucieście młodych wygnańców, ruszył z gęstego krza przerażony zajac i tylko

mignął wśród pni. To znów, na konarach zaskrzeczała wiewiórka, ciekawie patrzyła czarnymi oczkami na niezwykłych przechodniów i nagle skoczyła na górne konary i znikła w gęstwinie korony sosnowej. Spotykali też sarny, które zdziwione przystawały i patrzyły na nich łagodnymi oczyma.

Uszli już spory kawałek drogi, gdy Jewka się odezwała:

— Głodna jestem, a wy?

— Także pytanie, zaśmiała się Swochna, — wieczery nie jadłam, a już bliskie południe.

— Zaczekajcie chwilę, — rzekł Rosław, — pójdę poszukać ścieżki.

— To my z tobą, — zawołała Jewka, — a może zabłądziliśmy...

— Ej, chyba nie, bo idziemy ciągle na wschód.

— A ty skąd wiesz? — spytała Swochna.

— Wiem, bo mnie nauczono, — uśmiechnął się, — od północnego wiatru drzewa mają na pniu kożuch z mchu, — pokazał im omszoną stronę buka, — otóż, jak przed sobą mam północ, to z prawej jest wschód, z lewej zachód słońca, a za mną południe.

— I pewne to? — wątpiła Jewka.

— Jak amen w pacierzu.

— A dokądże nas prowadzisz?

— Do osiedliszcza puszczaków, smołę pędzą, stadniny pilnują...

— A trafimy?... Czyś pewny?

— Bylem znalazł ścieżkę.

— A jeśli nie odnajdziesz, to z głodu pomrzemy, — narzekała Jewka.

— Tak źle nie będzie... stańcie na chwilę, może coś ustrzele i zjemy.

— Surowe?—uśmiechnęła się Swochna.

Rostaw nie odpowiedział i dając im znak ręką aby cicho siedziały, sam, z łukiem w rękę, zapuścił się w głąb boru.

Zaledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, ujrzał na małej, leśnej polance zająca, który ruszył z krzaku i zatrzymał się nastawiwszy czujne słuchy.

Rostaw, bez szelestu podsunął się bliżej, napiął łuk i puścił strzałę, która przeszła bok zająca, raz jeden rzucił się w górę i padł.

Ze zdobyczą powrócił do sióstr, i gdy Jewka ściagała skórę i patroszyła, — Swochna zносиła suche gałęzie, a Rostaw wyjąwszy z za pasa krzesiwo i hubkę starał się rozniecić ogień, co mu się wreszcie po długich usiłowaniach udało.

Jewka nadziała zająca na świeżo ścięty patyk i obracała zwierzynę nad żarzącymi się węglami.

Miła dla zgłodniałych woń piezzonego mięsa zaczęła się unosić w powietrzu.

— Będziemy mieli ucztę książęcą -- zaśmiała się Swochna.

— Dla mnie smaczniejszą od książęcej, bom okrutnie głodny. A prędko już będzie?

Jewka z powagą gospodyni odparła:

— Zaczekajcie żarłoki, jeszcze się nie upietrało.

Wkrótce, opodal ogniska, zasiedli do niewybrednej uczy, śmiejąc się i żartując z minionych niebezpieczeństw, z przebytej drogi.

— Pewno cały zamek przerzucili, aby nas znaleźć i nie znajdują, — mówiła Jewka.

— Ciocia ze sto różańców odmówiła do Przechystej kijowskiej, — śmiała się Swochna.

— Teraz byłabyś Jewko w mocy Synowatego, a ty niewolnicą Bukłaka. Hej, gotowali wam los, z ciotką i wujem do spółki, — odezwał się Rosław.

— A niedoczekanie ich, — zawołała z gniewem Jewka, — prędzej byłabym się uśmierciła.

— Ja także... ale co my teraz poczniemy?

— Hm... poradzę się puszczaków. Wiem, że na Osieku siedzi Kanimir Ogończyk, znajomek ojca, to chyba tam was zawiodę.

— Byle nie do żadnego zamku, — rzekła Swochna, — wzięli Tatarzy nasz, wezmą inne. Wolę puszczyć, ziemiankę, byłem wolną była.

— I ja także, — dodała Jewka.

— Dowiem się, i same postanowicie.

— A ty, co myślisz ze sobą? — spytała po chwili Swochna.

— Ja?... Pojadę do Sandomierza, zaciągnę się pod znaki księcia i dowiem się o ojcu.

— A jeśli Sandomierz oddany Tatarom?

— Ty bo Jewka, jeszcze wierzysz Synowatemu, -- zawołał brat, — a on wszystko zełgał, to oszust i zdrajca, tak samo jak Bukłak, Wołodko i ciotka... no, dostanę ja ich w swoje ręce, oj srogo się pomszczę.

— I słusznie, — skinęła głową Swochna, — ale widzi mi się, że lepiej będzie nie puszczać się tobie samemu w tak daleką drogę, a wpierv zasięgnij wieści, aby cię nie ogarnęli Tatarzy.

— Prawdę, bracie, mówi Swochna, bo jeśli i ty popadniesz w niewolę, któż będzie się starał o uwolnienie ojca naszego?

— Będę ja ostrożny... a teraz w drogę, bo już południe minęło.

I szli to między olbrzymimi pniami starych drzew, pod tak gęstem sklepieniem z gałęzi i liści, że słońca nie było widać, a jasny dzień wiosenny zamieniał się tu na zielonkawy i mroczny; to

znów przedzierali się przez splecione zarośla z trudem i pracą.

Nagle zawołała Swochna:

— Gdzieś ludzie w pobliżu! Czuję dym z ogniska.

Przystanęli uradowani, ale i zaniepokojeni, a zmiarkowawszy z której strony zaciąga dym, ruszyli ostrożnie w tym kierunku. I chociaż do zachodu było daleko, w gęstwinie boru ściemniało się i z wilgotnej ziemi zaczynały się wznosić opary.

Zdaleka posłyszeli ujadanie psów, a uradowany Rosław zawołał:

— To osiedliszcze! Chodźmy!

Wyszli z boru na rozległą polanę leśną i ujrzeni kilka chat, stojących w pobliżu siebie, a każda z nich była otoczona rodzajem wału z pni drzewnych i ziemi.

Podeszli do chaty pierwszej z brzoza i Rosław zastukał do silnych, zamkniętych wrót.

Porwały się psy z ogromną wrzawą, doskoczyły do ogrodzenia i zaczęły ujadać.

Po chwili, na kilkakrotne stukanie, odezwał się gruby głos z za wrót.

— Kto tam?

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — przemówił Rosław.

— I my [go chwalimy na] wieki wieków!...
Kto wy i czego?

— Zbłąkani w puszczy, prosimy o gościnność.

Gospodarz począł psy odganiać, zajadlejsze bił, bo słyhać było psi skowyt, i zwolna usuwał ciężkie drągi i zasuwy. Wreszcie uchylił trochę wrota, spojrzął, a widząc młodego rycerza i dwie dziewczyny, rzekł łagodniejszym głosem:

— Chodźcie do chaty, odpoczniecie bezpiecznie, gośćmi będziecie.

— I my pozdrawiamy was spokojem, — odpowiedział Rostaw, wchodząc pierwszy we wrota a za nim siostry.

Chata była niska a długa, zbudowana z grubych pni nieodartych z kory.

Weszli do niskiej, mrocznej izby, napełnionej niemal do połowy dymem z ogniska palącego się na kamieniach grubo obłożonych gliną.

Na powitanie Jewki odpowiedział z ciemnego kąta głos niewieści, i w świetle ognia pokazała się starsza białogłowa, w zgrzebnej koszuli i szarej spódnicy. Ciekawie spojrziała po gościach i prowadząc ich w kąt izby, wskazała ławę mówiąc:

— Bądźcie mi miłymi gośćmi.

— A wy szczodra i dobra gospodynią, — odpowiedziała Jewka.

Gdy zasiedli, a na ognisko dorzucono suchych drzew, gospodarz, stanawszy twarzą do światła, aby goście mogli dokładnie go widzieć, rzekł:

— Widzę po ubraniu, że wy z dworzyszczu władyki, albo innego dziedzica... my puszczeni, chudo u nas, ale przyjmujemy gościnnie... A może wam placków świeżych? mleka?

Usłużna gospodyni z córką najstarszą już im podawała placki i mleko, a z głębi izby słychać było szepty i śmiechy dzieci.

— Wy ze świata... macie wieści jakie?

— Tatarzy plądrują kraj dokoła. Słyszeliście o tem?

— Coś wiemy niby... Jeden z puszczeni posłyszał okrutny łoskot padających drzew i uderzenia toporów, no, i powiedziano mu, że robią zasieki, aby do traktu nie dopuścić nieprzyjaciół... ale czy to prawda, nie wiem.

— To prawda, — westchnął Rosław, — a ten nieprzyjaciół gorszy od zbójów, łotrów, zwierza dzikiego, pali i morduje.

— Co wy mówicie! — zawołał, — słyszysz, — zwrócił się do żony, — palą i mordują... ale chyba do nas nie przyjdą.

— Kto wie... napadli też na nasz zamek i ledwie uszliśmy z życiem.

— A jak się zwie zamek?

— Żubrzyce.

— Co! Alboż wy z Żubrzyć! To wy syn naszego pana i dziedzica?

— Tak jest... a to moje siostry.

— Witajcież nam, witajcie! — skłonił się do kolan,—i na taki koniec wam przyszło!? Rozkazuście, co nasze, to wasze... Hej Wyrek, biegaj do sąsiadów, niech znoszą co mają najlepszego: mięso jaja, miód... a żywo, bo nasz dziedzic tutaj!

Z głębi izby wszedł w krąg oświetlony, chłopak rosły, śmigły, skłonił się niezgrabnie i skoczył ku drzwiom.

Zaciekawiony puszczałak rozpytywał o wzięcie zamku, nie mogąc uwierzyć prawie, żeby takie warowne miejsce nie zdołało się obronić.

Zwolna zaczęli się schodzić sąsiedzi, każdy z jakimś darem, i z podziwem oglądali bogate stroje, lśniącą broń, i urodę pańią zamkowych.

Słuchali, mruźli, dziwowali się, wszyscy poważni, w kożuchach mimo ciepła, z długimi włosami spadającymi na rozrosłe barki.

Wtem otworzyły się drzwi, wpadł jakiś puszczałak, silnie roztrącił stojących, spojrzął na Rosława i z okrzykiem radości rzucił mu się do nóg, wołając:

— Mój królewiczu, mój zbawco!

Był to Żbych uwolniony przez Rosława z więzienia zamkowego, który po przywitaniu rzekł:

— Ten nasz pan i dziedzic uwolnił nas od kary włodarza za braki sobole, a mnie wypuścił z więzienia. Słyszycie puszczeni! Niechże nam zdrowo żyje i szczęśliwie panuje.

Żbych dowiedziawszy się o zajęciu zamku i ucieczce, napierał, aby panięta przyjęli gościnę u niego, na to jednak nie pozwolił gospodarz, i pogwarzywszy, zaczęli się sąsiedzi rozchodzić.

Po przespaniu się, Rostaw w obawie pogoni bojarów, poszedł do Żbycha i radził się gdzieby bezpiecznie mógł zostawić siostry.

— Widzicie królewiczu jasny,—mówił Żbych, u nas byłoby im dobrze i bezpiecznie, ale jeśli pościg przyjdzie i wezmą ludzi na spytki... powiedzą... nie dziwota, bo strasznie męczą.

— Cóż tedy zrobić?—spytał Rostaw,—idziemi o kilka, kilkanaście dni, póki nie wyszukam jakiegoś stałego schronienia.

— Jest w puszczy osadnik Gąsior, ma żonę, córki i trzech synów jak dębczaki, zawiodę do niego, tam bezpiecznie... a ludziom powiadajcie, że precz w świat idziecie, do samego księcia po sprawiedliwość.

Jak ułożyli, tak i zrobili, a Żbych przywiódł z puszczy, ze stada Grabinów, cztery konie i z południa puścili się w drogę.

Żbych rozmyślnie kołował, i dopiero pod noc dojechali do Gąsiora, który bardzo ochotnie przy-

jął gości i ustąpił Jewce i Swochnie komorę na spanie.

Na drugi dzień rano Rosław, dwie siostry i Żbych, usiedli pod olbrzymią lipą, niedaleko chaty, aby się naradzić; wezwano też i Gąsiora.

— Słuchajcie gospodarzu, — przemówił Rosław, — jeśli mi uchwacie siostry w bezpieczeństwie do końca wojny, albo póki nie przyjdę po nie... obiecuję wobec Boga i ludzi, że wy z waszem potomstwem, nigdy żadnych powinności ani płacić ani robić będziecie, póki będziecie siedzieli na ziemi Grabinów.

Wstał Gąsior, pochylił posiwiałą głowę, ułapił dziedzica za kolana:

— Będę ich strzegł jak oka w głowie, a co jest u nas, ich jest. Tak mi Panie Boże dopomóż.

— I o tobie Żbychu niezapomnimy, ani ja, ani moje siostry, nie będziesz żałował udzielonej pomocy... widzę, że jesteś rozważny, doradź więc jaką drogę mam wybrać, aby dostać się do naszego księcia?

— Aż do księcia!? — podrapał się w głowę i po chwili, — a wam jasny królewiczu na co do księcia... to świat!

— Najpierw chcę wiedzieć co z moim ojcem, który popadł w niewolę...

— Rany Boskie! — zerwał się z miejsca, — taki pàn! taki bogacz!... i kto śmiał rękę podnieść?

— Tatarzy.

— A bodaj ich pioruny! bodaj ich ciężka choroba wytłukła! A czy wiedzą te psie syny na kogo się porwali?

— Zapewne wiedzą... i jak widzicie, muszę iść ratować ojca.

— To się wie... ale ty, jasny królewiczu, młody, niedoświadczony, i co sam poczniesz? Zginiesz, zmarniejesz...

— I ja to mówię,—odezwała się Swochna, — samemu nijako tobie i nieprzystojnie dla Grabiny... weź pachołków ze sobą, zawsze to lepiej.

— Wziąłbym i nie pożądałbym nagrody, ale gdzie ich znaleźć?

— Hm... mam ja trzech chłopców, silne to i niestrachliwe... a rwą się w świat... niechże spróbują, jak wasza i ich wola.

— Bóg wam zapłać Gąsiorze, — rzekł Rostaw, — nie pożądają tego, i ziemią obdaruję i sadybę postawię.

— Oni i bez tego będą radzi, — uśmiechnął się ojciec, i zwracając się do chaty: i — hej! Pie-trasz! Nikłosz! Grom!... sami tu!

Przybiegli, w parcianem ubraniu, przepasani surowcem, zdrowi, silni, i śmiało spojrzeli:

— Chceta chłopcy na wojnę?

— A bez cóż nie? — uśmiechnął się najstarszy, może osiemnastoletni, a tamci skinęli głową.

— To i dobrze... pójdziecie z naszym dzieżcem. Przybierzcie się ochędożnie, wyostrzcie topory, weźcie łuki i strzały... a matka niech da żywność w sakwy...

Pobiegli uradowani do chaty na wyprzódki, a Żbych:

— I w naszej osadzie znalazłoby się chętnych sporo... chcesz, jasny królewiczu, jutro ich przywiodę... młode to, ale zawzięte w bójce i nawykłe do drogi...

— Bardzo chętnie, Żbychu, — uśmiechnął się Rosław, — idźcie do koniucha Jezdzerza, dajcie mu ten pierścień, a on wyda wam koni ile trzeba, bo ruszymy konno.

— No, tak... ale szkoda mi was młodych, — westchnął Żbych, — niema co, pójdę z wami... niechaj tam.

— Bóg wam zapłać, — rzekła Jewka, — do brzy z was puszczak, pilnujcie nam brata, bo to jedyna dziś nasza opieka.

— Nie strachajcie się... zdrowym wróci.

Na trzeci dzień stanął Rosław na czele piętnastu konnych. Było to dziwne wojsko, ubrane w rozmaite siermięgi i kurty, na głowie mieli jedni czapki zdobne łbami kun, łasic, inni kapelusze plecione z pękami piór barwnych. Broń była

rozmaita, większość posiadała łuki swego wyrobu, a wszyscy mieli topory i maczugi nabijane krzemieniami, oprócz surowca opasani byli sznurami kilkakrotnie, jako że w drodze sznur zawsze bywa potrzebny, zaś na plecach chygotały się torby wypchane żywnością przygotowaną przez troskliwe matki.

Ruszyli w stronę Osieka, a Żbych znający dobrze drogi, drożyny i przesmyki, jechał na czele; za nim Rosław i reszta.

Pod wieczór dojechali do skraju puszczy leśnej, gdzie się zaczynał las rzadko porośły.

Słońce już zaszło i nastał cichy wiosenny wieczór. Zsiedli z koni, puścili je na paszę, a sami gotowali się do noclegu, nanieciwszy wielkie ognisko.

Wtem, Kot, chłopak niewielki ale krępy i silny, słynny ze swego słuchu, zawołał ostro:

— Tsss!

Umilkli, a on złożonywszy rękę w trąbkę słuchał jakiś czas i wreszcie rzekł przyciszonym głosem:

— Wilcy wyją... czy co? — i nasłuchując, — okrutny tam gwałt!

Wyteżyli inni słuch w stronę wskazaną i pierwszy Rosław zawołał:

— Poznają, to oni... Tatarzy!

Spojrzeni po sobie, nie tak zastraszeni, jak zdziwieni, a Żbych:

— Ej, chyba nie oni, toż byłoby przez Osiekiem.

Jednak chwilami wiatr przynosił tak wyraźne okrzyki, że znikła wątpliwość wszelka.

— Na koń, towarzysze!—zawołał Rostaw,— przypatrzymy się tym zbójcom!

Szybko dosiedli koni i kierując się wrzaskami dojechali na kraniec lasu. Już przez gałęzie i konary drzew ujrzeni jasny płomień, a gdy się cokolwiek zbliżyli, zobaczyli kilkanaście chat, z których trzy stały w płomieniach, a z pozostałych, Kumani wyciągali mieszkańców za włosy, za nogi, jednych zabijali, nad innymi się pastwili. Inni znów wyrzucali przez okna i drzwi skromny dobytek gospodarski, wypędzali z obór bydło, wiążąc je sznurami.

Kumanów było ze trzydziestu i z wyjątkiem dwóch, widocznie starszych, którzy od czasu, do czasu wydawali jakieś rozkazy, wszyscy zsiadli z koni, puszczonej samopas na bliską łąkę.

Rostaw objął wszystko spojrzeniem i zwracając się do towarzyszy:

— Pietrasz, Nikłosz i Grom, popędzicie ich konie w las... Kot i Wyrek przetniecie im drogę... a my na nich... ja biorę na siebie dwóch konnych...

— A ja przy was,—mruknął Żbych.

— Zaczynamy! W imię Boże!—ścisnął konia.

— Bij, zabij! — zawołali inni, i w skok pędzili na przerażonych Kumanów.

Dwaj konni nie czekali natarcia, lecz co koń wyskoczy pędzili drogą, na której czekali ich Kot i Wyrek, siedzący na dobrych koniach. Gonitwa krótko trwała, obaj Kumani padli pod maczugami.

Na razie Kumani zwoławszy się gwizdem, zamierzali się bronić, lecz gdy wpadły na nich rozpędzone konie, z Rosławem na czele, gdy chłopcy poczęli młócić maczugami, a Rosław ciąć koncerzem, odrzucili broń, ukłękli błagając o litość.

— Żadnego nie żywić!—rozkazał Rosław.

Kumani, widząc że życia im nie darują, rzucili się do ucieczki, co ich wcale nie uratowało.

Żbych był ciągle przy boku Rosława i dojrzał jednego z napastników uciekającego pomiędzy chaty, dognał go i już miał mu zdruzgotać głowę, gdy uciekający kląkł i zawołał:

— W imia Chrysta Pana i Preczystoj, pomyłujtel!

Nie spodziewając się zrozumiałej przemowy, Żbych wstrzymał cios, a klęczący prosił:

— Skażu wam wsiu prawdu... pomyłujtel!

Obejrzał się Żbych, bitwa była niemal skończona, zeskoczył z konia, związał ręce Rusina,

i prowadził związanego do Rosława. Ten na razie nie miał czasu zająć się jeńcem, objeżdżał pobożowisko, uważając czy komu ze swoich nie trzeba pomocnej ręki. Wreszcie zatrąbił na rogu w umówiony sposób, obejrzał swych towarzyszy. Żaden nie był raniony, natomiast kilka koni silnie krwawiło.

— Obwiążcie rany i puśćcie na łąkę... jutro złowimy tatarskie konie i zabierzemy broń.

Ponieważ wszyscy towarzysze wyprawy byli pomęczeni, Rosław ustanowił straż z ocalonych mieszkańców i zwycięzcy zasiedli przy ognisku do wieczery z piezonego mięsiwa bydłał porzniętych przez Kumanów.

Dopiero teraz opowiedział Żbych o dziwnym jeńcu, który mówi zrozumiałym językiem.

— Przeprowadźcie go tutaj!

Odwiązano go od drzewa i ze skrepowanemi rękami stawiono go przed Rosławem w kręgu światła:

— Ktoś ty i skąd?

— Aleksy Aleksiejewicz Sywun, wzięty w плен przez Tatarów.

— Widać żeś sam zbój, gdy ze zbójami chadzasz, -- rzekł Rosław surowo.

Jeniec spojrział smutnemi oczyma, wyprostował się, ruchem głowy odrzucił blond włosy, spa-



dające mu na czoło, i mówił głosem smutnym a szczerym:

— Oj, młody panie, dużo robi się pod grozą stryczka lub noża... Zabrano nas z pod Przemysła kilkuset w służbę tatarską. Jedni budują mosty, drudzy wyrównują drogi, usuwają przeszkody, inni są tłumaczami lub przewodnikami po lackim kraju. Pędzą nas batem, a nad każdym śmierć wisi. Przez zimę w ich obozie poduczyłem się języka tatarskiego i kazali mi być tłumaczem. Dziś rano wysłano mnie z kupą Kumanów po żywność i miałem się dowiedzieć czy bezpieczne są drogi. Cały dzień błądziliśmy po lesie, aż natrafiliśmy na tę osadę i na szczęście wy rozgromiliście tych łotrów.

— Więc to nie byli Tatarzy?

— O, nie... Tatarzy przodem wysyłają Kumanów, Chazarów i innych, a dopiero gdy ci zbadają drogi, idą sami ich śladem... Kumani, to lud tchórzliwy, zdatni do rabunku tylko.

— A ty z którego oddziału?

— Tatarów wiedzie do księstwa Krakowskiego behadir Ałłagan, i ja z jego przedniej straży.

— I dużo u niego Rusinów?

— Straszna moc, może tysiąc, może więcej, i ludu prostego, i bojarów, i kniaziów.

— A pod Opolem byłeś?

— Nie... tylko przy zdobyciu Sandomierza.

— Jakto!? — zawołał Rosław wstając, — Sandomierz wzięty? A nasz książę!?

— Książ wasz pojechał do Krakowa, w Sandomierzu zostawił wojewodę Krempe... i ten zginął. Śądny to był dzień, niech Bóg broni, a nas więźniów ustawiono na górze i mówiono nam iż z nami tak będzie, jeśli nie będziemy wierne służyli... Oj, nie daj Boże dożyć takiego dnia.

Wszystkie nadzieje Rosława, tak uwolnienia ojca, jak i walczenia z Tatarami pod okiem księcia Bolesława, i powrotnego zdobycia Żubrzyc, opierały się na Sandomierzu ludnym, bogatym, obronnym. Zwątpienie i smutek opadły go, a zarazem zniechęcenie do dalszego działania, bo jeśli Sandomierz wzięty, książę w Krakowie, a pieniądze na wykup w zamku zdobytym, to już nie ma sposobu uwolnienia ojca i dalsza walka jest bezcelowa.

Czy jednak ten ruski bojar Sywun prawdę mówi? Spojrzał na niego, a widząc go skrepowanym rzekł:

— Rozwiążcie go... i słuchajcie bojarze, jeśli szczerą prawdę powiecie, uwolnię was.

Uwolniony jeniec przyklęknął i wzniosłszy w górę rękę prawą, mówił po rusku, który to język podówczas mało się różnił od polskiego:

— Przysięgam na zbawienie moje, i niech nie wrócę do domu, ani obaczę mej rodziny, jeśli cokolwiek skłamię.

— Opowiedźcie nam o Sandomierzu, a jeśliście głodni, jedzcie.

— Na jedzenie mam czas, a potrzebna wam wiadomość, to powiem, — usiadł przy ognisku, wokół którego rozłożyli się wszyscy. — Kiedy król tatarski Burunda wszedł w laską ziemię, to najpierw wyrznął Lublin, pobił Lachów pod Opołem, wziął Zawichost i ruszył na Sandomierz. Znacie ten sławny gorod, miasto mocnym murem opasane, a w mieście zamek królewski także grubym murem otoczony.

Pędzili Tatarzy Rusinów i inne narody, aby zdobywali mury, ale co podstąpią tak ustapia, bo Lachy się bronią, a mury stoją. Tak król Burunda woła do siebie Wasylka, brata króla Danyła, także Lwa i Romana, synów króla Danyła, a zakładników swoich i mówi: Nie chcę tracić czasu na zdobycie grodu, idźcie do Lachów, daruję im życie, miasto zajmie moje wojsko, a zamek będzie lacki... No i poszli... Co tam mówili nie wiem, ale do zgody przyszło... No nie znali Lachy, a my wiedzieliśmy, że Tatarzy niesłowni, ale pewno królewicze mówili im chyba, bo naród chronił się do zamku, i Tatarów bał się puścić.

Rosław słuchając o Sandomierzu wspomniał zdradę Synowatego, Bukłaka i Wołodki, zawołał też z gniewem:

— I pewno zdradzili te królewicze, psubraty, jak mnie Synowaty i Bukłak.

Jeniec spojrział zdziwiony i spytał:

— Co?... To wy znacie ich?

— To zdrajcy i zbóje.

— Wiem i ja coś o tem. Oni się dobrali, a Wołodko Izasławicz ich prowodyr. Opowiem wam o nich... A możecie nieciekawi Sandomierza?

Lecz nietylko Rosław, ale inni zawołali: Mówcie dalej!

— Kiedy nie chcą otworzyć bram, przystawili Tatarzy drabiny i darli się w górę. Najpierw wyleźli dwaj Tatarowie z chorągwią i poszli po mieście siekąc i kłując. Pewien Lach zaś, ani to z bojarów ani rodu szlachetnego, tylko prosty człowiek bez tarczy, w jednym tylko płaszczu z dzidą, szukając pomocy jedynie w rozpacz, dokonał dzieła godnego pamięci: podbiegł ku Tatarowi, a zetknawszy się z nim, ubił go na śmierć, ów zaś drugi Tatar nadbiegł z tyłu i porąbał Lacha i Lach został zabity... Ludzie zaś zobaczywszy Tatarów w mieście, jęli uciekać do zamku, lecz nie mogli się zmieścić we wrotach, gdyż most przed wrotami był wązki, a jedni podnieśli się sami, drudzy zaś pospadali w rów, jak

te snopy. Rowy były głębokie i napełniły się trupami, i można było stąpać po trupach jak po moście. Były zaś w zamku namioty słomą kryte, które zapaliły się, po nich gród zaczął się palić.

Umikł, popił wody, i widać było że samo wspomnienie jest mu przykre. Po chwili mówił do milczących a zasłuchanych:

— Tatarzy wzięli miasto i zamek, a Lachy pewni swego życia, jako im przyrzeczono, gotowali się do wyjścia i nazajutrz zakonnicy i księża odśpiewawszy mszę, zaczęli komunikować, najpierw oni, potem bojarzy z żonami i dziećmi, tudzież wszyscy. Potem zaś wyszli z grodu z krzyżami, świecami i kadzielnicami, poszli też bojarzy, bezbronni i bojarynie ubrawszy się w szaty godowe; słudzy zaś bojarscy nieśli przed nimi dzieci i był wielki płacz i lament... Wypędzonych z grodu posadzili Tatarzy na błoni nad Wisłą i siedzieli dwa dni na błoni... Potem, zaczęto ich wszystkich zabijać, płec męską i żeńską, i niepozostał z nich ani jeden.

Jakiś czas milczeli pogrążeni w żalu, wreszcie zawołał Rosław:

— Zemsty! Zemsty! — a inni powtórzyli ten okrzyk głosem nienawiści zawziętej.

Bojar Sywun spojrział na nich, pokiwał głową i rzekł rozczulony:

— Hej! Hej! Młodzi wy! Krew u was gra!... A ot, te moje oczy łąły łyzy gorzkie, serce się krwawiło... no, i pędzony batem, z postronkiem na szyi musiałem iść w ich służbę... ale teraz ja wolny, między swoimi, znam Tatarów i wam pokażę jak ich bić, mordować, tępić, — zabłyśły mu oczy nienawiścią.

Twarze słuchaczów zajaśniały radością, a ci i owi zawołali:

— Tyś nasz... prowadź nas na tych psu bratów!

Jeden Rosław był chmurny i rzekł zwolna patrząc w oczy jeńca:

— A jeśli nas zdradzisz, jak Synowaty, Bukłak i Wołodko?..

— Wy mnie nie bierzcie za równych im... tych bojarów i wielu innych, jako bogatych oddał nasz król w zakładniki Tatarom, i ich żony i dzieci. Oni są nieszczęśni w mocy Tatarów... ale że są źli ludzie, i chcą łaski i bogactwa króla tatarskiego, to służą mu wiernie, a Lachom szkodzą i ich mordują, gdzie popadną... A co oni ruskich natracili! zbóje to i warci są stryczka, albo noża.

— Sprawiedliwy z niego człowiek, -- mruknął Żbych, — i sposobny dla nas... a nie wiecie co z Osiekiem?

— Zburzony, że tylko kamień na kamieniu.

Rosław wstał i poszedł w głąb lasu, tam wsparty o pień dębu namyślał się, co ma dalej począć.

Iść za księciem do Krakowa, błysnęło mu, przecież Wojciech Warpąż mówił, że jedzie przygotować odpór Tatarom; tam będzie bitwa... ale tuż stanął mu przed oczyma ojciec związany, bity, męczony...

Postanowił, iż zanim ruszy szukać sławy przy boku księcia, wpierw musi uwolnić ojca... ale jak?

I wśród rozmyślań, nagle przypomniały mu się słowa gońca książęcego: albo okup dać, albo na wymianę, gdy się pochwyci ważnego Tatarzyna...

O okupie nie mógł nawet zamarzyć w obecnych stosunkach, ale gdyby porwać wodza Tatarów...

Do tej myśli aż się uśmiechnął, szybko poszedł do ogniska, przy którym gawędzili towarzysze, a bojar kończył jedzenie, usiadł na swem miejscu i rzekł:

— Słuchajcie bojarze... my uczciwi ludzie, bronimy swego, cudzego nie chcemy, pójdziecie z nami na złe i dobre?

— Ja już wam powiedział, a ja słowny i rzetelny.

— Wierzę wam, — podał mu rękę, — otóż wieǳcie, że ojca mego, Mikołaja Grabinę wzięli Tatarzy pod Opolem w niewolę.

— Co!? To wy Grabina!?... Czy was rodzi Izaśławiczówna? — a na skinienie głową, — no, słyszał ja dużo o Grabinach... a ten Wołodko Izaśławicz to sobaka, na swoją krew nastawał... hej, popadnie on mi w ręce...

— Już ja go dostanę, powiedział Rosław z wielką zaciętością.

— Teraz słucham was Grabina, u was kniaziów krew, a ja tylko bojar.

— Idzie o to, aby ojca uwolnić... na okup nie mam teraz... ale podobno Tatarzy oddają jeńców na wymianę.

— Ba, może by i oddali, ale skąd weźmiecie Tatara?

— Pochwycimy go, nieprawdaż? — spojrzął po towarzyszach.

-- O jej!... Dlaczego nie?... Chociażby i zaraz!...

— Oj, wy młodzi, — pokiwał głową bojar, — alboż wy wiecie co to Tatar? Silny on jak niedźwiedź, a zwinny jak ryś. To nie Kumani, Chararzy, albo Rusini lub Lachy... On straszny, okrutny... i jak zechce... to... czaruje.

Wszyscy z obawą spojrzeli, a biegłojsi w zwyczajach spluwali za siebie mrucząc: na psa urok.

— Et, strach was obleciał, — zaśmiał się Rosław.

— Strach?!... No, spójrzcie tylko, ci Tatarzy bez bitwy zabrali Moskwę, Twer, Kijów, Halicz... i to mi dziwno, że taki mały kniaź ze Sudomira, a on nie oddaje pokłonu i walczy... widno u was inna krew... ale nie zdzierżycie.

— To się pokaże... my chcemy tyle od was, abyście nam wskazali zacnego Tatara, za którego oddano by mi ojca...

— Trudno to będzie, ale spróbuję,—westchnął Sywun, — namyśle się, teraz jestem zmęczony...

— Dobrze mówicie, bojarze,—dodał Żbych,—spocznijmy...

Raniutko, bojar Sywun, który wśród tej gromady był najstarszy wiekiem, pobudził młodzież, z wyjątkiem Rosława, kazał łowić konie Kumanów i poznosić broń i ubrania po zabitych.

Uśluchano go chętnie i gdy Rosław się obudził, ze dwadzieścia koni spętanych pasło się na łące, a niedaleko ogniska leżała broń Kumanów, ich kurty baranie, i wysokie, twarde kołpaki.

Rosław chwając zabiegliwość spytał:

— A kto wam polecił tę robotę?

— Bojar... a teraz piecze barany.

Istotnie Sywun z rękawami zawiniętymi uwiijał się koło ogniska, na którym piekły się barany.

Gdy wszyscy dobrze sobie podjedli, bojar na pytanie Rosława, co obmyślił, rzekł:

— Ot wydumał ja taką rzecz... Behadir Ałłagan idzie na księstwo Krakowskie, i wysłał przodem ruskich, aby drogi uprzętnęli, za nimi idą Kumani, Chazarzy, i Rusini, a za tymi idzie Giejdaj, prawa ręka Ałłagana, on pierwszy w radzie i w bitwie. Ja go wam pokażę... a co zrobicie, to wasza rzecz.

— Czy on sam jedzie, czy w otoczeniu?

— Różnie bywa... widywałem go we dwa albo w trzy konie na przedzie wojska... a teraz muszą się przebierać przez bory i lasy... może i znajdzie się sposobność.

Rosław słuchając bojara układał sobie plan napadu, a wtem wzrok jego padł na kupę broni i ubrań Kumanów. Powstał z ziemi i zawołał uradowany:

— Mam go... nie ujdzie nam!

Spojrzano na niego z wielkiem zdziwieniem, nie rozumiejąc słów jego, a on mówił dalej:

— Wiecie chłopcy... przebierzemy się wszyscy za Kumanów. Tatarzy nie będą na nas zważali, puszczą nas, a my porwiemy nie to Giejdaję, ale i samego Ałłagana!

— Prawda! Niech żyje nasz wódz! — zawołałi ochoczo.

— No, wydumał — zaśmiał się bojar, — ot u was, Grabina, głowa. Pójdziem chyłkiem, aż do obozu, a wyjedzie Giejdaj, tak my łap!

Zywo się przebrali, wzięli co lepsze konie, i weseli, żwawi, pełni nadziei jak ten wiosenny poranek, ruszyli w las i puszcę ku zasiekom na trakcie, a prowadził ich Żbych wiadomemi tylko jemu drożynami.

Przenocowali w puszczy, a Żbych kierując się głuchymi odgłosami, siekier, podprowadził ich dosyć blisko do siekierników usuwających zasięki.

Rostaw i Sywun zleźli z koni, i poleciewszy czujność towarzyszą, sami skradali się ku siekiernikom. Byli to Rusini, podzieleni na dziesiątki, pracowali zachęceni krzykiem i batem. Nad pięciu dziesiątkami był konny dozorca z nahajem w ręku. Ten co chwila dopadał tych lub owych, którzy nie dość pilnie robili i smagał ich nahajką.

Widok tych ludzi brudnych, wynędzniałych, padających ze znużenia, a bitych bez litości, był nad wyraz przykry, a Rostaw z ogromną boleścią pomyślał, że może i ojciec jego znajduje się w takim strasznym utrapieniu.

Nadjechał właśnie konny dozorca i jednego z pracujących tak silnie ciał nahajką, że koszula krwią się zarumieniła.

— Ten na koniu, — szeptał Sywun, — to brat Synowatego, pies nie człowiek, swoich bije i morduje.

Pobity siekiernik padł na ziemię, a brat Synowatego począł okładać leżącego nahajem i trawował koniem, wrzeszcząc po rusku:

— Wszystkim wam tak będzie!... tu nie zabawa, ale robota!

— Hospody! Hospody! — szeptał Sywun zbiełkami wargami, — tego, co go ubił ten pies wściekły, znałem, to bojar Dołyniak, mój sąsiad... i Synowaty go znał, a teraz!?

Posłyszeli podejrzany szelest i szybko cofnęli się w głąb boru.

— Bojarze, dlaczegoż ci siekiernicy nie uciekają w las? — spytał Rośław.

— W las?... bo Tatarzy powiedzieli dozorcóm: ucieknie siekiernik zetniemy ci głowę, a dozorczy powiedzieli siekiernikom: ucieknie który z dziesiątki, całą dziesiątkę na śmierć zachłuszczemy... tak i pilnują nieszczęśni jedni drugich... a umrze który, albo zabity będzie jak ten bojar Dołyniak, dozorczy muszą mu obciąć uszy i przynieść najstarszemu.

— Czemuż wszyscy razem nie uciekną, albo nie rzuca się na Tatarów?

— Hej, młodzi wy... a czy niema takich Synowatych, Bukłaków i innych psubratów, co to zdradzają swoich.

W ciągu dni następnych, podsuwali się dość często do traktu, ale prócz siekierników na przedzie i snujących się kup Kumanów i Chazarów, nie dojrżeli Tatarów.

— W obozie siedzą i wypoczywają — tłumaczył Sywun.

— To idźmy pod obóz, — postanowił Roślaw.

Posuwali się zwolna, skradając się, bo zbrojne kupy włóczyły się po lasach szukając ukrywających się ludzi i ich dobytku.

Tak idąc zbliżyli się do Żubrzyce, ale od strony Krakowskiego, od zachodu, bo całe Sandomierskie opanowali już Tatarzy.

Roślawa porwała ogromna tęsknota do Żubrzyce, i postanowił bądź co bądź, chociażby zdaleka zobaczyć zamek i jego okolice. Towarzyszyli mu bojar i Żbych, a znając wszystkie ścieżki podeszli dosyć blisko. Ujrzeli olbrzymie, mrowiące się końmi i ludźmi obozowisko tatarskie, a bojar ofiarował się pójść do obozu i zasięgnąć wiadomości.

Po kilku godzinach wrócił i oznajmił, że w Żubrzychach obozuje Ałagan, a w zamku leżą i leczą się Tatarzy pod silną załogą.

Znudziło się młodemu to wyczekiwanie w boru, parli bojara i Żbycha aby się wychylić z puszczy i wałęsające się gromady poturbować. I tak się

napierali, że wreszcie wyszli z lasu i przed wieczorem spotkali się z wracającą watahą.

Skoczyli ku nim i starli się, ale napadnięci Chazarzy, biorąc ich za strachliwych Kumanów silnie się oparli i przyszło do walki. Chazarzy byli znacznie silniejsi, odparli atak, co widząc Rosław zatrąbił do odwrotu. Jednak w tej bitce Chazarzy ubili Wija i Lelka, a tak silnie poranili Sławoja, że stał się niezdatny do boju.

Nauczeni doświadczeniem, stali się teraz ostrożnymi i znów poczęli wałęsać się po borze pilnując traktu.

Jednego ranka Kot wysłany na zwiady, przybiegł zdyszany mówiąc:

-- Obóz się ruszył w Żubrzycach, ciągną na trakt.

Skoczyli do koni, i po krótkiej naradzie pojechali na górę panującą nad traktem i doliną pod Żubrzycami.

Rosław, Żbych i bojar, zsiadli z koni i podsunęli się bliżej obozowiska.

Widzieli jak przednia straż, gwiżdżąc i krzyżąc niezrozumiałe wyrazy, wyszła na trakt i ruszyła kłusem.

Pozostała konnica szykowała się w pochód, a przed frontem uwijał się na gniadym koniu, smukły Tatar, bez zarostu, w ozdobnym kołpaku.

— To Giejdaj, — pokazał nań bojar.

Rosław i Żbych przypatrywali mu się pilnie i zauważyli, że on objechawszy kilka rzędów konnicy, pognął w stronę zamku, spotkał tam innego Tatarą na karym koniu, i wspólnie robili przegląd.

— To Giejdaj z Ałaganem, — objaśnił bojar.

Nareszcie przed południem odezwały się gwiazdy, piszczałki, okrzyki, i Tatarzy ruszyli traktem.

Rosław widząc tych dwóch wodzów w tak licznej otoczeniu, zasepił się, bo i cóż znaczy ich garstka wobec ogromu wojska tatarskiego? Bojar, jak gdyby odgadywał myśl jego, rzekł:

— Trudno będzie...

— To zginę, — odpowiedział Rosław zaciskając usta z uporem.

Połączywszy się z towarzyszami, wytłomaczył im, że najlepiej będzie towarzyszyć pochodowi Tatarów przekradając się bokiem przy trakcie.

Zrazu jechali Tatarzy rysi, ale wkrótce ci i owi, mając słabsze konie zaczęli przystawać, i cały pochód wydłużył się znacznie.

Giejdaj napędzał opieszalych, krzyczał, często użył i nahaja, aż wreszcie skupił cały oddział.

Wtem zdala od przedniej straży doleciał wrzask. Tatarzy z oddziału Giejdaja bez rozkazu wstrzymali konie i nasłuchiwali. Już schwycili łuki i gotowali się skoczyć, gdy Giejdaj z jakimś

swoim towarzyszem, stanął na czele, coś przemówił, ścisnął konia i we dwóch pocwałowali naprzód.

Wszystko to widział Rosław i towarzysze, a znając wybornie kierunek traktu, wiedzieli że tuż jest dość stroma góra i za nią znajduje się straż przednia, dająca niezrozumiałe sygnały krzykiem.

Rosław nachylił się do swych towarzyszy i rzekł:

— Teraz, albo nigdy... W konie!

Szybko mknęli pomiędzy drzewami, a konie śnać przyzwyczajone do takich dróg, bardzo zręcznie omijały przeszkody.

Stanęli w połowie góry. Trakt piał się dalej dość stromo, a zakręt drogi zasłaniał ich przed oddziałem Giejdaja.

Rosław po namyśle rozdzielił dwunastu towarzyszy w ten sposób, że po czterech stanęło z prawej i lewej strony, a on, Żbych i bojar mieli jechać zwolna pod górę, zaś Kot z Wyrkiem staną na dole, i gdyby się nie udało innym schwytać Giejdaja, oni poprobują szczęścia.

Niedługo czekali, na szczycie góry stanął Giejdaj, wracający z towarzyszem, spojrzął na jadących, a biorąc ich za Kumanów zwolnił bieg konia ze stromej pochyłości.

Nagle wypadli z lewej i prawej strony stojący w zasadzce, przyskoczyli, lecz zręczny Giejdaj błysnął toporem, rozwalił łeb koniowi Groma, a Pietraszowi, który schwycił uzdę konia, rozplatał lewą rękę i nacisnąwszy konia pędził dalej.

Zastąpił mu drogę bojar, lecz samym rozpe dem zwałił go Giejdaj i natknął się na Rosława z koncerzem. Pierwsze uderzenie Rosława, nie tylko odbił, ale toporem uderzył go w pierś lewą. Na szczęście uderzenie było zbyt słabe i topór ześliznął się po stalowej koszulce, którą Rosław dostał był w darze od Wołodka.

Giejdaj, widząc z boku Żbycha, przecinającego mu drogę, postanowił wpierw załatwić się z nacierającym Rosławem, a odpartszy cięcie gotował się do uderzenia Rosława w głowę, gdy Żbych przytrzymując konia, podniósł topór i cisnął nim w przednie nogi konia, trafił w kolana, koń padł na ziemię, a z nim razem i Giejdaj.

Teraz przyskoczyli inni towarzysze, Żbych zarzucił Giejdajowi pętlę na szyję i począł go ciągnąć po ziemi, a gdy ten w półuduszony posiniał, związano mu ręce i nogi, zdjęto sznur ze szyi i szybko poniesiono w las.

Towarzysz Giejdaja licho się bronił i Nikłosz Gąsior, uderzeniem pałki ogłuszył jego konia, a jego samego leżącego na ziemi z łatwością związał i uprowadził w bór.



Gdy się w boru zwołali i opatrzyli ranę Pietrasza rzekł bojar Sywun:

— Teraz, w konie! bo skoro opatrzą się Tatarzy że porwano Giejdaja, otoczą łukiem cały bór i przetrząsną każdy krzak.

— W naszej puszczy znam jaskinię,—powiedział Żbych,—tam jedźmy.

— Nie, to niepodobna, zловіą nas,—rzekł bojar,—bo od Żubrzyce zatoczą półkole i będą iść ku przedniej straży... my musimy wyminąć straż przednią, bo w tej stronie nie będą nas szukali.

I Żbych i Rostaw pochwalili ten plan. Rationy Pietrasz poszedł do domu, a na jego konia przesiadł się Grom. Skrępowanego Giejdaja wzięto na pasy surowcowe i umieszczono pomiędzy dwoma jeźdźcami.

Towarzysza Giejdaja który zachowywał się spokojnie, przywiązano do konia, którego prowadził Grom obok swego.

Ruszono szybko naprzód gdyż w boru rozległy się krzyki i wycia przeszukujących Tatarów. A owe nawolywania były tak głośne i zawzięte, że przegłuszały krzyk Giejdaja, którym od czasu do czasu dawał znać o sobie.

— A możeby mu zatkać pysk, bo zdradzi nas,—doradzał Żbych.

— Niema czasu,—odmruknął Rostaw popędzając konia.

I istotnie nie można było tracić ani chwili, gdyż uciekający nie tylko słyszeli zbliżające się krzyki, ale nawet trzask łamanych gałęzi, i tylko dzięki gęstwinie i sprawności swych koni zdobili się ukryć.

Stopniowo jednak konie ich, zmęczone poprzednią gonitwą, zaczęły ustawać, nie pomogły zachęcania, bicie, co raz to zwalniały kroku, a zwoływania się Tatarów zamiast się oddalać, zdawały się zbliżać.

Na Rosława uderzyły poty, być tak bliskim celu, i nie móż go osiągnąć, a i samemu zginąć.

Przystanął i krzyknął:

— Z koni!

Szybko zeskoczyli, a Żbych zakneblował usta. Giejdajowi, chciał to samo zrobić drugiemu jeńcowi, ten jednakże ku ich zdumieniu, zamiast dotychczasowych okrzyków i słów tatarskich, przemówił po rusku:

— Nie róbcie mi tej krzywdy, nie zdradzę was, ja z Rusi.

Najbardziej zdziwił się bojar Sywun, ale nie było czasu na dopytywania.

— Wyrku! — rzekł Rosław, — szybko wprowadzaj konie... Bierzmy go — wskazał na Giejdaję.

Pochwyciło go sześciu i przedzierając się krzakami uciekali przed zbliżającymi się Tatarami.

Żbych który szedł na czele, nagle się odwrócił i dał znak, aby przystanąli, a sam znikł.

Wyczekiwanie wydało się im bardzo długiem, a wreszcie stało się nieznośnem do wytrzymania, gdyż trzask łamanych gałęzi zbliżał się gwałtownie.

Wreszcie zjawił się Żbych, dał znak aby pośpieszali, skręcił z dotychczasowego kierunku, i wskazując olbrzymi dziuplaty dęb, szepnął aby tu schronić się przed pościgiem.

Wniesiono Giejdaja, ustawiono go na nogach, wprowadzono drugiego jeńca, któremu mimo jego prośb zakneblowano usta, a prócz dwóch więźniów zmieściło się w dziupli dęba, jeszcze czterech ludzi między którymi był i Rosław. Reszta ze Żbychem ukryła się w zwale przegniłych drzew powalonych przez burzę.

Tatarzy wraz z Kumanami i Chazarami zbliżali się tak, że można było rozróżnić poszczególne wykrzykniki i słowa.

Rosław widział z dziupli po przez gęste krzaki leszczyny zasłaniające otwór, kołpaki i ubrania szukających.

Stopniowo wrzawa i hałas oddalały się, dołatywały co raz niewyraźniej, wreszcie zginęły.

Splószone ptactwo uspokajało się, dzieciół począł kuć, sójka wrzeszczeć, zięby śpiewać.

Żbych podszedł do dębu i zawołał wesoło:

— Uszliśmy! Widno że to naród nie z boru, toż ślady nasze były widoczne i ślepy by namacał.

— Sława Bohu! Sława Bohu! — powtarzał bojar Sywun, — a już śmierć zajrzała mi w oczy... no, odejmcie mu szmatę z gęby, rozmówię się z nim, — wskazał na jeńca ruskiego.

Rozkneblowano Giejdaja, który milczał rzucając wściekłe spojrzenia na wszystkich, wyjęto też szmatę z ust drugiego jeńca, który mając usta swobodne, począł splotać, wreszcie poprosił o wodę.

— Niema, — rzekł bojar.

Kot przyłożył ucho do ziemi, i po chwili wskazując kierunek:

— Tam, strumyk.

Poniesiono na sznurach Giejdaja aż do strumyka, gdzie rozłożyli się na dłuższy spoczynek.

— Trzebaby Wyrka z końmi wyszukać — rzekł Rosław, — kto pójdzie?

— Ja z Kotem, — zaśmiał się Grom — on ma uszy, a ja oczy, — i wkrótce znikli w boru.

— A wy kto taki? — spytał Sywun jeńca.

— Fiodor Fiodorowicz Mitrofan, z pod Kijowa... a wy?

Sywun go objaśnił, i zapytał co robi u Tatarów.

— Spalili mi futor, żonę i dwie córki zabrali, a mnie i syna zapędzili do roboty. Syn

został w oddziale Burundy, a ja u Ałagana, jestem tłumaczem... ale dlaczego porwaliście nas dwóch żywcem? Myślałem przy napadzie, że to moja i jego ostatnia godzina, a tymczasem żyjemy.

— Jesteście nam potrzebni... a jeśli wy, Grabina, pozwolicie, rozpowiem mu całą rzecz.

— Możecie... a wy chłopcy szukajcie czegoś do zjedzenia. głodniśmy wszyscy.

Tego polecenia nie potrzebował powtarzać, wszyscy się rozbiegli, pozostał tylko Żbych, bojar, Rosław i jeńcy.

— Ojciec tego młodego pana i dziedzica, — zaczął Sywun, — dostał się w плен pod Opolem, tak tedy on, jako dobry syn, umyślił porwać znacznego Tatara i otrzymać ojca na wymianę. Dobrał sobie zuchów, pobił Kumanów, mnie wziął do niewoli, ale na krótko, bo zaraz do nich przystałem. Przebrali się za Kumanów, no i schwyciliśmy Giejdaja, a was to tylko przypadkiem.

— No, no, — patrzył na Rosława z wielkim szacunkiem Mitrofan, — okazaliście, młody panie, czynu bardzo wielkiego. U nas nikt, sam książ nie porwałby się na prostego Tatara, bo oni za sobą stają jak bracia, a wy porwaliście zastępcę behadira, który po zwojowaniu laskiej ziemi, miał sam zostać behadirem... u was jest odwaga.

— Pomogli mi, udało się, — rzekł Rosław, — teraz powiedzcie mi czy za tego Tatarzyna oddadzą mi ojca?

— Jeśli tylko żyje, to nietylko waszego ojca, ale i innych w dodatku... byle on zechciał, — wskazał oczyma na Giejdaję, leżącego na ziemi.

-- Spytajcie go.

— Największy wodzu, światło królów, — przemówił Mitrofan po tatarsku, oddając głęboki ukłon skrepowanemu, — czy chcesz wysłuchać prośby pokornej tych niewolników?

— Milcz psie... powiedz tym robaczywym psom, niech mnie zamordują, bo nie chcę żyć z hańbą.

— Twój niewolnik spełni rozkaz, — i zwracając się do Rosława, — nie chce mówić, pragnie śmierci.

— Przypiec go, zaraz zaśpiewa, — mruknął Sywun, — to zbóje i mordercy.

— Nie, — rzekł Rosław, — on musi być żyw i cały, bo u nich mój ojciec.

— Prawdę mówicie, — dodał Mitrofan, — on może się zaciąć, przecierpi, zginie, a słowa nie powie... ja ich znam, oni wszyscy okrutni i zawzięci.

— A możeby mu wody dać, — radził Żbych, i na skinienie zachęcające, poszedł do strumyka, nabrał wody w róg i zbliżył do ust Giejdaję. Ten

jednak zaciął usta i patrzył z taką wściekłością na Żbycha, że odstąpił mrużąc: — dyabeł z niego, a może czarownik.

— Widzicie, nawet wody nie chce, — rzekł Mitrofan, — zaciął się.

— Zaczekamy, — powiedział Rosław, — namyśli się...

- - Niech go tylko pragnienie piec zacznie, — uśmiechnął się Sywun, — sam poprosi o picie.

Powrócili towarzysze ze sarną ubitą, rozniecili ogień i upiekli. Zanim jednak wzięli się do jedzenia, nadszedł Wyrek z Kotem i Gromem, prowadząc wypoczęte konie.

Na drugi dzień, skoro świt, ruszono do puszczy sąsiadującej ze Żubrzcami, tam bowiem czuli się wszyscy bardziej bezpiecznymi, aniżeli zdala, w obcej stronie.

Po całodziennym pochodzie zawiódł Żbych wszystkich do obszernej jaskini na nocleg.

Stan zdrowia Giejdaja, który związany leżał na ziemi, wzbudził obawę Rosława. Kazał mu zwolnić więzy u nóg i rąk, Giejdaj przeciągnął się, lecz zarazem wstrząsały nim dreszcze, a oczy płonęły.

— Dać mu pić, — doradzał Sywun, — a nie zechce, zatkać mu nos, musi otworzyć gębę i wlać mu wodę.

Zrobiono tak, ułożono na miękkim mchu w jaskini, i kolejno każdy miał go pilnować przez noc.

Rano, znów z głębokim pokłonem, podszedł do Tatara Mitrofan, lecz i tym razem otrzymał pogardliwą odpowiedź.

— Zdechnie nam ten pies, — mówił Sywun, — trzeba mu dać mleka.

Żbych pojechał do swej osady po mleko i chleb, a Mitrofan opowiadał o zwyczajach tatarskich:

— Każdy z nich ma swego bożka, nosi go na piersiach, a jeśli go zgubi, to czeka go śmierć w kilka dni. Trupów swoich nie zostawiają nigdy, ale wożą na telegach, aby powrócić z nimi do swego kraju i tam dopiero pochować...

Te dwa szczegóły utkwiły w pamięci Rosława, i gdy Giejdaja napojono mlekiem, Mitrofan z polecenia Rosława rzekł:

— Największy wodzu, światło królów, oto ci niewolnicy chcą ci wydrzeć twoje szczęście i twój zaszczyt, który nosisz na piersiach twoich, podepcą go, oplwają, błotem pomażą...

Żółtą cera Tatara stała się bardziej żółta, a skośne oczy krwią nabiegły.

— Wielki wodzu, światło królów, nikt nie dotknie twego skarbu, jeśli wysłuchasz cierpliwie twego niewolnika i powiesz swoją wolę.

— Mów, psie, — syknął.

— Oto ten młody niewolnik twój,—wskazał na Rosława — ma ojca w obozie twoim i kilku swoich krewnych... Ciebie największy wodzu, światło królów, odprowadzi on bezpiecznie do twoich, i włos ci z głowy nie spadnie, jeśli uwolnisz jego ojca i kilku przyjaciół.

— Niech mnie puści, uwolnię—rzekł Giejdaj weselszym głosem.

Mitrofan przetłumaczył odpowiedź Rosławowi, a bojar Sywun zawołał:

— Co to, to nie!... nigdy nam Tatar nie dotrzymał słowa, i teraz jeśliby wyszedł, tylko mścić się będzie. Powiedz mu, — ciągnął dalej drwiącym głosem: — największy wodzu, światło królów, niewolnicy twoi nie rozumieją mądrości twojej...

— Czy naprawdę Mitrofanie, wy tak do niego przemawiacie? — spytał Rosław.

— Tak jest... przecież on będzie wolny kiedyś, a gdybym do niego mówił jak do was, każałby zabić syna mego i każdego z moich znajomych, aby nikt nie wiedział o hańbie jego. Jestem pewny, że mnie i syna uwolni jeśli nie będzie mógł zabić.

— Więc powiedzcie mu, że jeśli nie zgodzi się na wydanie z niewoli ojca mego Mikołaja Grabiny i krewnego, Pakostawa z Dąbia, wziętych pod Opolem, nietylko zbeczcemy w jego

oczach i jego rękami tego bożka, co go ma na piersiach, ale ciało jego oddamy psom, świniom i krukowi na pożarcie.

— Kniaziu! Kniaziu! — skłonił się Sywun Rosławowi do kolan, — zażądajcie i mego brata, Michała Sywuna, on między siekiernikami.

— Dobrze, bojarze, wymieńcie Mitrofanie i Michała Sywuna.

Mitrofan z głębokim pokłonem zbliżył się do Giejdaja i rzekł:

— Największy wodzu, światło królów, oto ci tutaj, którzy nie są warci prochu stóp twoich, mówią, że zajęty wojną zapomnisz o psach, których chcesz uwolnić i wprawdzie muszą ich widzieć, a dopiero puszcza cię.

-- Precz robaku!

— Jeśli nie wysłuchasz ich prośby, własnymi rękami znieważysz twój skarb, nogami go swemi zdepcesz, a ciało twoje oddadzą psom, świniom i krukowi.

— Ach, wściekłe psy!... nie, nie chcę.

Za poradą Mitrofana przystąpiono do odebrania Giejdajowi amuletu, a czyniono to z wolna, aby mu dać czas do namysłu. Rozpięto kurtę barankową, a Sywun zaczął szukać na piersiach.

Giejdaj prężył się, rzucał, krwią zabiegły mu skośnie oczy, żyły na czole pęczniały, wreszcie krzyknął:

-- Dobrze... wydam.

Odstąpiono natychmiast od niego, i po naradzie uchwalono, że Mitrofan pojedzie do Ałłagana, zażąda wydania trzech jeńców, a w zamian wypuszczą Giejdaję, którego odprowadzi Mitrofan.

Po długich targach zgodził się Giejdaj, dał Mitrofanowi swój znak, na dowód prawdy, i wysłannik przeprowadzony manowcami i kołową drogą przez Żbycha, dostał się na trakt główny. Powrotu jego miał oczekiwać Żbych, a gdyby Tatarzy uknuli jaką zdradę, Giejdaj zostanie zabity.

Już trzy dni oczekiwał Żbych na Mitrofana, aż czwartego dnia pod wieczór, usłyszał umówiony znak. Szybko wdrapał się na drzewo i czekał nadejścia wysłannika w milczeniu, gdyż Sywun kilkakrotnie uprzedzał go, aby niedowierzał Tatarom.

Ujrzał wreszcie Mitrofana, a za nim szło trzech wynędzniałych ludzi; pozwolił im przejść a gdy nie dojrzał nikogo więcej, zlął z drzewa, wydając umówiony okrzyk.

Podszedł do nich, a Mitrofan:

— Ot, wrócił się i przywiódł kogo obiecał... prowadźcie nas do kniazia.

Żbych nie wiedząc, który jest Mikołajem Grabiną, pokłonił się wszystkim i w milczeniu wiódł ich do jaskini.

Zapadła noc ciemna, spoczęli na chwilę, a gdy weszła pełnia, ruszyli dalej i stanęli przed jaskinią o wschodzie słońca.

Żbych pobiegł przodem, zbudził Rosława. Ten skoczył ku wyjściu i raczej przeczuł, aniżeli poznał ojca, któremu z płaczem padł do nóg.

Stary Grabina ogromnie się zmienił, postradał lewe oko, zmierzwiona broda siwa spadała mu na piersi, a ubrany był w łachmany ledwie trzymające się kupy. Na obnażonych miejscach widać było sińce i strupy.

— Synu mój... dziecko moje, — załkał ojciec przyciskając Rosława do siebie.

I Pakosław z Dąbia, niedawno taki dzielny, wesoły, uśmiechnięty, postarzał się, skurczył, wychudł, poczerniał i nie mówiąc słowa, wziął Rosława w objęcia i wybuchł głośnym płaczem.

Również czule witał bojar uwolnionego brata.

Gdy się uspokojono, rozwiązano więzy Giejdajowi i powiedziano mu, że jest wolny, a Mitrofan go odprowadzi.

Tatar wyprostował się, spojrzął z pogardą na wszystkich i zwróciwszy się do Mitrofana:

— Prowadź psie niewierny!

-- Największy wodzu, światło królów -- pokłonił się nisko, — nie trafię sam.

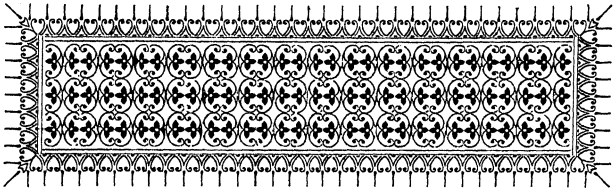
Bojar Sywun, obawiając się, aby Giejdaj nie naprowadził Tatarów, zbliżył się do Żbycha i szepnął:

— Wyprowadź ich manowcami, aby stracili wszelki ślad.

— Ja to wiem — odmrugnał gotując się do drogi.

Giejdaj niercierpliwym aż przytupywał nogami, a gdy ruszyli, spojrzawszy na pozostałych i spluwając zawołał:

— Psy!



V

Powrót.

Mikołaj Grabina zmęczony drogą, zgnębiony przebytą niewolą i cierpieniami, przywitawszy syna, poczuł wielką niemoc, i nie wziąwszy do ust, legł na miękkie z mchu posłanie. Za jego przykładem poszedł Pakosław z Dąbia i brat bojara Sywuna.

Rosław biedził się, gdzie i w jaki sposób dostać czystej bielizny i możliwego ubrania dla wydobytych z niewoli tatarskiej, aż wciągnawszy Sywuna na naradę, postanowili wysłać Nikłosza i Groma do puszczaków i od nich zażądać potrzebnych rzeczy.

Obydwaj, stęsknieni do swoich, żywo siedli na konie i pojechali.

Przez cały dzień i następną noc spali bez przerwy uwolnieni jeńcy, aż dopiero nad ranem zbudził się pierwszy Grabina, obejrzał się gdzie jest, wstał, umył się w pobliskim potoku i zbudził Rosława.

Poszedł z nim w las i kazał sobie szczegółowo opowiedzieć dzieje rodziny i zamku od chwili swego wyjazdu.

Gdy Rosław zaczął mówić o Rojcach, ojciec spojrział mu w oczy:

— Widziałeś ich?

— Widziałem, i... uwolniłem.

— Aby mnie o gwałt zaskarżyli, — rzekł z goryczą.

— Przysięgli na krzyż święty, że nie będą się prawowali, ani o gwałt, ani o nadwodzie nasze.

— Co?... Ustapili?

— Odprzedali nam prawa swe kupione od Odrowążów.

— Na piśmie?

— Książd Bonawentura spisał, a ja schowałem do skrytki.

Rosław wymienił cenę kupna.

— No, za gwałt, dworzyszcze, nadwodzie, a zwłaszcza że złapaliśmy Odrowążów... suma niewysoka. A co z nimi?

— Poszli obaj na wojnę, a ten Indrych Rojec bardzo przypadł mi do serca, i ojca kocha, i wolność, i wojnę, a nam chce służyć.

— Na wojnę, powiadasz... to i dobrze zrobiłeś... nie poznałem się na nich... trzeba będzie to zagodzić.

Gdy Rosław wymienił Wołodkę Izasławicza, Synowatego i Bukłaka, ojciec przystanął, schwytał go za ramię i zawołał:

— Zdradzili cię!... oszukali!...

— Tak jest, ojczu.

— Zawsze niecierpiałem tego psa Wołodki, a Bukłaka znam, chytry lis... a co za jeden Synowaty?

— Najgorszy z nich, cały z kłamstwa i podłości złożony, — odpowiedział Rosław gwałtownie.

— Zajechał cię, widzę... no, nauka ci nie zawadzi... Mów dalej...

Opowiadał o podejrzeniach Małgoszcza, Swochny, swoich; o gońcu książęcym z rozkazem robienia zasieków, o wysłaniu Chmury, napadzie i spisku bojarów, uwiadomieniu karła, wreszcie o ucieczce z Jewką i Swochną.

— Gdzie one?

— W puszczy, u osadnika Gąsiora, trzech jego synów było mi towarzyszami.

— Towarzyszami? — spojrzał mu w oczy, — Twoimi?... Grabiny?...

Na razie zmieszał się Rosław, lecz po chwili rzekł śmiało:

— Razem walczyliśmy, podchodzili Tatarów, cieszyli i głodowali, jakże mam ich zwać? Obiecałem im też sadybę i ziemię, chociaż nie prosili o to.

Ojciec uśmiechnął się zadowolony i głaszcząc jego jasne włosy:

— Udałeś mi się... takim cię lubię...

— Zrazu chciałem siostry zawieźć do Osieka, ale Osiek zniszczony, Sandomierz wyrznięty...

— Wiem, to przez zdradę Wasylka, brata Danyła halickiego, i Danyłowiczów Lwa i Romana. Nie ty jeden zawierzyłeś bojarom, i wojewoda Krempa i brat jego Zbigniew dali się oszukać, ale ty młody, niedoświadczony... a oni starzy wojownicy. Całe księstwo w ręku Rusinów sprzymierzonych z Tatarami. Łupią, rabują i rozpie-
rają się jak u siebie...

— W zamku naszym leżą chorzy Tatarzy, a miał tam obóz Ałłagan, który poszedł w Krakowskie.

— Skądże wiesz?

— Widziałem sam, gdyśmy podchodzili Giej-daja.

— Jakże to było? — spytał zaciekawiony, a gdy Rosław opowiedział: — któryż z twych towarzyszy był najsposobniejszy?

— Który?... To już Żbych, on nas prowadził w puszczy i boru... a w czasie pościgu uratował nam wszystkim życie.

— Gdzież on?

— W nocy powrócił odprowadziwszy Mitrofana i Giejdaję, i zaraz pojechał do puszczaków, aby przypilnować chłopców wysłanych po odzież dla was i Pakosława.

— Ano, wiem już wszystko... poczynaliście sobie dobrze i roztropnie... a Chmury nie spotkałeś w boru, albo nie doszły cię wieści o nim?

— Nie... obawiam się że go ogarnęli Kumani.

— Chyba nie.. broniłby się, i wartownicy z baszty posłyszeli. Szkoda Małgoszcza, westchnął,—ten był mi najmiłszy i najwierniejszy.

Podeszli do obozujących przed jaskinią i właśnie nadjechał Żbych z dwoma wysłanymi chłopcami, każdy z nich wioząc toboł.

— Nareszcie zrzuć te łańchany,—uśmiechnął się ojciec.

Po pewnym czasie wyszedł przebrany w odzież puszcza, w towarzystwie również przebranego Pakosława, a zwoławszy wszystkich rzekł:

— Pod wodzą mego syna, Rosława Grabiny, dokazaliście niemało zacnych czynów, godnych rycerzy. Nie ustawajcie jednak w rozpoczętym dziele, bo wprawdzie chwalebna jest rzeczą uwolnić jeńców z niewoli pogańskiej, ale chwalebniej-

sza będzie zasługą uwolnić nasze księstwo od wrogów, którzy je gnębią i niszczą. Nie przystoi nam, gospodarzom i dziedzicom tego kraju, tułać się po borach i niedostępnych jaskiniach, jako dzikie zwierzęta, gdy wróg nasz rozpiera się w naszych siedzibach; czeka was też niemałe zadanie, musicie bowiem, odebrać każdy zamek, każdy dwór, każdą siedzibę. Odbierzemy też z Boską pomocą i Żubrzyce. A jako was prowadził dotychczas szczęśliwie mój syn, on będzie i nadal stał na czele i jemu winniście posłuszeństwo, a cokolwiek wam przyrzeknie otrzymacie, i krom tego i ja nie zapomnę o waszych zasługach. Puszcza Żbycha zaś, za jego pilność i wierność, uwalniam po wsze czasy, oraz potomstwo, od wszelkich powinności i obdarowuję sadybą i włóka ziemi.

Żbych przypadł do nóg Mikołaja Grabiny, wołając z rozczuleniem:

— Panie! Dobrodzieju mój! Zbawco! Życie oddam za was.

Komes podniósł go z ziemi mówiąc:

— Bądź wierny i pilny.

Rostaw począł się wymawiać od dowództwa, ale ojciec przemówił surowo:

— Taka jest wola moja; — i z Pakosławem wsczał rozmowę o zdradzie Wołodki i zajęciu Żubrzyce przez bojarów.

Rosław pozostawiony sam sobie, wezwał, jak to dawniej czynił, bojara Sywuna i Żbycha na naradę.

Głównie chodziło na razie o to, aby się dowiedzieć, ile załogi jest na zamku Żubrzyckim i kto nią dowodzi.

Żbych pierwszy się ofiarował pójść do zamku pod pozorem zapytania, ile skórek sobolich i komu mają oddać puszczaczy.

— I powieszają was z miejsca, — zaśmiał się bojar, — bo i który poddany idzie do pana z prośbą, aby go obdarł?... to głupia myśl...

— Macież inny sposób bojarze? — spytał Rosław.

— Teraz po napadzie Tatarów, kto w zamku, ten czuje się bezpiecznym, ale żyć przecież musi, bo muru nie ugryzie. Wysyłają z zamku po żywność... tak ułapić takiego i wyśpiewa prawdę.

— Dobra myśl, — zawołał Rosław uradowany, — jeszcze dziś ruszymy pod Żubrzyce. Dobrze?

— Jeśli wola wasza, chociażby zaraz, — rzekł Żbych.

— Niechże gotują się do drogi... a ja pójde do ojca.

Ten pochwalił plan bojara i zawoławszy Żbycha:

— Za dużo ludzi zna tę jaskinię, pójde w Niedźwiedzi Dół, znasz?

— Wiem,— wskazał na południe.

— I tam was czekam.

Na tę wyprawę wprosił się też brat bojara Sywuna, przebrany w czystą odzież od puszcza-ków, i ruszyli z południa, umyśliwszy przenoco-wać w boru, a nad ranem zbliżyć się do Żubrzyce.

Zostawiwszy w jarze o świcie konie pod dozorem Nikłosa, sami pieszo poszli na górę, skąd było widać cały zamek.

Wschodzące słońce rzucało jasne światło na mury, na baszty, i dachówką kryty dach zamku.

Na samym wierzchu wielkiej, kwadratowej baszty, przechadzał się wartownik, rzucając spoj-rzenia leniwe to w tę, to w ową stronę. Chwilami nachylał się i rozmawiał z wartownikiem strze-gącym murów. Na rogu baszty powiewały dwa sztandary. Wyżej podnosił się buńczuk tatarski, ozdobiony końskim ogonem; niżej zwieszała się malinowa chorągiew ruska.

Zdawało się patrzącym że cały zamek śpi jeszcze. Wtem otwarła się brama wjazdowa, i na moście rzuconym przez głęboką fosę otaczającą zamek, zadudniły końskie kopyta.

Dziesięciu jeźdźców dobrze uzbrojonych wy-jechało z zamku, i na dany znak wszyscy ruszyli doliną rzeki Wschodniej, w kierunku jej ujścia do Wisły.

Jeźdźcy, mimo ciepła wiosennego, mieli barankowe czapki na głowie, szare, dość luźne kurty i szerokie spodnie, ujęte w kostce sznurami kierpców.

— To Rusini, — mruknął Sywun, — a na waszcie przysięgłbym, że jest albo Tatar, albo Chazar.

— Może i tak, — rzekł Rosław, — teraz idzie o wyśledzenie gdzie pojechali i po co?

Zbiegli w jar, dosiedli koni i znanemi sobie drożynami ruszyli ku Wiśle. Wszystkie sadyby i osady nad Wschodnią, niegdyś liczne, zastali spalone i puste, a nieporośnięte podwórza i czarne zgliszcza świadczyły, że burza zniszczenia przeszła tędy niezbyt dawno.

Już się miało ku zachodowi, gdy zbliżyli się do stromego brzegu Wisły i nagle Kot zawołał:

— Stój! — a po natężonem wsłuchaniu się dodał: — jakieś wrzaski...

Po chwili wszyscy postyszeli krzyki za gęstą ścianą lasu, zniżającego się ku Wiśle. Gdy podjechali bliżej, Rosław i bojar wysunięci najdalej naprzód, ujrzeni, że owych dziesięciu zbrojnych ze zamku, którzy widocznie prowadzili kilkanaście sztuk bydła, zostali napadnięci przez znaczniejszą jakąś kupę zbrojnych i po krótkim oporze poszli w rozsypkę. Dwóch Rusinów, ufając swym koniom, biegło traktem, dwaj inni ratując się, wpadli w las i natknęli się na oddział Rosława.

— Żywcem brać,—zabrział rozkaz, i w tejże chwili dwaj Rusini zostali obskoczeni i zanim się opatrzyli, rozbrojono ich i skrepowano.

— Uciekajmy, — radził bojar, — bo i nas tamci pochwyca.

Rosław chciał w pierwszej chwili uderzyć na owych zwycięzców, ale po krótkiej rozwadze odstąpił od tego zamiaru, gdyż bądź co bądź, oni byli mimowolnymi sojusznikami przeciw wspólnemu wrogowi ze zamku.

Zakneblowano jeńców, przywiązano do ich własnych koni i puszczone się w drogę powrotną.

W borze, gdy noc zapadła, rozłożyli się obozem, a zwolniwszy więzy i rozkneblowawszy jeńców Sywun zaczął ich pytać o ilość załogi.

— My nie nie wiemy, my prości słudzy, — odpowiedział niski, krępy chłop, ospowaty, z chytremi oczyma.

— A ty? — zwrócił się bojar do ładnego młodego blondyna.

— Ja w zamku niedawno, nic nie wiem.

Bojar spostrzegłszy, że jeden boi się drugiego, i dlatego nic nie chcą powiedzieć, kazał ich rozłączyć, i poprowadziwszy ospowatego w głąb lasu, zaczął pytać, a gdy ten upierał się, że nic nie wie, rzekł mu gniewnym głosem:

— Nie chcesz po dobroci... to cię połaskoczę, a potem obedrę żywcem ze skóry.

Sam bojar wygarnął żarzące się węgle, ułożył je w dwa rzędy, i polecił czterem towarzyszom, aby przywlekli do ogniska skrepowanego jeńca. Wówczas przemocą ułożył obnażone nogi pomiędzy rzędami węglów i narzucił na nagie ciało żaru. Jeniec wrzasnął, a bojar do niego:

— Zaraz będzie ci cieplej, — znów dorzucił węgla.

— Skażu wsio batku, no pomyłuj!

Bojar pozwolił mu cofnąć poparzone nogi i spytał:

— Ilu was w zamku Rusinów?

— Stu.

— Kto dowodzi?

— Książ Wołodko Izasławicz, pan i dziedzic Żubrzyć.

— A bojar Synowaty u was?

— Jest, ale jeszcze nie siada na konia, nie wylizał się z ran.

— A chodzi?

— On dowodzi ruskimi.

— No, a bojar Bukłak jest?

— Ten ma dozór nad żywnością i końmi.

— Na baszcie był dzisiaj Tatar, skąd się wziął u was?

— Tatarów jest dwudziestu, u nich klucze od bramy i baszty, ich jest zamek, bo tam leżą chorzy i ranni.

— A dużo chorych?

— Było więcej, teraz dziesięciu.

— Żywności macie dużo?

— Mówił bojar Bukłak że mało, i nas posłał po bydło... no napadli nas i rozbili.

— Widzisz głupi, gdybyś był zaraz powiedział, nie popiekłbyś sobie nóg, a ty skąd?

— Z pod Kijowa...

— Idź że chłopie do domu, bo jeśli cię spotkam w zamku, albo w lackim kraju, przysięgam ci na Preczystą Kijowską, powieszę bez litości.

Zostawiwszy go samego przy ognisku, poszedł do drugiego jeńca, który bez przypiekania potwierdził wszystkie szczegóły, powiedziane przez ospowatego.

— Jakże ty się zwiesz?

— Sydor.

— A skąd?

— Z pod Przemyśla.

— Czyjże ty?

— Bojara Kołyby, którego ubili pod Opolem.

— Kołyba! To mój kum, — zawołał Sywun, ucieszony, że spotkał chłopca ze swoich stron, i bez wielkiej namowy Sydor zwabiony nadzieją, że razem z bojarem wróci do swego kraju, wyrzekł się zamku i został sługą bojara.

Roslaw, dowiedziawszy się o sile załogi, o jej wodzach i Tatarach, zrozumiał, że odzyskanie

zamku nietylko w otwartej wojnie i oblężeniu jest niemożliwe, ale że gdyby się nawet wdarł ze swym oddziałem tajemnem wejściem, uległby przeważnym siłom.

Rozczarowany i przygnębiony nakazał naza-jutrz rano odwrót, i Żbych poprowadził oddział do Niedźwiedziego Dołu.

Ojciec wysłuchał szczegółów wyprawy i spytał:

— Czy dobrze widziałeś tych, którzy napadli nad Wisłą dziesięciu Rusinów?

— Sądząc z ubrań byli to osadnicy, którzy odbijali zabrane bydło, ale sprawnie się bili...

— Jako podwładny, wysłany na zwiady, postąpiłeś mądrze i ostrożnie. Pochwyciłeś dwóch Rusinów, dowiedziałeś się o siłach w zamku, i wróciłeś. Ale jako wódz, zbłądziłeś bardzo i musisz się poprawić.

Rosław, który sądził, że zrobił jak najlepiej wszystko co do niego należało, spytał chmurny:

— W czym ojciec zbłądziłem?

— Należało ci po schwytaniu dwóch Rusinów, zostawić ich pod strażą, a samemu trzeba było się dowiedzieć, kto napadał na nich? Za co? Ilu ich jest?... Oni przecież są twymi sojusznikami i mogą ci pomóc.

— Prawda, ojciec, nie pomyślałem o tem... wybiorę się jutro pod Żubrzyce, może będę szczęśliwszy.

— Jedź.

Nazajutrz znów pojechali tą samą drogą, a zostawiwszy konie w jarze, sami poszli na górę, aby rozejrzeć się w zamku.

Tam jednak było cicho, brama zamknięta, a wartownicy przechadzali się leniwym krokiem.

— Nic nie wypatrzymy dzisiaj, — rzekł znudzony Rośław, — pójdziemy nad Wisłę.

Ścieżka, wiedąca do jaru, była stroma i wąska, szli więc gęsiego, a prowadził ich Żbych.

Gdy doszedł do łączki leśnej w jarze, na której miał czekać Nikłosz, Żbych, nie widząc koni, zawołał:

— Pewno pogań napoić, — i spokojny usiadł w zacienionem miejscu, a inni poszli za jego przykładem.

W chwili gdy wszyscy spoczęli, obskoczyli ich zbrojni ludzie, zaś jeden z nich rozkazał:

— Żywcem brać!

Porwali się ze swych miejsc, ale było już zapóźno, tylko Rośław zdążył wyjąć koncerz z pochwy, a oparłszy się plecami o gruby pień, zaczął się bronić.

Przyskakiwali ci i owi, lecz odparci i ranieni koncerzem, ustępowali, i znów dowodzący zawołał:

— Sznury zarzucić!

I stała się rzecz dziwna dla świadków tej nierównej walki, Rosław spokojnie opuścił koncerz, spojrział wokoło i krzyknął:

— Chmura! nie poznajecie mnie? — po głosie bowiem dorozumiał się, że Chmura to był i że przez omyłkę wziął go za wroga.

Chmura z okrzykiem radości odrzucił broń i stając wyprostowany, zapytał:

— Co rozkaże wasza wielmożność?

— Przedewszystkiem puście moich towarzyszy, i podajcie mi rękę... szukałem was i znalazłem.

— Hej, chłopcy! — zawołał Chmura, — konie sprowadzić, wszystkich puścić i ugościć... to nasz pan i dziedzic Żubrzyć! Niech żyje!

Zagrzmiały okrzyki, a echo poniosło je daleko na bory, na lasy.

Oddział Chmury, liczący dwudziestu ludzi, miał znaczne zapasy żywności, rozniecono wielkie ognisko i w czasie rozmowy dowiedział się Rosław, że w dniu zdraдлиwego zajęcia zamku, Chmura słysząc wrzaski Kumanów, zebrał swych ludzi i począł przekradać się do zamku; spostrzegł jednak że Kumani prowadzeni przez Meruna, zaufanego gońca Synowatego, obsadzili wszystkie drogi do zamku wiodące i byli w ciągłej gotowości do walki. Domyślił się, że czatują na niego, uszedł więc ze swymi ludźmi w głąb puszczy.

— Szkoda Małgoszcza, — westchnął Rosław.

— On żyje, — zawołał Chmura, — i dowodzi jednym oddziałem w stronie Wisły, a ja drugim w stronie Sandomierza i Wiślicy.

Ze szczerą radością dowiedział się Chmura, że starszy pan i dziedzic Żubrzyce żyje, uwolniony z niewoli tatarskiej.

— Cóż teraz zamierza uczynić wasza wielmożność? — spytał Chmura.

— Zdobyć zamek.

— I my z Małgoszczem przemyślimy nad tem, ale pilnują się psie syny, i załogę mają silną, a co raz uzupełniają ubytki, uciekającymi od Tatarów Rusinami.

— Może coś i poradzimy, — mówił Rosław z namysłem, — wpierw jednak chciałbym się zobaczyć z Małgoszczem.

— Dziś jeszcze, jeśli taka wola waszej wielmożności.

— Dobrze... a kto napadł onegdaj dziesięciu Rusinów nad Wisłą?

— Małgoszcz... czterech ubił, a reszta uciekła.

— Nie wszyscy, — uśmiechnął się Rosław, — bo dwóch schwytaliśmy.

— To wasza wielmożność był wówczas w lesie?

— Ja... albo co?

— Szukałem śladów, znalazłem, no i w jareze urządziłem zasadzkę.

— Dobrze żeście mnie nie ubili...

— Gdzieżby znów, — zawołał Chmura, — wpieryw chciałem języka zasięgnąć, a dopiero powiesić.

— Ładny koniec, — śmiał się Rostaw.

Na pytkach byłoby się wszystko wyjaśniło, i wasza wielmożność byłby wolny.

Tak rozmawiając jechali ku Wiśle, a Chmura przodem posłał swoich, aby szukali Małgoszcza.

Już słońce miało się ku zachodowi, gdy Małgoszcz nadjechał ze swoim oddziałem, a Chmura wołał zdaleka:

— Bywaj! Bywaj! Odzyskaliśmy pana naszego!

Małgoszcz nie chciał swym oczom wierzyć, dotykał Rostawa, uściskał, rozplakał się i mówił:

— A my sądziliśmy, że wasza wielmożność jęczy w lochach... i stał się cud... jakim sposobem?

— Borys, karzeł ciotki, uprzedził mnie i zdołałem uciec w czas... a nie mogłem was uprzedzić, bo Kumani wpadli przez bramę.

— Dobrze że wasza wielmożność się nie narażałeś... a gdzie siostry?

— W bezpiecznym miejscu, w puszczy.

— Dopiero jego miłość, ojciec, cieszyłby się z takiego syna, — westchnął.

— Ojciec wyswobodzony z niewoli, jest w puszczy z panem Pakosławem z Dąbia.

— Boże Najwyższy... to jeszcze moje oczy będą go oglądały, — zawołał stary z rozczczeniem.

— W zamku, Małgoszczu... i dlatego w pierw musimy zdobyć Żubrzyce.

— Hm... zdobyć... iluż nas jest?

Po obliczeniu okazało się, że wszystkich razem jest sześćdziesięciu.

— Niepodołamy, — westchnął Małgoszcz, — zamek obronny, dobrze zaopatrzony i załoga silna.

— Wy obaj doświadczeni, rozważcie więc moje słowa, — zaczął Rosław. — Rusini zabrani przez nas zeznali, że w zamku nie staje żywności... trzeba tedy osaczyć tak Żubrzyce, żeby do nich żadna żywność się nie dostała, a! każdego wysłańca musimy schwytać. W ten sposób ogłodzimy ich i zamek muszą opuścić.

— No, tak, — przemówił Małgoszcz z namysłem, — tylko skoro od Tatarów i Rusinów nie będzie żadnych wiadomości ze Żubrzyce, przyjdą im inne oddziały w pomoc, i w ten sposób tylko! wzmocnią się Żubrzyce. Zresztą zamknięci w zamku, mogą żyć długi czas koniną.

Rosław uznał zupełną słuszność uwag Małgoszcza i po chwili spytał:

— A co wy zamysłacie zrobić, aby zamek odebrać?

— To co wasza wielmożność radził o opasaniu zamku, jest najlepsze w naszym położeniu... urwać co się da i ciągle niepokoić, to ich znuży. Pomyślą, że to łotrzyki nastają na nich, zwolnią w stróżowaniu zajęci złowieniem rabusiów, wówczas napadniemy i zamek odbierzemy.

— Najlepszy to sposób i rada na nich — mówił z uznaniem Chmura, — wstępnym bojem nic nie zrobimy.

Rostawowi jednak ten plan nie bardzo się podobał, gdyż odwlekał na czas nieograniczony zdobycie zamku; nie wiedział wprawdzie jak zaradzić zwłóce, przemyślał o tajnym wejściu, ale bez przyzwolenia ojca nie śmiał nawet wspomnieć o tem.

— Zapewne rady wasze są najlepsze wobec szczupłości naszych sił, — rzekł Rostaw, — muszę jednak zasięgnąć zdania ojca i chciałbym, abyśmy wej trzech pojechali do niego. Ja mam dobrych zastępców w oddziale, Żbycha i bojara Sywuna, a wy, macie?

— To się wie, — uśmiechnął się Chmura.

Nazajutrz skoro świt, rozdzielili cały oddział na trzy części, wskazawszy dokładnie gdzie mają stać i czego pilnować, a sami ruszyli do Niedźwiedziego Dołu.

Stary pan z wielkiem rozradowaniem witał Małgoszcza i Chmurę, szczególnież zaś Małgoszcza,

którego miał być za straconego. Odrazu też zasiedli na naradę.

Mikołaj Grabina wysłuchał spokojnie słów Rosława i Małgoszcza, a gdy skończyli, rzekł:

— Opasanie zamku jest pożyteczne i potrzebne, ale to dopiero połowa zadania, a druga polega na tem, ażeby ich załogę wywabić z murów. Gdy wam się to uda, zamek będzie w naszym ręku, dajcie mi tylko w czas znać, gdy załoga wyjdzie.

Milczeli jakiś czas, wreszcie Małgoszcz:

— Myślę, że chyba nam się to uda zrobić, aby załoga wsiadła nam na kark... ale ilu wyjdzie przeciw nam, nie wiadomo, może trzydziestu, może pięćdziesięciu, gdyż dotychczas co najwyżej dwudziestu posyłałi po żywność.

— Nie jestem na miejscu i radzić nie mogę, Rosław, jako dowódzca, powinien znaleźć sposób.

— I postaram się, mój ojcie.

— Nie uda się tobie, stanę sam na czele... mamy czas, teraz wiosna, i milej w puszczy aniżeli w zamku.

Po powrocie do oddziału, opasano zamek bardzo szczelnie a w sposób niewidoczny, tak że Wołodko upewniony o spokoju, wysłał piętnastu zbrojnych po żywność.

Napróżno jednak przez kilka dni wyczekiwano w zamku ich powrotu, ani świadek kłęski nie wrócił, napadnięci bowiem przez połączo-

ne oddziały Chmury i Małgoszcza, wszyscy dali gardło.

To wstrzymało Wołodkę od niepotrzebnego marnowania ludzi, i jak przewidywał Małgoszcz, żywili się w zamku koniną, czekając na znaczniejszy oddział, który miał przeprowadzić Tatarów w Krakowskie.

Mijał już tydzień, a położenie tak obleżonych, jak i oblegających w niczem się nie zmieniało.

Rosław rozdrażniony tem niepowodzeniem, już umyślił prosić ojca o objęcie dowództwa, lecz przedtem wezwał Żbycha i bojara Sywuna na ostatnią naradę.

— Wyjeżdżam, was obu zostawiam jako zastępców, — mówił Rosław, — pilnujcie, aby nikt nie wyszedł, nikt nie wszedł do zamku bez waszej wiedzy, a z tamtymi oddziałami bądźcie w ciągłej łączności.

— A gdyby wyruszyli całą siłą na nas, gdzie mamy iść? — spytał bojar.

— Tego właśnie pragnę, — westchnął Rosław, — ale oni się pilnują.

— Dlaczegoż nie powiedzieliście mi o tem, — zaśmiał się bojar, — ja znam ruskich i wiem na nich sposób.

— Wiecie? Możecie? — zawołał Rosław rozpromieniony, — mówcie!

— Zaraz wam powiem... Zbierzcie razem trzy oddziały, podjedziemy pod zamek, nawymyślamy im od ostatnich psów, i pójdziemy w las, w dogodne do obrony miejsce... wówczas ja ich sprowadzę, chociażby całą załogę.

— I pewni jesteście, bojarze?

— Jak pragnę ich zguby... no i tak zamku nie dobędziecie, bo zostaną Tatarzy, a na nich dwudziestu, trzeba naszych dwustu.

— Byle załogę wywabić, — uśmiechnął się Rosław, — zamek się podda.

— Co to, to nie... ja znam Tatarów, ale to wasza rzecz.

Stosownie do rady bojara połączone oddziały zbliżyły się do zamku i rozpoczęły się wzajemne wyzwiska, klątwy, naśmiewania, aż wreszcie na dany przez Rosława znak, oddziały cofnęły się w głąb lasu.

Gdy przystanęli, zaprosił Rosław Małgoszcza, Chmurę, i wezwał bojara Sywuna:

— No, bojarze, zrobiliśmy wszystko według waszej rady, teraz sprowadźcie załogę.

— Zrobię i to... zaczekajcie.

Po chwili wrócił ze Sydorem, wziętym nad Wisłą w niewolę i rzekł do niego:

— Słuchaj Sydorze, czy chcesz wrócić do swego kraju?

— Oj, bojarze... strasznie mi tęskno.

— Otóż, nietylko ja, ale i sam książę, — wskazał na Rosława, — obiecuje obdarować cię, dać konia, i razem pojedziemy w Przemyskie, jeśli spełnisz co ci każemy.

— Wszystko... tylko mówcie.

— Książę zabrał Tatarzy zamek, wypędzili go jak żebraka, a pomagał im Synowaty, który cię kazał wysmagać bez twej winy.

— To nie człowiek, to gorzej psa, — mruknął Sydor z nienawiścią.

— Otóż dziś go ukarzymy... idź na zamek, powiesz, że uciekłeś od nas, gdyśmy podeszli do Żubrzyc. Spytają się ciebie ilu nas. Powiesz, że stu dwudziestu Lachów, że boimy się ich wojska, ale że oni nie wychodzą tośmy bezpieczni i że nocujemy w lesie, a ty naprowadzisz ich na nas.

— Gdzież wy będziecie? — spytał Sydor.

Bojar spojrział na Rosława, który po namyśle rzekł:

— W pobliżu Wilczego Jaru... wytłomaczcie mu drogę Małgoszczu.

Ten powiedział i pokazał drogę, gdyż słońce jeszcze nie zaszło; a gdy Sydor wrócił z Małgoszczem, zaprzysiął go bojar.

Ubrano Sydora w podarte odzienie i puszczono wieczorem pod zamek.

Rosław przez Żbycha uwiadomił ojca o prawdopodobnem wyruszeniu załogi zamkowej w dniu jutrzejszym.

Po północy przyjechał do obozujących Mikołaj Grabina, rozporządził, aby Chmura jak najdłużej zabawił załogę, ale w bitwę się nie wdawał. Zaś Małgoszcz z dwudziestu ludźmi, ma krażyć w bliskości zamku i pilnie zważać na bramę, a skoro ujrzy otwartą, niech doskoczy i wpaśnie w dziedziniec.

Sam zaś z Pakosławem, Rosławem i dwunastu dobranymi ludźmi, przeważnie z oddziału Rosława, poszedł w głąb lasu, i zabroniwszy rozpalenia ogniska, nasłuchiwał napadu na oddział Chmury.

Już było dobrze po wschodzie słońca, gdy postyszano wrzask napadających, wówczas Grabina szybko poprowadził swój oddział do znanego sobie wejścia chodnikowego, którym cicho i spiesznie posuwali się ku zamkowi.

Gdy Grabina zmiarkował po leżących skórach bliskość otworu, kazał wszystkim się zatrzymać, a sam z Rosławem poszedł przodem.

Ostrożnie obrócił kamień na zawiasach, odsunął płytę drewnianą, i wraz z Rosławem wszedł do pustej izby, która, jak widać było z postania i zawieszanej broni, była mieszkaniem Tatara.

Zasunął płytę drewnianą, zarygłował drzwi, szczelnie zasłonił okno izby, i dopiero wtedy wyrzwał na kurytarz, który był pusty.

Skinął na Rosława i obaj pozasuwali ryglami wszystkie drzwi, wychodzące na kurytarz, z innych izb. Wówczas wrócili obaj do pierwszej izby, ojciec odsunął płytę, zawołał na stojących w chodniku i przeprowadził ich szybko na kurytarz.

— Jesteśmy w zamku, — rzekł z uśmiechem zadowolenia. — Ty, Rosławie, ze Żbychem, pilnujcie drzwi wejściowych, każdemu śmierć kto wejdzie... a my ruszamy na bramę... topory gotowe?

— Są.

Zwolna otworzył drzwi od dziedzińca, wyszedł pierwszy i zawołał:

— Biegiem!

Skoczyli. Rosław usłyszał krótki krzyk, i potem łoskot uderzeń toporów.

Na dziedzińcu panowała względna cisza, i dopiero po chwili, wywabieni niezwykłym hałasem u bramy, wyszli z bocznego skrzydła, od strony kuchni, Synowaty i Wołodko, a pierwszy narzekał gniewnym głosem na kłótność straży.

I tuż wpadł Małgoszcz ze swym oddziałem i bez oporu pochwyił obu oszołomionych napadem.

Zwycięzcy wpadli do izb, a że poprzednio otrzymali rozkaz Małgoszcza, aby nikogo nie żywili, rozpoczęła się rzeź.

Pierwsi ocknęli się z nieczynności Tatarzy, i zwoławszy się gwizdaniem, oparali tyłem o mur, zaczęli się bronić zażarcie.

Spostrzegł bojar Sywun, że zwyciężenie Tatarów będzie dużo krwi kosztowało i skinął na brata. Cicho otworzyli drzwi wiodące na basztę, strącili strażnika i nagromadzonemi kamieniami zaczęli razić broniących się pod murem Tatarów.

Wzięci we dwa ognie Tatarzy, wkrótce ulegli, i w zamku prócz zwycięzców, pozostali żywymi tylko Wołodko i Synowaty; Bukłak bowiem z Merunem poprowadzili załogę na Lachów.

Małgoszcz objął zaraz zarząd zamku, kazał otworzyć spiżarnię, magazyny, piwnicę i raczył zwycięzców.

Jednak Mikołaj Grabina w obawie, że ludzie mogą nadużyć trunków, pozwolił im jedynie piwa, i zaraz po posiłku kazał uprzątnąć trupy, ustawił straż przy bramie i na baszcie.

Bojar Sywun, przysłuchując się tym rozkazom, rzekł z cicha do Rosława:

— Szkoda że komes na baszcie nie postawił Tatarów... Bukłak pozna, że zamek wzięty.

Pobiegł Rosław do ojca i uprosił zmianę warty; przebrany za Tatara, pełnił jeden z ludzi służbę.

Pod wieczór zbliżył się do zamku Bukłak, jadący z Merunem na czele dwudziestu ludzi, resztę bowiem zostawiono w boru, aby pochwycili Chmurę z jego oddziałem.

Zatrąbił Bukłak, i stosownie do rozkazu Grabiny, wpuszczono ich w dziedziniec; tu, gdy już zsiadli z koni, wpadnięto na nich i bez dłuższej walki rozbrojono i skrepowano.

Na drugi dzień, Grabina zasiadł na wysokim krześle w dziedzińcu, kazał zwołać wszystkich, a gdy stanęli półkolem, wprowadzono okutych: Wołodkę, Synowatego, Bukłaka i Meruna. Za nimi stali w rzędzie, skrepowani Rusini.

— Słuchajcie! — zaczął Mikołaj Grabina, — ten oto Wołodko Izasławicz, brat mojej nieboszczki żony, wszedł jako gość do zamku i zdradził. Czy zasłużył na śmierć?

— Śmierć! — odmrugnęto.

Wołodko blady, z kroplami potu na czole, padł na kolana, jęcząc:

— Pomyłujcie! Pomyłujcie!

— Warł jest śmierci, ale że on krewny moich dzieci, skazuję go tylko na obcięcie uszu i napiętnowanie, — skinął ręką i jęczącego, słaniającego się Wołodkę odprowadzono.

— Bojar Synowaty, za udzieloną gościnność zapłacił zdradą, a do współpracy z Merunem sfałszowali rozkaz księcia Bolesława i naprowadzili Kumanów. Czy winni są śmierci?

— Powiesić! Powiesić! — krzyknięto.

— Pozwólcie Komesie, że powiem kilka słów na moją obronę. Miałem u Tatarów żonę i dzieci, obiecano mi wolność, gdy lackie zamki oddam bez walki. Wołodko namówił mnie na Żubrzyce, nie chciałem, ale on nakłamał przed Ałaganem, zmusił mnie do tego... Więc nie moja wina... Co do fałszywych wieści, nie mój to był pomysł ale Wołodki i Bukłaka...

— Kłamiesz, — krzyknął Bukłak — ty sam uczyłeś Meruna, ty sam dałeś mu zrabowany pierścień na znak prawdy. Czy nie tak Merun?

— Tak i było, — skinął głową Merun.

— I ja wnoszę skargę na Synowatego, — wystąpił bojar Sywun, — on Rusin, a był naj-sroższym dla Rusinów, poginęło ich setki, bo fałszywie oskarżał, fałszywie zeznawał przed Tatarami... Śmierć mu!

— Śmierć! Śmierć!

— Na stryczek z nim i z Merunem, — zawołał Grabina.

Nikta zbliżył się, zarzucił jednemu i drugiemu pętlicę na szyję i odprowadził ich do więzienia.

— Bojar Bukłak oskarżony jest o zdradę dokonaną wspólnie z Izasławiczem i Synowatym, prócz tego zabił obuszkiem siostrę Wołodki Izasławicza za wypuszczenie z izby mych córek. Za zdradę i zabójstwo skazuję cię na śmierć.

Muroń, wykrzywiając swą twarz do ohydneho uśmiechu, zarzucił pętlę na gruby kark Bukłaka i poprowadził go.

— Teraz wy, — zwrócił się do Rusinów, — pomagaliście zbójom, łupiliście kraj, mordowaliście niewinnych osadników, pastwiliście się nad bezbronnymi...

— Śmierć im! Śmierć! — zawołano dokoła.

W tej chwili szybko podszedł do siedzącego Grabiny bojar Sywun i zawołał:

— Wstrzymajcie się zacny komesie! Co sprawiedliwe, to sprawiedliwe... Słusznie skazaliście tamtych... dlaczegoż mają cierpieć wykonawcy rozkazów. To są przecież żołnierze, kazano im palić i niszczyć, spełniali rozkaz. Wspomnijcie komesie, że gdy Wołodko was zdradzał, w tym samym czasie Iwan Izasławicz poszedł na pomoc waszemu księciu w sto koni. Staraniem Mitrofana Rusina zostaliście uwolnieni tak szybko z niewoli. Przy pomocy Sydora opanowaliście zamek, i ja, chociaż Rusin, szczerze wam sprzyjałem i pomagałem... Po cóż ten rozlew krwi niewinnej...

Oddajcie mi tych Rusinów, a będą najszcześliwsi gdy wrócą spokojnie do swego kraju.

Mikołaj Grabina patrzył chmurny to na bojara, to na Rusinów skrepowanych, wtem wystąpił Rośław:

— Mój ojcie, zechciejcie wysłuchać łaskawie prośby bojara Sywuna. On służył mi radą i skuteczną pomocą w sprawie uwolnienia was ojcie, i w zdobyciu zamku. Czemże mu się odwdzięczę? nie pieniędzmi, nie darami, ale przyjaźnią, i jeśli mogę ucieszyć go uwolnieniem Rusinów, proszę cię ojcie uwolnij ich.

Mikołaj Grabina rozjaśnił twarz chmurną i rozkazał:

— Zdjąć więzy, nakarmić i napoić!

Uwolnieni Rusini wzniesli gromki okrzyk na cześć Grabiny i bratali się z żołnierzami z którymi tak niedawno walczyli.

W tej chwili odezwały się rogi z zewnątrz zamku, a po haśle poznano, że to Chmura zbliża się do bramy.

Wpuszczono go wraz z oddziałem. Ustawwszy swych ludzi w ordynku wojennym, zbliżył się do Grabiny i meldował:

— Ani jeden z naszych nie zginął, a Rusini uszli w stronę Lublina.

— Nie następowaleś na nich? — spytał surowo.

— Wynieśli się tak cicho dzisiejszej nocy, że tylko po śladach poznałem kędy ruszyli... Przypuszczam, że zwiedzieli się o wzięciu Żubrzcyc i ratowali się ucieczką.

— To dobrze. Spocznij i zwolnij ludzi. Dawne swe obowiązki obejmiesz dzisiaj.

— Słucham waszej miłości, — i skłoniwszy się poszedł.

Grabina po obejrzeniu zamku i szkód zrobionych, usiadł w izbie i kazał zawołać Rosława do którego rzekł:

— Odebraliśmy dziedzictwo nasze i ukaraliśmy grabieżców, należałoby uczcić ten dzień. Jak myślisz Rosławie?

— Wasza wola ojciec... ale...—i umilkł.

— Jakże ale?

— Do radości naszej brak nam jednak Jewki i Swochny.

— To chciałem posłyszeć z ust twoich, — uśmiechnął się przyjaźnie, — bo zmarnieje ten ród, który nie pamięta o krwi swojej.

— Już od rana przemyślałem nad sprowadzeniem ich. Wziąłbym Żbycha i puszczaków ze sobą, znają drogi, to w jednym dniu przystawię je tutaj.

— Iluż masz puszczaków?

— Dziesięciu.

— Hm... doberz sobie jeszcze pachółków zbrojnych pięciu, bo czasy niespokojne.

— W puszczy? — zaśmiał się, — a który z napastników śmiałyby się w nią zapuszczać?

— Ostrożność nie zawadzi... weźmiesz pięciu... a nie zapomnij o odzieży dla nich... i Gąsiorowi zawieź podarunek stosowny, zanim się odwdzięczymy.

— Dobrze ojcze... przywiozę je zdrowe i wesole.

— I ja tak tuszę... kiedyż w drogę?

— O świtaniu.

Zaledwie na wschodzie zaczęło niebo blednąć, a świt perłowy dotknął szczytów, gdy w dziedzińcu zamkowym wszczął się ruch. Opatrywano broń, siodłano konie, a gdy niebo poczęło się rumienić, piętnastu zbrojnych pod wodzą Rostawa wyruszyło. przez bramę i wkrótce zagłębiło się w ciemną puszcę.

Szli wesoło, ze śmiechami i żartami, a gdy ptactwo leśne rozśpiewało się, dali i oni folgę swej wesołości i puszcza zabrzmiała ich śpiewem. Wracali do swych domów zwycięzcami, każdy obdarowany hojnie, nic dziwnego że śmiał się do nich cały świat.

W pobliżu osady leśnej znów huknęli śpiewem, i widocznie poznano ich po głosach, bo niemal cała osada wyszła na ich spotkanie.

Spoczęli tu i obiadowali, a ojciec Nikłosza siwy ale czerstwy puszczak, przywitawszy się ze Żbychem, mówił:

— Dobrze, że przyjechaliście dzisiaj, będzie nam bezpieczniej z wami.

— Albo co? — spytał Żbych, jedząc pieczone mięsiwo.

— Wczoraj dostrzegli koniuchy trzech skradających się łotrzyków. Poszukaliśmy śladów i znaleźliśmy... poszli w stronę traktu. Dziś w nocy będziemy stróżowali, bo лихо nie śpi.

— A koniuchy nie dostrzegli ich co za jedni? — dopytywał się Żbych zaciekawiony.

— Tyle wiedzą, że nie nasi, jak wymiarkowali z ubrania.

Żbych podszedł do siedzącego opodal Rosława i opowiedział o podejrzanem skradaniu się.

— Warto by ich przychwycić, — uśmiechnął się Rosław — zostawię wam połowę, a sam w siedem koni pojedę do Gąsiora po siostry.

— Dziękuję waszej wielmożności w imieniu osady, bo w chatach sami starzy i niewiasty, przydadzą się chłopcy... ale co do mnie, to pojedę z waszą wielmożnością i do Gąsiora, i odprowadzę do zamku, taka była wola jego miłości ojca i muszę być posłuszny.

Nie w smak była Rosławowi ta opieka nieustanna, ale powaga ojca była tak wielka, że po chwili rzekł z westchnieniem.

— Pojedziemy tedy razem... kaźcie konie gotować do drogi.

Wyruszyli z południa w osiem koni, a gdy minęli osadę, owionął ich zapach żywiczny boru i tysięcy kwiatów. Z powodu żaru południa jechali w cieniu olbrzymich świerków i dębów, unikając słonecznych polan, rojących się od kwiecia i rozbrzmiewających brzęczeniem pszczoł i owadów.

Cicho podjechali do zagrody Gąsiorów, a Rosław, jadący na przedzie, dojrzał w cieniu lipy Swochnę, usypiającą najmłodszą dziewczynkę Gąsiorów tęsknym śpiewem, dziwnie harmonizującym z lekkim poszumem puszczy.

Z obory wyszła Jewka ze skopcem w ręku, pomagała bowiem gospodyni w gospodarstwie.

Rosław nie mógł opanować swej radości i zeskakując z konia zawołał:

— Swochna!

Przez sekundę nasłuchiwała zdumiona, nagle porwała się z miejsca i raczej przyfrunęła, aniżeli przybiegła do Rosława, mówiąc:

— Tyżeś to?

— Jam ci jest, — uśmiechnął się ściskając siostrę.

Dojrzała ich Jewka i ze skopcem w ręku dobiegła wołając:

— Witaj mi, witaj! Dzisiaj śniłeś się Swochnie i byłam pewna że przyjedziesz.

— A co z ojcem? — spytała Swochna.

— Czeka was w zamku.

Swochna załamała ręce ze zdumienia, a Jewka chwyciła się rękami za głowę, mówiąc:

— Prawdę-li powiedziałaś?... Cud się stał czy co?

Ale Swochna wpatrując się w rozpromienioną twarz brata, rzekła:

— To ty uwolniłeś? Prawda?

— Opowiem... wpierw dajcie mi pić, bo spieka i okrutniem spragniony.

Z chaty wyszedł Gąsior ze żoną i jęli zapraszać gorąco, aby wstąpił do chaty i nie gardził ich poczęstunkiem.

Gdy zasiedli do pełnych mis, poczęły się opowiadania o wszystkich niezwykłych wypadkach od czasu rozstania się w puszczy, aż do odzyskania Żubrzyc. I ani się opatrzyli, że słońce zniżyło się ku zachodowi, a w boru wzmagala się szarzyzna pod gęstem ulistnieniem drzew.

Za poradą Żbycha i Gąsiora zdecydował się Roślaw na nocleg. Wyruszyli nazajutrz, już w biały dzień, przeprowadzeni przez Gąsiora, udarowanego czterema krowami i parą koni.

W południe zajechali do osady leśnej, i tu dowiedział się Żbych, iż nocną porą zbliżyli się byli jacyś ludzie do chat, ale przepłoszeni przez stróżujących znikli w gęstwinie leśnej.

— Możeby wasza wielmożność dobrał kilku naszych, — doradzał Żbych, — bo snąc włóczą się kupy łotrzyków.

— W siedmiu damy im radę, — uśmiechnął się Rosław, — zresztą dojedziemy za dnia do zamku.

— Zawsze byłoby bezpieczniej, — upierał się Żbych.

— O co idzie Rosławie? — spytała Swochna ubrana strojnie i barwnie podobnie jak i Jewka.

— Jacysź zbójnicy napastują osadę, a Żbych obawia się o nas.

— Czyż ośmielą się napadać na nas? — zaśmiała się, — was zbrojnych jest siedmiu, w potrzebie i my pomożemy, — i patrząc na uzbrojenie brata dodała: — daj mi Rosławie puginał... będzie mi raźniej z bronią.

— Ja wolę liczyć na twój koncerz, — zaśmiała się Jewka.

Rosław odpiął puginał i wręczając Swochnie rzekł:

— Ostrożnie bo ostry.

— Tem lepszy do obrony, — uśmiechnęła się.

Wyjechali dość wcześnie z osady, bo na zachodzie gromadziły się czarne chmury.

Im dalej zapuszczali się w bór, tem bardziej wzmagala się duszność powietrza, a chociaż wolno jechali, konie okryły się potem i dyszały ciężko.

— Lżej byłoby nam traktem, — rzekł Rosław, — prowadźcie Żbychu.

— Nakładamy kęs drogi.

— Traktem szybciej pojedziemy.

Lecz nim dotarli do traktu zerwała się wiosenna burza. Zaszumiał bór, posypały się słabsze gałązki. Było to jednak pierwsze próbne uderzenie wiatru po szczytach drzew, wkrótce uderzył wiatr powtórnie. W boru roległ się jęk łamanych konarów, trzeszczenie drzew, poświst dziki wichru, który wdarł się poniżej konarów i wstrząsał drzewami.

Nagle gdzieś w oddali zagrzmiało przeciągle i piorun padł, a bór powtórzył stokrotnie przemożny trzask. Wichur i ulewa jak gdyby na dane hasło, rzuciły się wściekle na puszcę. W około ściemniało, i rozległy się łomoty, trzaski, przeraźliwe zgrzyty gnących się i łamiących drzew.

Wstrzymali konie pod gęstą osłoną konarów dębowych. a dziewczęta jęły szeptać pacierze.

I jak zwykle bywa z wiosenną burzą, wkrótce zabłysło słońce i ruszono raźniej ku traktowi po ośliszej ziemi.

Słońce miało się już ku zachodowi gdy wjechali na trakt.

Swochna, która jechała tuż za Rosławem, zaniepokojona spojrzała na prawą stronę ściany leśnej i dopędziwszy brata szepnęła:

— Tam, — wskazała oczyma na prawo, — słyhać tupot koński i mignął mi się człowiek.

Rosław spojrział i wzruszając ramionami:

— Przywidzenie, — uśmiechnął się.

Ale i Żbych coś zmiarkował, bo dobiegł i rzekł:

— Wasza wielmożność, tam ktoś się przyczaja.

Rosław wstrzymał konia i zawołał:

— Broń w rękę... a wy, Jewko i Swochno, bliżej do mnie i Żbycha.

Zaledwie wydał te rozkazy, gdy nagle ze wszystkich stron wyskoczyli zbrojni, dziesięciu pieszych a dziesięciu konnych, i rzucili się na jadących z okrzykiem:

— Na pohybel!

Wobec swej przeważającej siły nie nacierali zbyt ostro, pewni wygranej.

Okolo dwóch sióstr skupili się obrońcy, a mając łuki suche zaczęli szyc strzałami.

Walka trwała, aż wreszcie dowódzca watahy zniecierpliwiony oporem, postanowił uderzyć kupą w garstkę broniących się, gdyż jeden orężny ranny padł na ziemię, a pod drugim ubito konia.

Uderzenie było tak silne, że rozerwało na dwie części napadniętych, a Jewkę poniósł koń w stronę piechurów, którzy korzystając z tego, konia przytrzymali, Jewkę wzięli między siebie i skrępowali.

Rzucił się Żbych na pomoc, lecz zaplątał mu się koń na trupie i padł.

Dowódzca watahy widząc strój Swochny, domyślił się, że musi być ona z bogatego rodu i postanowił wziąć ją także do niewoli. W chwili gdy Rosław był zajęty obroną własnego życia, poskoczył i pochwycił w pół Swochnę ściągając ją z konia: ta korzystając ze sposobności odsłonięcia się jego piersi, gdy po nią wyciągnął rękę, pchnęła go pugiuałem w serce. Padł z konia bez jęku, czem podnieceni napastnicy rzucili się zjadle na Rosława.

Zdawało się Rosławowi i innym obrońcom, że teraz zbliżyła się ich ostatnia godzina. Skupili się postanawiając sprzedać drogo swe życie.

Wtem nagle z głębi traktu posłyszeli cwał koni i okrzyk:

— Bij! Zabij!

Czterech jeźdźców z podniesionemi szablami wpadło najpierw na piechurów, którzy pierzchli zostawiając na ziemi skrępowaną Jewkę.

I gdy trzech inni poleciali na pomoc walczącym, jeden z jeźdźców zeskoczył, rozciął krępujące sznury i wziął Jewkę na konia. Ona otworzywszy oczy po chwilowem zemdleniu, spojrzała w twarz rycerza i szepnęła:

-- Indrych! — i znów omdlała.

Walka była skończona. Prerażeni nagłą pomocą napastnicy uciekali chroniąc się w gęstwinę lasu, zostawiwszy na trakcie prócz dowódcy, trzy trupy i dwóch ciężko rannych.

Przywitanie Rosława i Indrycha było bardzo serdeczne.

-- Winieniem ci życie, — rzekł Rosław — a siostry uratowałeś od hańby.

— Bóg mi pobłogosławił... Po śmierci ojca... którego ubili Tatarzy, jechałem z tęsknoty do Żubrzyc...

— Czy za więzieniem tęskniliście?—zaśmiała się Swochna.

Indrych zmieszał się i mimowolnie spojrzął w stronę Jewki, która uporządkowawszy swe ubranie miała dosiąść konia. Po chwili wahania rzekł do Swochny:

— Milsze mi było więzienie u was, niż wolność bez was... i radbym z wami zostać.

— O tem pomówicie ze starszymi, nie ze mną, — uśmiechnęła się, — a teraz w drogę.

— Żeś ubiła jednego draba, to nie racya, abys nami dowodziła, — zaśmiał się Rosław.

— Wy zabiliście?! Wy!? — zdziwił się Indrych.

— Czy wolelibyście, aby mnie ów zbrodniarz porwał? — zaśmiała się, — ja nie mam rycerza, aby mnie obronił.

— Bogu niech będą dzięki, że dał mi tę łaskę, — westchnął, — toż za Grabinów dałbym ostatnią kroplę krwi.

— A cóżby zostało dla uratowanej? śmiała się Swochna i zwracając się do Jewki:—powiedz mi, czy to dopust boski czy łaska, żeś popadła w niewolę.

— Nie żartuj, bo gdyby nie Rojec, nikt z nas nie byłby uszedł.

— Wywdzięczysz się jemu, skoro ojciec pozwoli.

Tak rozmawiając wesoło i żartując, dojechali do zamku.

Ojciec mimo spóźnionej pory czekał na dzieci z wieczerzą, a gdy mu Rosław przedstawił Indrycha, stary komes spojrział surowo i podając rękę do ucałowania:

— Gość w dom, Bóg w dom. Siadaj przy naszym stole i witaj mi.

W czasie wieczerzy opowiedziano ojcu szczegóły napadu, a gdy Rosław mówił o Swochnie i jej obronie, wzruszony ojciec przytulił ją do siebie i szepnął:

— Dzielnie Swochno... takich niewiast nam trzeba...

Dowiedziawszy się o skutecznej pomocy Indrycha i uwolnieniu Jewki, rzekł:

— Zapoznałem był was, Rojców... postąpiłeś jak prawdziwy rycerz. Sądzę, że zyskasz przy naszym księciu ostrogi rycerskie... a wówczas zgłoś się do nas jak do rodzonych.

— Wam służyć będzie mi nagrodą.

— Zobaczymy... a gdzie teraz wybieralesz się, jadąc na Żubrzyce?

— Ojca ubili Tatarzy... jechałem traktem do Krakowa.

— Po co?

— Aby służyć naszemu księciu.

Stary komes bacznie spojrzął mu w oczy, milczał, a po chwili:

— Pora już późna, idźcie spocząć... a ty, Rosławie, pchnij Żbycha do puszczaków, niech tu zjadą młodzi ochotnicy, którzy walczyli pod twą wodzą.

Wstał i wszyscy poszli na spoczynek.

Na drugi dzień czyniono wielkie przygotowania do uczty, którą Mikołaj Grabina wyprawił, aby uczcić odebranie zamku.

Z jego rozkazu ustawiono stoły olbrzymie w dziedzińcu, wytoczono beczki miodu i piwa, a w kuchni od samego rana warzono i pieczono.

W południe zasiadł u stołu Grabina, mając po prawej ręce Rosława i Indrycha, po lewej Jewkę i Swochnę, i kolejno według godności zasiedli starsi jak Małgoszcz, Chmura, bojar Sywun i wszyscy żołnierze, którzy brali udział w odzyskaniu Żubrzcyc.

Gdy zaspokojono pierwszy głód, wstał Mikołaj Grabina i przemówił:

— Wiadomo wam, że odzyskałem wolność i zamek dzięki odwadze i męstwu mego syna Rosława, ale i najdzielniejszy nie trwałego nie może zdziałać i osiągnąć, gdy braknie mu towarzyszy i przyjaciół. Rosław znalazł was, serca mężne i dzielne, przy waszej pomocy osiągnął co zamierzył. I pierwszy ten toast wnoszę na waszą cześć i chwałę. Abyśmy zawsze na wiek wieków wspólnie czuli krzywdę, wspólnie się bronili i wspólnymi siłami zwalczali wrogów. Zdrowie wasze!

Wszyscy powstali, a gdy Grabina wychylił puhar, wszyscy wraz krzyknęli:

— Niech żyje pan nasz! niech żyje wódz nasz. Gdy się uciszono, mówił Grabina:

— Dobra to rzecz dbać o swoich i swoje dobro, ale miąłki ma rozum ten, kto sądzi się bezpiecznym, gdy w około są pogwałcone wszystkie prawa boskie i ludzkie, gdy wróg chciwy mordu, krwi i gwałtu zapanował w ojezyźnie. Tatarzy ogniem i mieczem spustoszyli kraj, zagarnęli miasta i zamki, więc nam nie wolno spocząć póki nie zwyciężymy wrogów. Szczęśliwie i dzielnie rozpoczęłeś walkę Rosławie... idź walczyć dalej za swój kraj... pomścij krzywdę, mordy i hańbę, a kto z was ochotny walczyć z Tatarami niech wstanie.

Wszyscy porwali się z miejsc, a Grabina zwrócił się do syna z uśmiechem:

— Wybierzesz trzydziestu, rynsztunek i konie dostaną.

A że przy stołach siedziało przeszło stu, wszczęły się narzekania i wielu czuło się pokrzywdzonymi, co widząc Grabina, dodał:

— Jest tu też zaćny młodzian, który stanął nam pomocą w potrzebie... Indrych Rojec. Jedzie on z własnej ochoty na wojnę. Uratował mi córkę, uratował syna, i od dziś uważam go za należącego do mego rodu. Wyprawiam go też jak mego syna i wolno mu wziąć również trzydziestu towarzyszy konnych.

Indrych skłonił się do kolan, ucałował rękę, Grabina pogłaskał go po głowie, a gdy gwar niezadowolonych brzmiał jeszcze przy stole, wstał i gładząc szpakowatą brodę:

— Raduję się widząc waszą ochotę, wszelako co zdobyliśmy, tego musimy bronić, i dla tych co w zamku zostaną, znajdzie się sposobność zmierzenia się z wrogiem.

Umikli, a Małgoszcz rzekł:

— Wasza miłość może być pewnym, że każdy z nas odda swe życie w jego obronie, a jeśli tak pragniemy wszyscy zmierzyć się z Tatarami, to jedynie aby co rychlej pomścić śmierci niewinnych i nie dopuścić do dalszych morderstw... Gdy jednak wasza miłość wysyłasz w pole ostatniego syna, my starzy będziemy bronili zamku i czekali cierpliwie na powrót zwycięzców, — i zwracając się do biesiadników: -- niech żyje nasz pan! Z nim żyć i umierać!

Wszyscy trzykrotnie powtórzyli ten okrzyk, a Mikołaj Grabina kłaniał się im z łaskawym uśmiechem, i chcąc im dać większą swobodę w zabawie wstał i wraz z rodziną przeszedł do komnat zamkowych.

Śpieszyło się młodym na wojnę, na nowe rycerskie przygody, i tak usilnie się starali, że w tydzień byli gotowi do wyruszenia

Jasnym, wiosennym porankiem zaroilo się w dziedzińcu od konnych, gdy w komnacie gościnnej, wobec starszych dworzan, Grabina żegnał syna i Rojca, którzy klęcząc, przyjęli jego błogosławieństwo.

Gdy powstali i wszyscy skierowali się ku dziedzińcowi, Indrych znalazł sposobność zbliżenia się do Jewki i szepnął:

- Jewko, nie zapomnisz mnie?
- Przenigdy... jużem ci przyrzeczona.
- A gdy wrócę...
- Twoją będę.

Wyszli na dziedziniec, a na dany znak Grabiny, podprowadzono dla młodzieńców dwa pyszne rumaki. Dosiedli koni, a stary komes błogosławiąc ich krzyżem świętym, rzekł:

- Jedźcie walczyć i zwyciężać.

Wyciąg z katalogu nakładowego
KSIĘGARNI I SKŁADU NUT
KONSTANTEGO TREPTEGO

w Warszawie, ul. Marszałkowska 149.

- Adjutant naczelnego wodza.** Powieść historyczna z 1831 roku, napisał *W. Przyborowski*. Z ilustracjami *S. Mastłowskiego*. W ozdobnym kartonie.
- Baśnie polskie,** napisał *Or-Ot*. Wspaniałe wydanie z ilustracjami *T. Jaroszyńskiego*, w pięknej chromolitograficznej okładce. 1 80
- Było to pod Somosierra.** Opowieść dziejowa, *W. Gąsiorowskiego*. Z ilustracjami. 1 60, w oprawie 2 20
- Czy to ciekawe?** 16 powiastek dla małych dzieci od lat 4 do 7, z 16 rycinami, przez *Z. Morawską*. W kartonie. — 50
- Gawędy żołnierskie.** Pokłosie spuścizny pamiętnikarskiej Napoleończyków, przez *Wacława Gąsiorowskiego*. Wydanie ozdobione 112 reprodukcjami obrazów, portretów i winiet sławnych mistrzów. 4 40
W ozdobnej oprawie. 5 40
- Huragan.** W przeróbce dla młodzieży *W. Gąsiorowskiego*. Z ilustracjami, w ozdobnej oprawie. 2 80
- Moje powiastki.** Zbiór 16 powiastek dla małych dzieci od lat 4 do 7, z 16 rycinami, przez *Z. Morawską*. W kartonie. — 50
- Na San Domingo.** Opowiadanie legionisty z początków XIX wieku dla dorastającej młodzieży, przez *W. Przyborowskiego*, z 20 ilustracjami *L. Iliżnicza*. W kartonie. 1 20
W ozdobnej oprawie. 1 60
- Oblężenie Paryża.** Powieść historyczna dla młodzieży przez *W. Trąmpczyńskiego*. W kartonie. 1 20
W ozdobnej oprawie. 1 60
- Olszynka Grochowska.** Powieść osnuta na tle 1831 r., przez *W. Przyborowskiego*. Z 15 rysunkami *S. Wyczałkowskiego*. W ozdobnym kartonie. 1 35
- Pod Pieskową Skalą.** Opowiadanie na tle wypadków 1863 r., przez *Wł. Trąmpczyńskiego*. W kartonie.
- Skarbiec poezyi polskiej.** Ułożył *Or-Ot*. Zawiera utwory 108 poetów polskich. Wydanie nowe. 1 40
W ozdobnej oprawie ze złoceniami 1 80

VIII - 1659.

II

- Szwedzi w Warszawie.** Powieść historyczna dla młodzieży z dawnych lat, napisał *W. Przyborowski*. Z ilustracjami *L. Ilinicza*. W kartonie. 1 20
W ozdobnej oprawie. 1 60
- Szwoleżer Stach.** Powieść historyczna dla młodzieży z czasów pobytu Legionów polskich w Hiszpanii, przez Autora „Bitwy pod Raszynem“. Z 17 ilustracjami *L. Ilinicza*. W kartonie. 1 20
W ozdobnej oprawie. 1 60
- Tatarzy w Sandomierskiem.** Powieść historyczna z dawnych lat, napisał *A. Gruszecki*. Z ilustracjami *S. Mastowski*. W ozdobnym kartonie.
- Wesołe Bajki** z 16 pięknymi kolorowanymi ilustracjami i 40 rycinami w tekście, w ozdobnej okładce. 1 80
- Wielki Książę Konstanty.** Zarys biograficzny z 6 ilustracjami. Napisał *E. P. Karnowicz*. 1 20
W kartonie. 1 50
W ozdobnej oprawie. 1 80
- Wojsko Polskie. 1815—1830** przez *B. Gembarzewskiego* z przedmową *A. Rembowski*. Z 8-ma wspaniałymi rycinami kolorowanymi i 83-ma ilustracjami czarnymi. 15 —
W ozdobnej oryginalnej oprawie. 17 —
- W kraju męźnych Boerów.** Przygody młodego Polaka w Transwaalu, obrobił *Topór*. Z rycinami *Ilinicza*. Wydanie nowe. — 90
W ozdobnej oprawie. 1 20
- W służbie czarnego orła.** Powieść historyczna dla młodzieży z XVIII stulecia na tle stosunków pruskich przez *W. Trąpczyńskiego* z ilustracjami *Ilinicza*. W kartonie. 1 20
W ozdobnej oprawie. 1 60
- Wybór poezyi Deotymy.** 2 tomy. 2 80
W ozdobnej oprawie. 3 80
- Z dworów i chat.** 15 powiastek dla dzieci od lat 8-iu do 12-tu, opowiedziała *M. Bogustawska*. Z 15 rysunkami *L. Ilinicza*. W kartonie. — 90
W ozdobnej oprawie. 1 20
- Złota ostroga.** Powieść historyczna dla młodzieży, z czasów Ks. Józefa Poniatowskiego, z licznymi rycinami, napisała *Z. Morawska*. W kartonie. 2 —
W ozdobnej oprawie. 2 40
-